

M. JOHN HARRISON

# DROGA SERCA

UCZTA WYOBRAŹNI



**M. John Harrison**

**DROGA SERCA**

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIS

# PROLOG

## PLEROMA

Kiedy byłem chłopczykiem, często przesiadywałem nieruchomo w ogrodzie, skąpany w blasku słońca, z dłońmi rozpląszczonymi na szorstkiej ceglanej dróżce, czekając z przedłużającym się, niemal bolesnym zniecierpliwieniem na to, co się wydarzy, na wszystko, co skrywa dana chwila, i na drzeмиące w niej objawienia. Nurzałem się w surowym, mętym aromacie liści szczawiu i aksamitek. W kącie ciepłego muru, pod odwróconą cynkowaną balią, którą przeżarła rdza, bielił się rabarbar. Czułem go aż tam.

Jednymi z pierwszych słów, które usłyszałem z ust matki, były: „Ależ z niej dorodna kobieta!”. Plotkowała wtedy o kimś z naszej rodziny. Nie pamiętam, o kim – może o którejś ze swoich młodszych sióstr. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem określenie „dorodna kobieta”. Wyobraziłem sobie kobietę, która pięknie wyrosła w ogródku, jak pomidor albo ziemniak. Nic z tego nie rozumiałem. Czy moją matkę też ktoś zasadził? Ta wizja rozwijała się i nabierała rozmachu w moim umyśle jeszcze długo po tym, jak zrozumiałem, co naprawdę oznacza to określenie.

\*\*\*

Matka uwielbiała filmy. Ubóstwiała aktorki Vanessę Redgrave i Glendę Jackson, tak samo jak grane przez nie bohaterki. Sama była dosyć wysoka i szczupła, ale niczym innym ich nie przypominała. Ich grobowemu i kościstemu spokojowi, który zawsze ustępował miejsca wściekłości albo zachwytowi, mogła przeciwstawić tylko sztywną prowincjonalną urodę typową dla pielęgniarek i przedszkolank. Miała na imię Barbara, ale nalegała, żeby znajomi mówili na nią „Bobbie”. Kiedy trochę podrosłem, uznałem, że to równie żałosne, jak jej elegancko uszyte kostiumy ze spodniami i ciemna opalenizna. Obawiała się, że słońce zrujnuje jej twarz, ale i tak wystawiała się na jego działanie, w ogrodzie lub na plaży, unosząc twarz w panicznym odruchu wywołanym próżnością i rozpaczą.

Lubiła, kiedy Redgrave i Jackson wcielały się w role królowych, tancerek, kurtyzan, romantycznych intelektualistek, które były skazane na śmierć przez dążenie do doskonałości, niczym olbrzymie, kościste ćmy zamknięte w japońskich lampionach własnych nerwic. Wydawało się, że ich najważniejszą cechą jest seksualność, ale w kluczowej chwili niespodziewanie przekuwały seksualny wydźwięk filmu w metaforę, przez którą wyrażały siebie – w scenie tańca lub biegu – wymykając się zarówno filmowemu kochankowi, jak i widzom. Znacznie ważniejsze było pozostawanie w centrum uwagi, a o to rywalizowały nawet same ze sobą. Stanąwszy na środku sceny, były gotowe natychmiast ją opuścić tanecznym krokiem, domagając się łapczywie:

„Nie. Nie ona. Ja”.

\*\*\*

Tamtego roku miałem dwanaście lat, a matka trzydzieści. Pamiętam, jak krążyła po trawniku przed domem, bezustannie pokrzykując: „Ty cholerny papierze, ty cholerny papierze” na list, który trzymała w prawej dłoni. Podejrzewam, że przysłał go mój ojciec. Jednak najwyraźniej chodziło o coś jeszcze. „Ty cholerny papierze!”. Potem zaczęła zmieniać intonację, na chwilę podkreślając każde ze słów. Zupełnie, jakby starała się znaleźć ostateczny i niepodważalny sposób artykulacji.

Jej teatralność i przejrzystość emocji wyprowadzały mnie z równowagi. Zacząłem biegać po ogrodzie i zrywać kwiaty, chcąc ofiarować jej coś w zamian za to, co najwyraźniej straciła.

– Możesz zabrać moje urodziny! – zawołałem. – Nie chcę ich!

Popatrzyła zaskoczona na połamane stokrotki w mojej dłoni.

– Musimy je wstawić do wazonu – odrzekła.

Grałem główną rolę męską z filmów Vanessy, rolę jej widza. Miałem podążać śladem matki, gdy wycofywała się przez coraz mniejsze skorupy własnego ja. Odrywane łupiny cebuli ukazywały jedynie kolejne warstwy.

– Urodziny to ostatnie, czego pragnę, kochanie.

List przez całe popołudnie leżał na trawniku, gdzie deszcz mógł go zmienić w papkę. Kiedy ojciec wyniósł się na dobre, zaczęła ratować swoją skórę, każdego ranka ostrożnie nakładając warstwę makiazu w miodowym kolorze, by wieczorem jeszcze skrupulatniej go usunąć. Wyzwolona, być może za późno, przez feministyczne bestsellery, nosiła szerokie amerykańskie okulary z przyciemnianymi szklami, które chroniły jej oczy i podkreślały delikatną budowę chudych policzków oraz szczęki.

„Jestem smutniejszą, ale mądrzejszą kobietą”, napisała do mnie z letniej willi w Santa Ponsa, być może przeceniając dojrzałość siedemnastolatka. „Poznajemy ludzi dopiero wtedy, gdy jest już za późno, czyż nie?”.

Pochlebiali mi jej dorosłe zwierzenia, których niedokończona forma sugerowała prawdziwy temat, ale zawsze go unikała. Chociaż wcześniej zrezygnowałem z prób zrozumienia, co miała na myśli, czułem, że mi ufała.

„Ale tak to już jest. Zapewne sam to odkryjesz, gdy dorośniesz”.

\*\*\*

W tamtych czasach popołudniami chodziłem na wagary, dwa albo trzy razy w tygodniu. Sam nie wiem dlaczego. Zawsze tylko spacerowałem albo siedziałem zahipnotyzowany przez rzekę Avon przecinającą pola, patrząc, jak gorący blask słońca spływa i pieni się na jazie, aż w końcu ogarniało mnie zmęczenie podszyte podnieceniem i nie potrafiłem oddzielić widoku wody od jej dźwięku i ciężaru oraz dziwnego, silnego, niemal drożdżowego zapachu. Z jakiegoś powodu kojarzył mi się on z „dorodną kobietą”, która dorastała razem ze mną. Drożdżowa woń i ciężar należały do niej. Nie tyle mnie dręczyła, ile kroczyła w ślad za mną podczas każdego nastoletniego lata wypełnionego deszczem i słońcem oraz zaskakującymi zmianami światła.

Matka, która nie zdawała sobie z tego sprawy, mówiła ludziom, że jestem niedojrzały jak na swój wiek. Rzeczywiście, podczas pierwszego semestru nauki w Cambridge większość weekendów spędzałem w domu, a w każdy piątkowy wieczór i poniedziałkowy poranek podróżowałem koleją. Pociąg często przystawał na kilka minut niedaleko Derby. Nie pamiętam nazwy stacji. Dwa stare drewniane perony otoczone modrzewiami, sosnami i różnymi odmianami ostrokrzewu nadawały jej zarazem wytworny i tajemniczy klimat: to była stacyjka rodem z opowiadań, które średnio zamożne dzieci czytywały przed czterdziestu laty. Kiedy siedziałeś w pociągu, nie miałeś pojęcia, jaki krajobraz kryje się za drzewami. Wiatr poruszał gałęziami, więc mogłeś sobie wyobrazić, że znajdujesz się na piaszczystym wzniesieniu, które otaczają pofałdowane sady i alejki albo rozległe wrzosowiska sięgające kolejnych wzgórz. Popołudniowe światło szkliło liście ostrokrzewu. Wszystko było możliwe w krainie – albo ogrodzie – za drzewami. Lisy, sowy i skradzione kucyki. Kolcolist i cygańskie tabory na surowych polach. Tajemnica sterty dźwigarów leżących obok torów, lśniących od deszczu w zielonym świetle na skraju lasu!

Koniecznym chciałem ją poznać.

Potem światło się rozproszyło, wiatr ustał i pociąg ruszył. Drzewa były zakurzone i pokryte le-

pem na ptaki. Skrywały tylko osiedle mieszkaniowe, ogródki działkowe, fabrykę. Kobieta z nadpobudliwym dzieckiem wsiadła do wagonu i zajęła miejsce naprzeciwko.

– Po prostu siedź – ostrzegła dziecko.

Przez chwilę prowokacyjnie patrzyło jej w oczy, po czym poszło hałasować automatycznymi drzwiami.

\*\*\*

Na początku drugiego semestru kupiłem wieżę stereo. Szybko nauczyłem się zakładać słuchawki, podkręcać głośność i raz za razem słuchać tego samego utworu, a każde powtórzenie jakiejś istotnej frazy wywoływało delikatne białe wybuchy wewnątrz mojej czaszki.

Niezależnie, czy chodziło o początek piątej symfonii Brucknera, czy jedynie o „The Bewlay Brothers”, skutek był taki sam. Te bezbolesne objawienia czyściły i wygładzały moją pogmatwaną korę mózgową. Po cichu liczyłem, że jeśli będę słuchał wystarczająco długo lub głośno, stanie się ona gładka jak kamień, dzięki czemu już nigdy nie będę mógł myśleć. Wtedy marzyłem o tym, żeby pozostać świadomym świata – odbierać bodźce i na nie reagować – ale utracić samoświadomość. Nigdy nie udało mi się tego osiągnąć. Muzyka w końcu zawsze przestawała działać. Wybuchy traciły niszczycielską moc. Mój mózg zaczynał odrastać. Budziłem się i patrzyłem przez okno na pofalowane zielone światło między gałęziami drzew.

Osiemnastoletnie i dziewiętnastoletnie dziewczęta spływały ku mnie przez ten blask, leniwie i bezmyślnie poruszając kończynami. Gdy o nich myślałem, były rudowłose, uśmiechnięte i zaspane jak u Gustava Klimta. Rok później leżałem z jedną z nich na podłodze.

\*\*\*

Był początek czerwca, jasny, ale wilgotny. Od kilku dni powietrze przypominało młot, który ogłuszył i oszołomił ulice, zmuszając je do milczenia. Ona z kimś mieszkała, ale dom przez cały tydzień świecił pustkami. W jej pokoju, który znajdował się od frontu i krył w cieniu rozległej korony kasztanowca, przez większość dnia było ciemno i chłodno. Rankiem przez godzinę cienie drewnianych żaluzji przesuwają się po sofie z hinduskimi poduszkami i brązowo-pomarańczowym dywanem z frędzlami, by następnie dotrzeć do jej rozwartych nóg i rozrzuconej bielizny. Nieco po czternastej cienki, rozżarzony pasek słonecznego blasku wsunął się do górnej części pokoju, natrafił na zakurzone papierowe ptaki na taniej karuzelce i na chwilę zmienił je w ceramikę i złoto. To było wszystko.

– W tym pokoju cuchnie seksem.

– Cuchnie nami – odparłem.

Znałem ją od tygodnia i dwóch dni. Nocami, na wpół rozbudzony we własnym łóżku, czułem jej zapach i w chwili oszałamiającego zachwytu przypominałem sobie, jak szeptała: „Rznij mnie! Rznij mnie!”. Gdziekolwiek byłem, mogłem zamknąć oczy i dokładnie ujrzeć krągłości u podstawy jej kręgosłupa, który w tym miejscu jakby wstrzymywał oddech, nim zszedł łukiem między gładkie i silne mięśnie pośladków. Uwielbiałem jej szkła kontaktowe. Uwielbiałem, gdy zatrzymywała się na środku ulicy, wyjmowała jedno z nich na dłoń, a następnie językiem wciągała do ust, jak kotka, żeby je wyczyścić.

– Może powinniśmy się wykapać.

O piętnastej ktoś wtaszczył rower po schodach przed domem i wszedł do środka. Usłyszeliśmy kroki na chłodnych kafelkach w korytarzu. Byliśmy już wtedy niecierpliwi, nieco zmęczeni i lepcy w dotyku. Przybysz zapukał do drzwi pokoju, najpierw z wahaniem, a potem zdecydowanie. Znajomy

głos wywołał moje imię.

„Nie odpowiadaj” – poprosiła bezgłośnie.

– Yaxley jest gotowy, żeby spróbować – odezwał się głos za drzwiami, po czym zapadła cisza. – Jesteś tam? Halo? Yaxley mówi, że jest gotowy. W ten weekend.

– Nie odpowiadaj! – powiedziała dosyć głośno.

Usiadłem i na nią popatrzyłem. Znałem ją od tygodnia i dwóch dni i wszystko mnie w niej zachwycało.

– Ciii! – odrzekłem.

Pociągnęła mnie na łóżko.

– Idź sobie! – zawołała.

– Jesteś tam? – spytał głos. – To ja, Lucas!

– Zaczekaj, Lucasie... – odpowiedziałem.

Czy coś by się zmieniło, gdybym tego nie zrobił, gdybym po kryjomu został w pokoju z dłonią pomiędzy jej nogami, starając się nie roześmiać?

– ...zaraz skończę.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**ŚLADAMI BOGINI**

# JEDEN

## NIEDOCENIANIE SNÓW

Pam Stuyvesant zażywała lekarstwa, żeby radzić sobie z padaczką. Często była po nich przygnębiona i trudna w obyciu, a Lucas, który sam był nerwowy, nigdy nie wiedział, co robić. Po ich rozwodzie coraz częściej polegał na mnie jako na pośredniku.

– Nie lubię brzmienia jej głosu – tłumaczył. – Ty spróbuj.

Pod wpływem leków śmiała się bez końca w krzykliwy, fałszywy sposób. Chociaż Lucas przez lata starał się ją traktować ze współczuciem, ten śmiech zawsze go żenował i irytował. Myślę, że się go bał.

– Spróbuj wydobyć z niej coś sensownego.

Sądzę, że to poczucie winy podpowiadało mu, że mam na nią łagodzący wpływ, jednakże nie chodziło o jego własne wyrzuty sumienia, tylko o poczucie winy, które w jego opinii łączyło całą naszą trójkę.

– Sprawdź, co powie.

\*\*\*

Oto, co tym razem powiedziała:

– Posłuchaj, jeśli wywołasz u mnie atak, Lucas Medlar gorzko tego pożałuje. Zresztą, co go obchodzi, jak się czuję?

– Chodzi o to, że nie chcesz z nim rozmawiać. Martwi się, że coś się dzieje. Wszystko w porządku, Pam? – Nie odpowiedziała, ale wcale się tego nie spodziewałem. – Jeśli nie chcesz mnie widzieć, to może od razu mi to powiedz? – zasugerowałem delikatnie.

Myślałem, że odłoży słuchawkę, ale ostatecznie skończyło się na paroksyzmie ciszy. Dzwoniłem do niej z budki telefonicznej na środku Huddersfield. Dzielnica handlowa wokół mnie była pełna bladego słonecznego blasku, ale wietrzna i zimna. Na później zapowiedziano deszcz ze śniegiem. Minęła mnie dwójka albo trójka roześmianych i rozgadanych nastolatków. (Jeden z nich powiedział: „Nie wiem, co kwaśny deszcz ma wspólnego z moją karierą. Właśnie o to mnie spytali. »Co pan wie o kwaśnym deszczu?«”). Kiedy się oddalili, usłyszałem urywany oddech Pam.

– Halo? – odezwałem się.

– Oszalałeś?! – krzyknęła. – Nie mam zamiaru rozmawiać o tym przez telefon. Zanim się obejrzysz, wszyscy się dowiedzą! – Czasami bardziej niż zwykle potrzebowała lekarstw; można się było zorientować kiedy, gdyż w takich chwilach wciąż powtarzała zwrot: „Zanim się obejrzysz...”.

Jedne z pierwszych słów, jakie usłyszałem z jej ust, brzmiały: „To się wydaje takie proste, prawda? Ale zanim się obejrzysz, cholerstwo wymyka ci się z rąk”. Po czym schyliła się nerwowo, żeby pozbierać kawałki stłuczonego szkła. Ile wtedy mieliśmy lat? Dwadzieścia? Lucas uważał, że za pomocą języka odzwierciedla jakieś doświadczenia dotyczące lekarstw albo samej choroby, ale chyba nie miał racji. Kolejny zwrot, jakiego często używała, brzmiał: „W końcu trzeba na siebie uważać, co nie?”. Przeciągała słowa „uważać” i „nie” w sposób, który jednoznacznie wskazywał na nastoletnią manierę.

– Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że powiem cokolwiek przez telefon.

– Więc przyjdę wieczorem.

– Nie!

– Pam... – zacząłem, ale szybko się poddała.



– Przyjdź teraz i miejmy to już za sobą. Nie czuję się najlepiej.

Ataki padaczki od dwunastego albo trzynastego roku życia, regularnie jak w zegarku; a potem klasyczna migrena, żeby wypełnić luki: komplikacja, którą, słusznie albo niesłusznie, zawsze łączyła z tym, co Yaxley pomógł naszej trójce zrobić, gdy byliśmy studentami. Nie wolno jej się było denerwować ani ekscytować. „Oszczędzam adrenalinę”, tłumaczyła. To był problem natury fizycznej, a nie psychologicznej: kwestia gruczołów. „Wtedy nie mogę jej uwolnić”. Potem jednak ściany zbiornika pękały i wszystko wypływało jednocześnie pod wpływem jakiegoś drobnego impulsu – zgubienia buta, spóźnienia się na autobus, deszczu – wywołując halucynacje, wymioty i utratę kontroli nad jelicami. „A potem następuje euforia. To cudownie odprężające. Zupełnie jak seks”, mawiała z goryczą.

– W porządku, Pam. Niedługo przyjadę. Nie martw się.

– Odchrzań się. – Potrzebowała słów wsparcia, ale ją denerwowały. – Wszystko się wali. Już widzę unoszące się światełka.

Kiedy tylko odłożyła słuchawkę, zatelefonowałem do Lucasa.

– Więcej tego nie zrobię – stwierdziłem.

Cisza.

– Lucasie? Z nią nie jest dobrze. Bałem się, że dostanie ataku podczas naszej rozmowy.

– Ale się z tobą spotka? Chodzi o to, że rzucała słuchawkę, kiedy do niej dzwoniłem. Nie masz pojęcia, jakie to może być męczące. Zobaczy się z tobą dzisiaj?

– Przecież wiedziałeś, że się zgodzi.

– To dobrze.

Rozłączyłem się.

– Lucasie, drań z ciebie – oznajmiłem dzielnicy handlowej.

\*\*\*

Luty. Dzień Świętego Walentego. Śnieg i śnieg z deszczem w całym kraju. Przez około pół godziny autobus z Huddersfield przemierzał zmęczone wioski robotnicze, które zajęły się fryzjerstwem, hodowlą psów i niedofinansowaną turystyką. Wsiadłem o piętnastej, ale miałem wrażenie, że jest znacznie później. Tarcza kościelnego zegara była oświetlona, a tajemniczy żółty blask wpadał ukosnie przez okno w nawie, jakby ktoś przyświecał sobie czterdziestowatową żarówką. Sznur samochodów nie miał końca, gdy czekałem, żeby przejść na drugą stronę ulicy, a ich spaliny parowały w mrocznym powietrzu. Jak na wioskę panował tutaj spory hałas: opony syczały na mokrej nawierzchni, rozlegało się pobrękiwanie butelek z gazowanymi napojami, które rozładowywano z ciężarówki przed pocztą, jakieś dzieci, których nie widziałem, nieprzerwanie wykrzykiwały to samo słowo. Nie spodziewanie ponad te wszystkie odgłosy wybiła się czysta nuta trelu drozda, a ja wyszedłem na ulicę.

– Jesteś pewien, że nikt nie wysiadł z autobusu za tobą?

Pam trzymała mnie na progu, nerwowo rozglądając się po ulicy, ale kiedy już wszedłem, sprawiała wrażenie zadowolonej, że może z kimś porozmawiać.

– Lepiej zdejmij płaszcz. Siadaj. Zaparzę ci kawy. Nie, tutaj, po prostu zepchnij kota z krzesła. Wie, że nie powinien tu leżeć.

To był stary kocur o matowym, suchym czarno-białym futrze, a kiedy go podniosłem, okazało się, że składał się niemal wyłącznie z rozgrzanych kości. Postawiłem go ostrożnie na dywanie, ale natychmiast wskoczył mi na kolano i zaczął się ślinić na mój pulower. Kolejny, młodszy zwierzak, przycupnął na parapecie, gdzie niezręcznie przestępował z łapy na łapę pomiędzy kunsztownymi koszykami pełnymi papierowych kwiatów, wyglądając na deszcz ze śniegiem i pusty ogród.

– Złaź stamtąd! – zawołała Pam, wieszając mój płaszcz w malutkim przedpokoju.

Oba koty ją zignorowały. Wzruszyła ramionami.

– Zachowują się, jakby mieszkanie do nich należało. – Tak można było wnioskować po zapachu. –

To znajdy. Sama nie wiem, po co je przygarnęłam. – Następnie dodała, jakby wciąż mówiła o kotach:

– Jak się miewa Lucas?

– Zaskakująco dobrze. Nie powinnaś zrywać z nim kontaktu.

– Wiem. – Na jej ustach mignął uśmiech. – A co u ciebie? Prawie wcale się nie widzimy.

– Nieźle, chociaż czuję się staro.

– Jeszcze niewiele wiesz – odparła. Stała w progu kuchni ze ściereczką w jednej dłoni i filiżanką w drugiej. – Jak my wszyscy.

To była znajoma skarga. Kiedy zobaczyła, że jestem zbyt zaaferowany, żeby jej wysłuchać, wróciła do kuchni i zaczęła stukać naczyniami w zlew. Usłyszałem odgłos wody nalewanej do czajnika. Gdy go napełniała, powiedziała coś, czego nie dosłyszałem. Następnie, zakręcając kran, dodała:

– Coś się dzieje w Pleromie. Coś nowego. Czuję to.

– Pam, to wszystko skończyło się dwadzieścia lat temu.

\*\*\*

Prawdę mówiąc, nawet wtedy nie byłem pewien, co zrobiliśmy. Pewnie wyda się wam to dziwne, ale dziś pamiętam tylko pewien czerwcowy wieczór skąpany w słodko-zgniłej woni kwiatów głogu, tak gęstej, że niemal w niej pływaliśmy, jak również w gorącym wieczornym świetle, które przelewało się pomiędzy żywopłotami jak przejrzyste złoto. Pamiętam Yaxleya, ponieważ niełatwo go zapomnieć. Ale umyka mi to, co zrobiliśmy pod jego kierownictwem, oraz znaczenie tych czynów. Niewątpliwie coś straciliśmy: jeżeli chcecie, możecie to nazwać „niewinnością”, ja jednak uważałem, że takie postawienie sprawy rodzi zbyt wiele pytań.

Lucas i Pam od początku znacznie bardziej się tym przejęli. Wzięli to sobie do serca.

A potem – może dwa albo trzy miesiące później, gdy już nie mieliśmy wątpliwości, że coś poszło nie tak, gdy sprawy po raz pierwszy przybrały niewłaściwy obrót – to Pam i Lucas przekonali mnie, żebym porozmawiał z Yaxleyem, chociaż obiecaliśmy mu, że nigdy więcej się z nim nie skontaktujemy. Chcieli się dowiedzieć, czy można jakoś odwrócić lub unieważnić to, co zrobiliśmy, i odzyskać to, co utraciliśmy.

– To chyba tak nie działa – ostrzegłem ich, ale widziałem, że mnie nie słuchają.

– Będzie musiał nam pomóc – stwierdził Lucas.

– Po co w ogóle to zrobiliśmy? – spytała mnie Pam.

\*\*\*

Pojechałem następnego dnia. Pociąg był zatłoczony. Po drugiej stronie stolika, na przeciwległym miejscu przy oknie, siedział wysoki czarnoskóry mężczyzna i rozglądał się z uśmiechem, strzelając knykciami. Miał na sobie drogi brązowy jedwabny garnitur. Siedzenia obok nas zajmowały dwie kobiety w średnim wieku, które jechały na tygodniowe wakacje do Londynu. Bezustannie trajkotały o swojej poprzedniej wizycie: przeszły Tower Bridge podczas wichury, a potem jadły pieczone ziemniaki na północnym brzegu, podziwiając posąg delfina i dziewczyny, oraz odwiedziły Greenwich. Ostatniego dnia wybrały się do zoo w Regent's Park, gdzie, nieśmiało zaglądając do niewielkich ogrzewanych pomieszczeń w pawilonie z gadami, z zaskoczeniem dostrzegły tajskiego wodnego jaszczura o skórze, która według jednej z nich wyglądała „jak płócienna torba”.

Kobieta rozkoszowała się tym porównaniem.

– Zupełnie jak stara zielona płócienna torba – powtórzyła. – Nie zrobiło ci się nieswojo? – naci-

skąła, ale jej przyjaciółka sprawiała wrażenie znudzonej.

– Dlaczego?

– Przez tę skórę!

Wtedy czarnoskóry mężczyzna nachylił się i rzekł:

– Mnie robi się tylko smutno.

Miał niski i przyjemny głos. Kobiety go zignorowały, więc skupił się na mnie.

– Sam nie wiem dlaczego. Po prostu skóra jaszczurów wydaje mi się nędzna i niedopasowana.

– Chyba nigdy nie widziałem takiego zwierzęcia – odparłem.

– A co, gdyby ewolucja kierowała się ideologią? – spytał. – Przywiązywała wagę do estetyki?

Kobiety przyjęły jego słowa z taką obojętnością, że musiał wyjrzeć przez okno; a chociaż potem raz czy dwa uśmiechał się do mnie zachęcająco, jakby chciał powrócić do rozmowy, ostatecznie tego nie zrobił.

Później poszedłem do toalety, a następnie do bufetu. Kiedy tam byłem, pociąg zatrzymał się w Stevenage; gdy wróciłem na swoje miejsce, okazało się, że kobiety przesiadły się pod okno, a na miejscu czarnoskórego siedział grubas o czerwonej twarzy, który wyglądał jak starsza wersja H.G. Wellsa, i większość drogi do Londynu przespał ze zboląłą miną i dłońmi złożonymi na brzuchu. Zaśmieszczył stolik papierami po kanapkach, plastikowymi kubeczkami, pustą miniaturką butelki po whisky oraz kartkami z gazety. Tuż przed odjazdem pociągu obudził się, posłał mi podejrzliwe spojrzenie ponad tym bałaganem i pchnął coś w moją stronę.

– Gość, który tutaj siedział, coś dla ciebie zostawił – odezwał się z silnym północnym akcentem.

To była złożona w kwadrat kartka z notatnika, na której napisano wyraźnymi, zachwycająco równymi literami: „Nie mogłem nie zauważyć, jak bardzo podziwiałeś brzozy. Brzozowe lasy bardziej niż jakiegokolwiek inne należy oglądać w jesiennym świetle! Wtedy zaskakujemy je podczas tańca, świętowania czegoś, co u drzew stanowi odpowiednik zwierzęcej natury. Tańczą nawet w zimne bezwietrzne dni: konary jak oświetlone kości uchwycone w ruchu – albo dopiero co znieruchomiałe – w kłębach bladofioletowego dymu gałązek”.

List nie był podpisany. Odwróciłem kartkę, ale niczego nie znalazłem na odwrocie.

Roześmiałem się.

– Był czarnoskóry? – spytałem.

– Tak jest, chłopcze – odrzekł grubas. – Był. – Dźwignął się na nogi i, ciężko dysząc, zaczął ścigać bagaż z półki. – Czarny w chuj.

Kiedy pociąg powoli pokonywał ostatnią milę dzielącą nas od Londynu, zobaczyłem trzy arkusze z gazety, które wirowały przy górnych piętrach biurowca, jak motyle zalecające się do kwiatu. Pleroma domaga się od nas namiętności wobec świata, ten zaś ją odzwierciedla, chociaż robi to w zniekształcony sposób.

Wciąż pamiętam inteligentną gorliwość w uśmiechu czarnoskórego – cechującą go nieustającą potrzebę mówienia o świecie – i jego eleganckie ostre kości policzkowe, które były jak plemienne blizny albo jedwabny garnitur: zaprojektowane, a nie naturalne.

\*\*\*

Chociaż Yaxley nienawidził Muzeum Brytyjskiego, tak się złożyło, że zawsze żył w jego cieniu.

Spotkałem się z nim w kawiarni Tivoli, gdzie bywał w każde popołudnie. Tamtego dnia na dworze było wilgotno. Yaxley miał na sobie gruby, staroświecki czarny płaszcz; widząc jednak jego nadgarstki, sterczące z rękawów, długie, delikatne i brudne, pokryte otarciami, jakby walczył z jakimś niewielkim zwierzęciem, podejrzewałem, że pod spodem nie nosił marynarki ani koszuli. Wyglądał na starszego niż był w istocie, garbił się, a jego szczękę porastała siwa szczecina. Czasami zastana-

wiam się, czy to również była poza – chociaż innego rodzaju – podobnie jak egzemplarz „Church Times”, który zawsze nosił przy sobie, starannie złożony w taki sposób, żeby pokazywać fragment nagłówka, ale którego nigdy przy nas nie otwierał.

W tamtych czasach w Tivoli zawsze grało radio. Podawali rozwodnioną kawę, zbyt gorącą, jak za zwyczaj bywa z espresso, żeby miała jakikolwiek smak. Usiedliśmy na stołkach przy oknie, opierając się łokciami o kontuar zasypany brudnymi kubeczkami i niedojedzonymi kanapkami, obserwując przechodniów na Museum Street. Po dziesięciu minutach za naszymi plecami rozległ się wyraźny kobiecy głos:

– Tak naprawdę dzieci nawet nie chcą spróbować.

Yaxley aż podskoczył i obejrzał się ze spłoszoną miną, jakby czuł, że musi odpowiedzieć.

– To tylko radio – zapewniłem.

Popatrzył na mnie jak na szaleńca i dopiero po jakimś czasie na nowo podjął wątek:

– Wiedzieliście, co robicie. Dostaliście to, czego chcieliście, i nikt was w żaden sposób nie oszukał.

– Zgadza się – przyznałem.

Rozbolały mnie oczy: Yaxley szybko stawał się męczący.

– Wszystko rozumiem – dodałem. – Nie w tym problem. Po prostu chciałbym móc ich jakoś uspokoić...

Yaxley mnie nie słuchał.

Mocno się rozpadało, przez co turyści – głównie Niemcy i Amerykanie, którzy przyjechali do Bloomsbury, żeby zwiedzić Muzeum Brytyjskie – uciekli z ulic. Wydawało się, że wszyscy mają na sobie nowe ubrania. Kawiarnia Tivoli szybko się wypełniła, a w powietrzu unosiła się woń mokrych płaszczy. Ludzie szukający miejsc stale ocierali się o nasze plecy.

– Przepraszam, przepraszam – mruzcili, a Yaxley niemal natychmiast wpadł w rozdrażnienie.

– Psie gówna – oznajmił głośno rzeczowym tonem. Mam wrażenie, że ich grzeczność podziałała na niego znacznie bardziej niż sama niedogodność. – Trzy pokolenia królików – zakpił, gdy cała rodzina przepchnęła się obok niego, żeby dotrzeć do stolika w kącie. Najwyraźniej nikt się nie obraził, chociaż z pewnością go słyszeli. Przemoczona kobieta w fioletowym płaszczu weszła do kawiarni, zaczęła się nerwowo rozglądać za wolnym miejscem, a kiedy żadnego nie znalazła, szybko wyszła.

– Zwariowana suko! – Yaxley zawołał w ślad za nią. – Idź się walić. – Popatrzył wyzywająco na pozostałych klientów.

– Chyba będzie lepiej, jeśli porozmawiamy na osobności – stwierdziłem. – Może w twoim mieszkaniu?

Od dwudziestu lat mieszkał w tym samym pokoju nad księgarnią Atlantis. Widziałem, że nie ma ochoty mnie tam zabrać, chociaż to było tuż za rogiem i już wcześniej go odwiedzałem. Początkowo próbował udawać, że będziemy mieli problemy z dostaniem się do środka.

– Sklep jest zamknięty – odrzekł. – Musielibyśmy skorzystać z tylnego wejścia. – W końcu przyznał: – Nie mogę tam wrócić przez najbliższą godzinę albo dwie. Wczoraj w nocy zrobiłem coś, przez co teraz może tam nie być bezpiecznie. – Uśmiechnął się szeroko. – Wiesz, co mam na myśli – dodał.

Nie mogłem go skłonić do dalszych wyjaśnień. Skaleczenia na jego nadgarstkach przypomniały mi, jak spanikowani byli Pam i Lucas, kiedy ostatnio z nimi rozmawiałem. Nagle zapragnąłem koniecznie odwiedzić jego pokój.

– Zawsze możemy porozmawiać w muzeum – zaproponowałem. Pewnego popołudnia przed rokiem podczas przeglądania zbioru rękopisów na jednej ze stron „Chroniques d’Angleterre” autorstwa Jean de Wavrin – niejasnej historii, której pełnej wersji nikt nie zna – Yaxley natrafił na miniaturę, która w dziwnych, nierzeczywistych odcieniach zieleni i błękitu przedstawiała koronację Ryszarda

Lwie Serce.

Część miniatury się poruszyła; nigdy nie zdradził, która to była część.

„Podobno to koronacja, ale czy ci czterej mężczyźni niosą trumnę?”, napisał wtedy do mnie niemal żałośnie. „No i kto idzie pod płóciennym dachem – razem z biskupami, chociaż sam nie jest biskupem?”.

Od tamtej pory w miarę możliwości unikał wizyt w tym budynku, chociaż stale widział jego wysokie żelazne ogrodzenie na końcu ulicy. Zwierzył mi się, że zaczął wąpić w autentyczność niektórych eksponatów ze średniowiecznych zbiorów. Ale tak naprawdę się ich obawiał.

– Tam byłoby spokojniej – nalegałem.

Siedział zgarbiony nad egzemplarzem „Church Times”, patrząc na ulicę i trzymając przed sobą mocno zaciśnięte dłonie. Widziałem, że się namyśla.

– Pierdolona kupa gówna! – rzekł w końcu. Wstał z krzesła.

– Więc chodźmy. Zresztą, już się pewnie przejaśniło. – Deszcz skapywał z błękitno-złotego frontu księgarni Atlantis. Na drzwiach wisiało wyblakłe powiadomienie: „Zamknięte na czas remontu”. Usunięto wystawę okienną, choć wyglądało na to, że na półce zostało kilka książek. Przez szybę z walcowanego szkła widziałem „Drzenie zasłony” W.B. Yeatsa – zawierające liryczne wezwanie do intuicyjnego rytuału „Hodos Chameliontos” – oparte na „Pamiętnikach Malte-Lauridsa Brigge” Rilkego. Kiedy zwróciłem uwagę Yaxleya na to przypadkowe zestawienie, tylko popatrzył na mnie z pogardą.

W księgarni unosił się zapach pociętego drewna i świeżego gipsu, ale na schodach ustępował on woni gotowanego jedzenia. Yaxley zaczął szukać klucza. Na przeciwległych ścianach jego wynajętego pokoju, który był dosyć duży i mieścił się na górnym piętrze, znajdowały się pozbawione zasłon podwójne okna. Mimo wszystko pomieszczenie nie było dobrze oświetlone. Przez jedno okno widać było mokre fasady budynków przy Museum Street, jaskrawozielony osad na parapetach, stiukowe woluty i girlandy szare od guana; po drugiej stronie ukazywała się część poczerniałej wieży zegarowej kościoła Świętego Jerzego w Bloomsbury, reprodukcja grobowca Mauzolosza widoczna na tle pędzących obłoków.

– Kiedyś słyszałem, jak ten zegar bił dwadzieścia jeden razy – zagadnął Yaxley.

– Nie wąpię – odparłem nieszczercze. – Poczęstujesz mnie herbatą?

Yaxley przez chwilę milczał. Potem się roześmiał.

– Nie zamierzam im pomóc – rzekł. – Dobrze o tym wiesz. Nie pozwolono by mi tego zrobić. Nasze czyny w Pleromie są nieodwracalne.

\*\*\*

– Pam, to wszystko skończyło się dwadzieścia lat temu.

– Wiem. Wiem o tym. Ale... – Nagle urwała, po czym dodała zduszonym głosem: – Możesz tutaj podejść? Tylko na chwilę?

Dom, jak wiele budynków w Górach Pennińskich, wzniesiono na zboczu doliny. Niemal pionową skarpe, na której stał, podtrzymywał prawie dziesięciometrowy mur oporowy zbudowany bez zaprawy murarskiej, czarny od wilgoci nawet w środku lipca, pokryty porostami i kępami paproci jak ściana urwiska. W zimowych miesiącach woda dzień w dzień spływała po murze, skapując do kamiennej niecki z odgłosem, który przypominał kapanie kranu w nocy. Na tyłach domu znajdowało się przejście o szerokości zaledwie pół metra, wypełnione popękkanymi dachówkami i innymi śmieciami.

– Wszystko w porządku – zapewniłem Pam, która wpatrywała się z zaskoczeniem w gęstniejący mrok, przekrzywiając głowę i unosząc ścierkę do ust, jakby zrobiło jej się niedobrze.

– Wie, kim jesteśmy – wyszeptła. – Pomimo środków ostrożności, zawsze nas zapamiętuje.

Zadrżała, odsunęła się od okna i zaczęła nalewać wodę do filtra ekspresu do kawy, tak niezdarnie, że musiałem objąć ją ramieniem i powstrzymać.

– Lepiej usiądź, zanim się poparzysz. Ja dokończę, a ty opowiedz, co się stało.

Zawahała się.

– No dalej – zachęciłem ją. – Dobrze?

– Dobrze.

Przeszła do salonu i usiadła. Jeden z kotów wbiegł do kuchni i popatrzył na mnie z wyczekiwaniem.

– Nie dawaj im mleka! – zawołała. – Wypiły trochę rano, zresztą zawsze mają po nim biegunkę.

– Jak się czujesz? – spytałem. – Chodzi mi o twoje zdrowie.

– Tak, jak się można spodziewać.

Powiedziała, że zażyła trochę propranololu na migrenę, ale ten nigdy jej nie pomógł. Co prawda skracał napady bólu głowy, ale jako skutek uboczny powodował silne zmęczenie. „Spowalnia pracę serca. Czuję, jak ono zwalnia”. Patrzyła na parującą kawę w filiżance. Para początkowo powoli się unosiła, a potem gwałtownie zawirowała, jakby pod wpływem słabego podmuchu. Wiry tworzą się i znikają na powierzchni głębokiej, gładkiej rzeki. Powolny ruch po spirali, nagłe zawirowanie. To, co wydawało się spokojne, okazuje się złożone, a jedynym wyjściem jest ruch.

Przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie:

Miała wtedy dwadzieścia lat. Była drobną, pobudliwą, atrakcyjną dziewczyną, która nosiła dżersejowe sukienki w kolorze mchu, żeby chwalić się swoimi biodrami i talią. Później strach odebrał jej delikatność. Po rozwodzie, w jej oszalałymi rudych włosach pojawiło się kilka siwych pasemek, więc nierówno się ostrzygła i przefarbowała na czarno. Spotężniała. Jej ciało się rozszerzyło i nabrało muskularnego ciężaru. Nawet jej dłonie i stopy jakby urosły.

„Zanim się obejrzysz, stajesz się stary”, mawiała. „Zanim się obejrzysz”.

Po rozstaniu z Lucasem nie potrafiła długo wytrzymać w jednym miejscu; przeprowadzała się co około pół roku, chociaż nigdy daleko, zawsze do podobnych rozsypujących się, ponuro urządzonych domków, co pozwalało podejrzewać, że szukała właśnie tego, co czyniło ją nerwową i chorą; a także starała się ograniczyć do pięćdziesięciu papierosów dziennie.

– Dlaczego Yaxley nigdy nam nie pomógł? – spytała. – Na pewno wiesz.

\*\*\*

Yaxley wyłowił dwie filiżanki z plastikowej miski do mycia naczyń i włożył do nich torebki z herbatą.

– Nie mów, że ty też się boisz! – rzekł. – Więcej się po tobie spodziewałem.

Pokręciłem głową. Nie byłem pewien, czy się boję. Dzisiaj też tego nie wiem. Herbata, gdy wreszcie się pojawiła, miała wyraźnie tłusty posmak, jakby ją usmażył. Zmuszałem się do picia, podczas gdy Yaxley obserwował mnie cynicznie.

– Lepiej usiądź – zasugerował. – Jesteś wyczerpany.

Kiedy odmówiłem, wzruszył ramionami i wrócił do naszej rozmowy, jakbyśmy nadal byli w Tivoli:

– Nikt ich nie oszukał ani nie udawał, że będzie łatwo. Z takiego eksperymentu można wynieść coś dla siebie tylko wtedy, gdy zachowa się chłodną głowę i podejmie ryzyko. Jeśli będziesz działał ostrożnie, możliwe, że w ogóle nie pozwolą ci się ruszyć. – Wyglądał na zamyślonego. – Widziałem, co spotyka ludzi, którzy tracą zimną krew.

– Nie wątpię – odparłem.

– Niektórych z nich trudno było rozpoznać.

Odstawiłem filiżankę.

– Nie chcę wiedzieć – odrzekłem.

– Na pewno nie.

Uśmiechnął się.

– Nadal żyli – dodał cicho – jeśli to cię martwi.

– Namówiłeś nas – przypomniałem.

– Sami się namówiliście.

Brudnozielona tapeta oraz lepka żółta okleina mebli od razu pochłaniały większość światła, które wpadało do pokoju od strony Museum Street. Reszta stopniowo wsącała się w przedmioty zalegające na podłodze, zmięte i nadpalone kartki maszynopisu, ścinki włosów, połamane kawałki kredy, którą poprzedniej nocy narysowano coś na łuszczącym się linoleum: pośród tych śmieci blask dogorywał. Chociaż wiedziałem, że Yaxley prowadzi ze mną jakąś grę, nie rozumiałem jej zasad. Nie potrafiłem się zdobyć na wysiłek, więc ostatecznie musiał mnie wyręczyć. Zaczekał, aż zbiorę się do wyjścia.

– Pewnego dnia będziesz miał tego dosyć – rzuciłem od progu.

Wyszczrzył się i pokiwał głową, a następnie udzielił mi rady:

– Czy kiedyś widziałeś, jak Joanna d’Arc kłęka do modlitwy przy kasach biletowych na dworcu St Pancras? A potem mały chłopiec przyprowadza coś, co przypomina kozła, a ten na nią wskakuje i rżnie ją w promieniach słońca? Wróć, kiedy będziesz wiedział, czego chcesz. Pozbądź się Lucasa Medlara, to amator. Przyprowadź dziewczynę, jeśli musisz.

– Odpierdol się, Yaxley.

Nie odprowadził mnie na ulicę.

Tamtego wieczoru musiałem to powiedzieć Lucasowi.

– Yaxley już więcej nie będzie z nami rozmawiał.

– Chryste – odrzekł i przez chwilę myślałem, że się rozpłacze. – Pam tak źle się czuje – wyszeptał.

– Co powiedział?

– Zapomnij o nim. Nie potrafiłby nam pomóc.

– Pobieramy się z Pam – oznajmił pośpiesznie Lucas.

## DWA

### N'AIMEZ QUE MOI

Cóż mogłem powiedzieć? Wiedziałem równie dobrze jak oni, że robili to wyłącznie dla wygody. Nic bym nie zyskał, gdybym ich zmusił, żeby to przyznali. Poza tym byłem tak zmęczony, że ledwie stałem. Yaxley mnie wyczerpał. W moim lewym oku pojawiała się jakieś zaburzenie, lśniący zygzak przypominający rozświetlone schodki. Dlatego pogratulowałem Lucasowi i jak najszybciej skupiłem myśli na czymś innym.

– Yaxleya przeraża Muzeum Brytyjskie – rzekłem. – W pewnym sensie go rozumiem.

Jako dziecko też nienawidziłem tego miejsca.

Wszystkie rozmowy, echa głosów, kroków oraz szelestów ubrań gromadziły się pod jego wysokimi sufitami w formie jednolitego szmeru – niewyraźnych i zmieszanych resztek znaczenia – który sprawiał, że czułem się jak dziecko porzucone przez rodziców na opuszczonej pływalni. Później, jako nastolatek, bałem się ogromnych bezkształtnych głów w sali numer 25 i ich niejasnych opisów. Wyraźnie widziałem, co się tam znajduje – „Głowa króla wyrzeźbiona z czerwonego piaskowca...”, „Głowa gigantycznego posągu króla wyrzeźbionego z czerwonego granitu...” – ale na co patrzyłem? Opis to nie wyjaśnienie. Pozbawiona twarzy drewniana rzeźba Ramzesa wynurzała się z niszy niedaleko drzwi toalety; to był Ramzes, który musiał się podpierać kijem: pęknięty, drażony syfili- sem, nadjezdzony przez robaki podczas podróży przez świat, ale skazany na nieustanne beznadziejne zmagania.

– Chcemy wyjechać na północ – dodał Lucas. – Z dala od tego wszystkiego.

\*\*\*

Wraz z upływem popołudnia Pam stawała się coraz bardziej niespokojna.

– Słuchaj, czy ktoś jest w przejściu? – spytała. – Możesz mi powiedzieć prawdę.

Kiedy kilkakrotnie zapewniła, że nie może mnie wypuścić bez czegoś do zjedzenia, i obiecała, że coś nam ugotuje, jeśli zaparzę kawę, zrozumiałem, że boi się sama wrócić do kuchni. Po każdym takim stwierdzeniu natychmiast zmieniała temat.

– Niezależnie od tego, ile kawy piję, zawsze mam sucho w gardle. To przez papierosy – mówiła.

Albo stwierdzała:

– Nie znoszę ciemnych popołudni.

Często wracała do kwestii wieku. Zawsze nienawidziła czuć się staro.

– Czeszesz włosy rano i nagle mija kolejne dziesięć lat, a wyrwane włosy i okruchy łupieżu są jak stare zdjęcia, które sypią się na ziemię. Tak często się przeprowadzaliśmy po studiach – ciągnęła, jakby związek między tymi dwiema sprawami był dla mnie oczywisty. – Nie dlatego, że nie potrafiłam usiedzieć w jednym miejscu, ale raczej musiałam co jakiś czas z czegoś zrezygnować, jakbym składała ofiarę. Jeśli podobała mi się praca, którą wykonywałam, zawsze ją rzucałam. Biedny Lucas! – Roześmiała się. – Czy czasami też się tak czujesz? – Skrzywiła się. – Pewnie nie – dodała. – Pamiętam pierwszy dom, w którym zamieszkaliśmy, obok Dunford Bridge. Był olbrzymi i rozpadał się w środku! Nikt nie chciał go kupić, dopóki nie pojawiliśmy się z Lucasem. Każdy z poprzednich właścicieli próbował jakoś go podzielić, żeby dało się w nim mieszkać. Ludzie wstawiali nowe schody albo łączyli dwa pokoje. Odcinali część pomieszczeń, ponieważ nie stać ich było na ogrzewanie całości. Potem wycofywali się przed zakończeniem robót i pozostawiali dom kolejnym lokatorom...

Nagle urwała.



– Nigdy nie potrafiłam tam utrzymać porządku – stwierdziła.

– Lucas zawsze go uwielbiał.

– Tak ci powiedział? Nie zwracaj na niego uwagi – ostrzegła. – Robotnicy zostawili tyle śmieci w ogrodzie, że nie dało się tam niczego zasadzić. No i te zimy! – Zadrzała. – Sam wiesz, jak tam jest. W pokojach cuchnie propanem i butanem. W ciągu tygodnia Lucas ściągnął tam wszystkie możliwe przenośne grzejniki. Nienawidziłam zimna, ale nie tak bardzo jak on. Ech, Lucasie, Lucasie, Lucasie – skarciła go z czułością, jakby był z nami w pokoju. – Ależ go nie znosiłeś i jakież byłeś nieporządkowy!

Zrobiło się ciemno, ale młodszy z kotów wciąż wpatrywał się w szarawą, deszczową studnię ogrodu, za którym majaczył – jako powiększająca się linia cienia, nad którą nisko pędziły chmury – skraj wrzosowiska. Pam wciąż pytała kota, co tam widzi.

– Tylko dawne zbrodnie – stwierdziła. – Dzieci pogrzebane na wrzosowiskach. – W końcu wstała z westchnieniem i zepchnęła zwierzaka na ziemię. – Tam jest miejsce kotów. Powinny być na podłodze.

Spadło kilka papierowych kwiatów, a Pam się po nie schyliła.

– Jeżeli istnieje Bóg, taki prawdziwy, to już dawno dał sobie spokój. Nie jest zgorzkniały, ale apatyczny. – Skrzywiła się i uniosła dłonie do oczu. – Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zgaszę górne światło? – spytała. – On wniknął we wszystko, tak że stał się nieskończenie cienką, rozciągniętą istotą, obecną w każdym atomie, ale tak zmęczoną, że już nie potrafi dalej działać, tak wymizerowaną, że można mu tylko współczuć popełnionych błędów. Oto prawdziwy Bóg. My widzieliśmy coś, co zajęło jego miejsce.

– Co widzieliśmy, Pam?

Wbiła we mnie wzrok.

– Wiesz, nigdy nie byłam pewna, czego Lucas ode mnie oczekuje – odparła.

Słaby żółty blask stołowej lampki oświetlał bok jej twarzy. Niemal bezustannie przypalała nowe papierosy, po czym zginała je, na wpół wypalone, w gnieździe z niedopałków na spodku swojej filiżanki.

– Wyobrażasz sobie? Przez te wszystkie lata nigdy nie wiedziałam, czego chce.

Wydawało się, że przez chwilę się nad tym zastanawia. W końcu odezwała się z namysłem:

– Mam wrażenie, że nigdy mnie nie kochał. – Ukryła twarz w dłoniach.

Wstałem, zamierzając ją pocieszyć. Wtedy bez ostrzeżenia zerwała się z krzesła i zbliżyła do mnie o kilka kroków, rozpaczliwie i chaotycznie. Na środku pokoju zderzyła się z niskim stolikiem ozdobionym mozaiką, który ktoś dwadzieścia lat wcześniej przywiózł z wyprawy do Kaszmiru. Kilka książek w miękkiej oprawie oraz wazon z zawilcami poleciały w powietrze. Kwiaty najlepsze dni miały już za sobą. Pam opuściła wzrok na egzemplarze „Love for Lydia” i „The Death of the Heart”, przykryte dużymi niebieskimi i czerwonymi płatkami niczym brudnymi chusteczkami; z namysłem dotknęła ich stopą. Zakrztusiła się pod wpływem smrodu brudnej wody po kwiatkach.

– Ojej, co my pocniemy, Lucasie – wyszeptała.

– Nie jestem Lucasem – odrzekłem łagodnie.

Kiedy podnosiłem książki i wycierałem ich okładki, najwyraźniej przewyciężyła strach przed kuchnią – później doszedłem do wniosku, że może po prostu o nim zapomniała – gdyż usłyszałem, że szuka szufelki i szczotki, które trzymała pod zlewem. Podejrzywałem, że migrena już prawie odebrała jej wzrok.

– Ja to zrobię, Pam! – zawołałem zniecierpliwionym głosem. – Usiądź sobie.

Nagle głośno westchnęła, a potem rozległ się jakiś łoskot i dwukrotnie powtórzyła moje imię.

– Pam, nic ci się nie stało?

Nikt nie odpowiedział.

– Halo? Pam?

Znalazłem ją obok zlewu. Rzuciła szufelkę i szczotkę i zaciskała dłonie na mokrej szmacie do podłogi, tak mocno, że mięśnie na jej krótkich przedramionach napinały się jak u stolarza. Woda ściekała jej po spódnicy.

– Pam?

Wyglądała przez okno na wąskie przejście, gdzie w świetle długiej kuchennej jarzeniówki wyraźnie było widać coś dużego i białego, co wisiało w powietrzu i obracało się jak poczwarka pośród ligustrów.

– Chryste! – zawołałem.

Obiekt poruszył się, a następnie znieruchomiał, jakby to, co znajdowało się w środku, zmęczyło się próbami wydostania się na zewnątrz. Po chwili zwinął się od zwężonej podstawy i jakby się rozdzielił, a potem ponownie złączył. W jednej chwili zrozumiałem, że patrzę na ruchy dwóch organizmów, dwóch nagich ludzkich postaci zawieszonych w powietrzu, które na zmianę wiły się, obejmowały i rozłączały, stale ukazując się od innej strony, tak że najpierw widziałem plecy mężczyzny, potem plecy kobiety, a następnie obie postacie z boku. Kiedy ujrzałem ich po raz pierwszy, byli złączeni ustami. Kobieta miała zamknięte oczy; później oparła głowę na ramieniu partnera. Po jakimś czasie zwrócili uwagę na Pam. Mieli bardzo bladą skórę, matową jak biała czekolada, ale to mógł być efekt światła. Pomiędzy nami wirował deszcz ze śniegiem, ale nie przesłaniał nam widoku.

– Czym oni są, Pam?

– To cierpienie nigdy się nie skończy – odparła niewyraźnym, zachrypniętym głosem. – Podążają za mną wszędzie, dokąd się udam.

Nie potrafiłem oderwać od nich wzroku.

– Czym oni są?

Łączyło ich coś, co – gdyby skupiali uwagę na sobie nawzajem – można by nazwać miłością. Kłótyli się i powoli obracali na tle czarnej mokrej ściany, jak ryby w akwarium. Chwytiłem Pam za ramiona.

– Zabierz ich – powiedziała niewyraźnie. – Dlaczego zawsze na mnie patrzą? – Zakaszła, otarła usta i odkręciła zimną wodę. Zaczęła drżeć; targały nią silne pojedyncze spazmy. – Zabierz ich.

Chociaż dobrze wiedziałem, że oni tam są, popełniłem błąd i nigdy nie uwierzyłem, że są prawdziwi. Pomyślałem, że Pam się uspokoi, jeśli nie będzie ich widziała. Ale nie pozwalała mi zgasić światła ani zasunąć zasłon, a kiedy próbowałem ją zachęcić, żeby oderwała się od krawędzi zlewu i przeszła ze mną do salonu, tylko żałośnie pokręciła głową i ogarnęły ją torsje.

– Nie, zostaw mnie – poprosiła. – Nie chcę, żebyś teraz ze mną był. – Jej ciało zeszywniało. Była niezdarna jak dziecko, ale miała w sobie mnóstwo siły.

– Spróbuj stąd odejść, Pam, proszę.

Popatrzyła na mnie bezradnie.

– Nie mam czym wytrzeć nosa. – Pociągnąłem ją wściekle i upadliśmy. Wylądowałem ramieniem na szufelce, w ustach miałem pełno jej włosów, które śmierdziały popiołem z papierosów. Czułem, jak jej dłonie poruszają się po moim ciele.

– Pam! Pam! – wołałem.

Wydostałem się spod niej – znów zaczęła stękać i wymiotować – i oglądając się przez ramię na uśmiechnięte istoty w przejściu, wybiegłem z kuchni, a następnie z domu. Słyszałem własny paniczny szloch. – „Dzwonię po Lucasa, nie wytrzymam tego, dzwonię po Lucasa” – zupełnie, jakbym wciąż do niej mówił. Szedłem na oślep przez wioskę, aż w końcu znalazłem budkę telefoniczną naprzeciwko kościoła.

Pamiętam, że ktoś – może Yaxley, chociaż prawdę mówiąc, to zbyt zgrabna myśl jak na niego – kiedyś powiedział: „To żadne zwycięstwo poczuć, że wymknąłeś się życiu”. Rozmawialiśmy o Lucasie Medlarze.

– Życ intensywnie można tylko kosztem własnego ja. Niechęć Lucasa do całkowitego poświęcenia ostatecznie sprawi, że stanie się wynędzniały i nierzeczywisty. Będzie wałęsał się ulicami nocą i wpa-trywał w rozświetlone witryny sklepowe. Uratuje się, ale zawsze będzie się zastanawiał, czy było warto.

Wtedy uznałem to za ostre słowa. Nadal tak uważam. W przypadku Lucasa chodziło o energię, a nie motywację, o depresję i niepewne strefy związane z jego cykliczną osobowością, a nie o świadome oszczędzanie sił.

– Wydarzyło się tutaj coś bardzo niedobrego – stwierdziłem, a on zamilkł. Po kilku chwilach zachęciłem go do odpowiedzi: – Lucasie?

Miałem wrażenie, że odparł:

– Na miłość boską, odłóż słuchawkę i zostaw mnie w spokoju.

– To pewnie problemy na łączach – odparłem. – Twój głos brzmi, jakbyś był gdzieś daleko. Ktoś jest z tobą?

Znów zamilkł.

– Lucasie? Słyszysz mnie?

– Jak się czuje Pam? – spytał w końcu. – Chodzi mi o jej zdrowie.

– Niezbyt dobrze – odrzekłem. – Ma jakiś atak. Nawet nie wiesz, jaka to ulga, że mogę z kimś porozmawiać. Lucasie, w przejściu za oknem kuchni są dwie całkowicie nierzeczywiste postacie. Robią ze sobą coś... Posłuchaj, są trupio blade i cały czas się do niej uśmiechają. To najohydniejsza rzecz, jaką...

– Zaczekaj – przerwał mi. – Chcesz powiedzieć, że ty też je widzisz?

– Właśnie to chcę powiedzieć. Problem w tym, że nie wiem, jak jej pomóc. Lucasie?

Połączenie zostało przerwane.

Odłożyłem słuchawkę i ponownie wybrałem jego numer. Sygnał zajętej linii trwał bez końca. Po-tem powiedziałem Pam: „Na pewno ktoś inny do niego zadzwonił”, ale wiedziałem, że po prostu zdjął słuchawkę z widełek. Stałem przez chwilę, drżąc pod wpływem wiatru, który wiał od wrzosowisk, i mając nadzieję, że Lucas zmieni zdanie. W końcu tak zmarzłem, że musiałem się poddać i wrócić. Kiedy szedłem przez wioskę, zacinający deszcz ze śniegiem cały czas padał mi na twarz. Kościelny zegar oznajmił godzinę wpół do siódmej, ale ulice były ciemne i wyludnione. Słyszałem tylko wiatr szeleszczący czarnymi foliowymi workami pełnymi śmieci, które piętrzyły się wokół ku-  
błów.

Cywilizacja – jeśli można ją tak nazwać – naznaczyła wrzosowiska w Penninach kanałami i torami kolejowymi, wielkimi projektami dziewiętnastowiecznej inżynierii cywilnej. Od tamtej pory okolica podupadła. W Longdendale i dolinie Chew wciąż trwają tamy i łańcuchy zbiorników, ale ich architektura jest monolityczna i nieproporcjonalna. Ślady ludzkiej obecności w tych miejscach obsesji – garstka domów, kamieniołomy, cmentarz – są rozrzucone po całej okolicy. Nie pozostało nic dla ludzi. Wciąż mieszka tutaj kilku rolników. Myra Hindley i Ian Brady, „mordercy z wrzosowisk”, w latach sześćdziesiątych grzebali swoje ofiary niedaleko domku Pam. Poza tym, sterty odpadów górniczych i strzaskanych skrzyń strzegą tylko pustki. Mimo to czułem się prześladowany.

– Pierdol się, Lucasie – szepnąłem. – No to się pierdol.

Dom Pam był równie cichy jak cała reszta.

Wszedłem do ogródka od frontu i przycisnąłem twarz do szyby, licząc, że uda mi się zajrzeć do kuchni przez otwarte drzwi salonu. Z tego kąta widziałem jednak tylko ścienny kalendarz z kolorowym zdjęciem perskiego kota: październik.

Nigdzie nie było Pam.

Stałem na rabatce. Deszcz ze śniegiem zmienił się w śnieg. W końcu wszedłem do domu.

W kuchni poczułem nie tyle smród wymiocin, ile cierpkość, jaka powstaje gdzieś w głębi gardła. Przejście za domem było puste, skąpane w jasnej fluorescencyjnej poświacie. Trudno było sobie wyobrazić, że cokolwiek tam się wydarzyło. Jednocześnie nic nie wyglądało przyjaźnie, ani stare dachówki, ani kępy paproci wyrastające z muru oporowego, ani nawet śnieg zbierający się w szparach pomiędzy kamieniami. Zauważyłem, że nie mam ochoty odwracać się plecami do okna. Gdy zamykałem oczy i próbowałem przywołać obraz białej pary, widziałem tylko ich uśmiech. Lodowate powietrze powoli sączyło się ponad zlewem, a koty przyszły, żeby się o mnie ocierać i plątać mi się pod nogami; kran wciąż był odkręcony.

Zagubiona Pam pootwieriała wszystkie kuchenne szafki i rozłożyła ich zawartość na podłodze. Rondle, sztucce i opakowania z suszonym jedzeniem leżały razem z polietylenowym wiadrem i żółtymi ściereczkami. Przewrócona butelka z detergentem zaległa pośród kilku puszek kociego jedzenia. Niektóre z nich Pam otworzyła, inne tylko przedziurawiła, a następnie porzuciła albo zapomniała, gdzie trzyma otwieracz. Trudno było się zorientować, co zamierzała zrobić. Pozbierałem wszystko i schowałem na miejsce. Nakarmiłem koty, żeby zostawiły mnie w spokoju. Kilka razy słyszałem, że Pam hałasuje na piętrze.

Była w łazience; siedziała na staroświeckim różowym linoleum i usiłowała się ubrać.

– Na litość boską, idź sobie – powiedziała. – Sama sobie poradzę.

– Och, Pam.

– W takim razie wlej trochę środka odkażającego do niebieskiego wiaderka.

\*\*\*

– Kim oni są, Pam? – spytałem.

To było później, kiedy już ją ułożyłem w łóżku.

– Kiedy to się zacznie, nie można się uwolnić – odrzekła.

Jej odpowiedź mnie rozdrażniła.

– Uwolnić od czego, Pam?

– Przecież wiesz – odparła. – Lucas powiedział, że jeszcze przez wiele tygodni miałeś halucynacje.

– Nie miał prawa tak mówić!

Moje słowa zabrzmiały absurdalnie, więc zaraz dodałem, najpogodniej jak byłem w stanie:

– To było dawno temu. Już nie jestem tego taki pewien.

Migrena ją wyczerpała, ale jednocześnie wyraźnie uspokoiła. Pam umyła włosy i razem znaleźliśmy dla niej czystą nocną koszulę. Gdy tak siedziała w pogodnej niewielkiej sypialni z tanimi zdobieniami i nowoczesną tapetą, wyglądała na zagubioną i młodą, wolną od bólu. Wciąż przepraszała za odważny wzór na swojej białej kołdrze, czarno-czerwone kwiaty o splecionych łodygach, po których wodziła palcem wskazującym prawej ręki.

– Podoba ci się? Sama nie wiem, po co ją kupiłam. W sklepie rzeczy wyglądają na takie jasne i pełne życia – stwierdziła smętnie – ale gdy tylko przyniesie się je do domu, zaraz stają się prymitywne. – Starszy z kotów wskoczył na łóżko; mruczał za każdym razem, gdy Pam się odzywała. – Nie powinien tutaj być i dobrze o tym wie.

Nie chciała niczego zjeść ani wypić, ale namówiłem ją, żeby zażyła propranolol, i jak dotąd go nie zwróciła.

– Kiedy to się zacznie, nie można się uwolnić – powtórzyła.

Podążając palcem po wzorze na kołdrze, przypadkowo dotknęła suchego, siwiejącego futra kota; popatrzyła na swoją dłoń, jakby to ona ją zwiodła.

– Lucas uważał, że podąża za nami jakiś zapach.

– Owszem – zgodziłem się.

– Ignorowanie go nic nie da. Początkowo oboje tego próbowaliśmy. To woń róż, tak twierdził Lucas.

Roześmiała się i ujęła moją rękę w obie dłonie.

– Bardzo romantyczne! – odparłem. – Ja nie mam zmysłu węchu, na swoje szczęście straciłem go wiele lat temu!

To jej przypomniało o czymś jeszcze.

– Kiedy po raz pierwszy dostałam ataku, zataiłam go przed matką, ponieważ towarzyszyła mu wizja. Byłam jeszcze dzieckiem. Wizja była bardzo przyjemna: brzeg morza, stromy i pozbawiony piasku, oraz mężczyźni i kobiety leżący na kamieniach w blasku słońca jak jaszczurki, wpatrzeni beznamiętnie w eksplodujące przed nimi fontanny wody; potężne fale, które równie dobrze mogłyby się pojawiać na ekranie w kinie, ponieważ nie zwracali na nie większej uwagi.

Zmrużyła oczy, zaskoczona.

– Zastanawiałam się, dlaczego są tacy nierozsądni.

Spróbowała zepchnąć kota z łóżka, ale on tylko wygiął się jak guma i uniknął jej dłoni. Gwałtownie ziewnęła.

– Jednocześnie – kontynuowała po krótkiej przerwie – widziałam, że pająki utkały swoje sieci pomiędzy skałami, stopę albo dwie ponad linią przyływu. – Chociaż pajęczyny drżały i czasami pokrywały je krople rosy, dzięki czemu lśniły w słońcu, nitki nie popękały. – Pam nie potrafiła opisać poczucia kruchości i niepokoju, które ją wtedy ogarnęło. – Tak blisko tej całej przemocy. Zastanawiałam się, dlaczego są takie nierozsądne – powtórzyła. – Ostatnie, co usłyszałam, to czyjeś ostrzeżenie. „W samotności naprawdę można usłyszeć głosy w przyływie...”.

Uśmiechnęła się.

– Wejdiesz tutaj do mnie? – spytała, podnosząc brzeg kołdry. – Tylko na chwilę? W końcu Lucasowi to już nie powinno przeszkadzać, prawda?

– Pam, nie jesteś...

– Rozbierz się. Chodź tutaj i przynajmniej mnie przytul. – Zrobiła mi trochę miejsca. – Pozostałeś młody, podczas gdy ja się zestarzałam.

A potem:

– Tutaj, dotknij. Tak. – Obejmowałem ją, dopóki nie zasnęła. W nocy stary kot spokojnie ale nie-strudzenie chodził po kołdrze, jakby nie potrafił sobie znaleźć wygodnego miejsca. Pogładziłem futro na jego kościstej głowie. Donośne mruczenie wypełniło pokój. Pam natychmiast się obudziła i zobaczyła, że się od niej odsunąłem.

– Cieszę się, że coś zyskałeś – odezwała się. – Lucasowi i mnie nigdy się to nie udało. Róże! Już dla nich było warto.

Po chwili dodała:

– Przytul mnie. Wejdź we mnie jeszcze raz.

Myślałem o tym, jacy byliśmy dwadzieścia lat wcześniej. Obudziłem się wczesnym rankiem. Nie wiedziałem, gdzie jestem, dopóki nie podszedłem chwiejnie do okna i nie zobaczyłem ulicy przysypanej śniegiem. Ponownie nakarmiłem koty. Kiedy wyszedłem z domu, Pam jeszcze spała. Miała minę, jaką robią ludzie, gdy nie mogą uwierzyć w to, co sobie przypomnieli na swój temat. Wtedy

widziałem ją po raz ostatni przed atakiem choroby.

– W samotności naprawdę można usłyszeć głosy w przypływie – powiedziała. – Tego samego dnia po raz pierwszy dostałam okresu. Przez lata byłam przekonana, że moje ataki zaczęły się przez miesiączkę.

\*\*\*

Jeszcze długo po naszym bezcelowym spotkaniu Yaxley nawiedzał mnie we śnie. Miał ręce mocno splecione na piersi, lewą dłoń zaciśniętą na prawym nadgarstku, i szybko wędrował pomiędzy kolejnymi salami Muzeum Brytyjskiego. Za każdym razem, gdy docierał do zakrętu albo rozwidlenia korytarzy, nagle się zatrzymywał i przez pół minuty wbijał wzrok w ścianę przed sobą, a następnie precyzyjnie skręcał we właściwą stronę i szedł dalej. Robił to z miną człowieka, który z jakiegoś powodu nauczył się chodzić z zamkniętymi oczami po znajomym budynku; jednakże w sposobie, w jaki patrzył na ściany – a zwłaszcza w jego wyprostowanej i sztywnej postawie – było też coś uroczyście hierarchicznego, aura celowości i rytuału. Jego buty oraz nogawki wyblakłych sztruksowych spodni były przemoczone, tak samo jak rankiem po obrzędzie, kiedy nasza czwórka wracała pieszo przez wilgotne pola w jasnym blasku słońca. Nie nosił skarpet.

We śnie zawsze się śpieszyłem, żeby go dogonić. Co jakiś czas przystawałem, żeby zapisać coś w notatniku, mając nadzieję, że mnie nie zauważy. Szedł pewnym krokiem przez muzeum, między oświetlonymi gablotami, w których trzymano dwunastowieczne rękopisy. Nagle się zatrzymał i obejrzał prosto na mnie.

– Na tym rysunku są plemniki. Wyraźnie je widać. Co plemniki robią na religijnej ilustracji?

Uśmiechnął się i bardzo szeroko otworzył oczy.

Wskazując palcem bok swojej głowy, zaczął się śmiać i niezrozumiale pokrzykiwać.

Kiedy odszedł, zobaczyłem, że oglądał nowotestamentową miniaturę z Psalterza Królowej Melisandy, przedstawiającą „Kobiety przy grobie”. Na ilustracji anioł zwracał uwagę Marii Magdaleny na dziwne świetliste kształty, które unosiły się przed nią w powietrzu. Rzeczywiście wyglądały jak plemniki, które często obramowują pełne cierpienia paryskie obrazy Edwarda Muncha.

Budziłem się gwałtownie i odkrywałem, że jest ranek, a ja płakałem.

\*\*\*

– W samotności naprawdę można usłyszeć głosy w przypływie, wołania o pomoc albo uwagę.

W nocy z południowego zachodu nadciągnął ciepły front. Śnieg już wcześniej zaczął mięknąć i topnieć, pennińskie stacje kolejowe przypominały ciekące rury spustowe, a wrzosowiska tkwiły pomiędzy szarymi obłokami. Dwaj mali chłopcy siedzieli naprzeciwko mnie w pociągu aż do Stalybridge, z namysłem trzymając na kolanach swoje całodobowe bilety. Mieli po osiem albo dziewięć lat. Byli ubrani w malutkie, idealne wełniane płaszczyki, obcisłe spodnie oraz buty „Dr Marten’s”. Z bliska ich ogolone czaszki wydawały się niebieskawe i delikatne, idealnie ukształtowane. Wyglądali jak uczniowie z buddyjskiej świątyni: posępni, o szeroko otwartych oczach, ulegli. Kiedy dotarłem do Manchesteru, padał lekki deszcz. Wiatr dął na całej długości Market Street i wdzierał się przez drzwi kawiarni Kardomah, gdzie umówiłem się z Lucasem Medlarem.

Pierwsze, co powiedział, to:

– Popatrz na te ciastka! Nie są plastikowe, jak współczesne wypieki. Pochodzą z gipsowej epoki kawiarnianych ciastek, z epoki gliny. To terakotowe ciastka, realistycznie pomalowane, w niektórych miejscach glazurowane, żeby idealnie oddać pęknięcia i niedoskonałości, jakie miałyby prawdziwe ciasto! Czyż nie są cudowne? Zjem sobie jedno.

Usiadłem obok niego.

– Co się z tobą stało wczoraj wieczorem, Lucasie? To był cholerny koszmar.

Odwrócił wzrok.

– Jak się czuje Pam? – spytał. Czułem, że drży.

– Odpieprz się, Lucas.

Uśmiechnął się do niemowlaka w ohydny żółty kaftaniku. Dziecko odpowiedziało pustym, niezadowolonym spojrzeniem, doskonale zdając sobie sprawę, że należą do konkurencyjnych gatunków.

Kobieta siedząca w pobliżu odezwała się do swojej dwójki dzieci:

– Słyszałam, że w sobotę jedziecie na kolację do babci. Pewnie to jakaś specjalna okazja? – Lucas popatrzył na nią niechętnie, jakby mówiła do niego. – Jeśli po południu będziecie kupowali zabawki, oglądajcie je na miejscu, żeby nikt nie mógł was oskarżyć o kradzież. Nie zdejmujcie ich z półki.

Od strony kuchni dobiegł hałas, jakby taca z naczyniami spadła z niskich schodów.

Lucasowi najwyraźniej bardzo nie spodobał się ten dźwięk. Zadrżał.

– Czuję się równie źle jak Pam – rzekł. – Nigdy o tym nie myślisz – dodał oskarżycielsko, po czym ponownie popatrzył na niemowlaka. – Jeśli będziesz przesiadywać w takich miejscach, twój duch wywróci się na lewą stronę.

– Daj spokój, Lucasie, nie bądź taki rozpieszczony. Myślałem, że lubisz tutejsze ciastka.

– No dobrze, przepraszam – przyznał w końcu.

Mimo wszystko niczego się od niego nie dowiedziałem. Wyszliśmy z Kardomah, na wypadek gdyby jego duch miał się wywrócić na lewą stronę, ale Lucas tylko szedł pośpiesznie ulicami, jakby był sam. W centrum miasta było pełno wózków inwalidzkich, na których siedziały zgarbione staruszki o niecierpliwych, zapadniętych twarzach, częściowo łyse, owinięte sztywnymi białymi płaszczami przeciwdeszczowymi. Lucas postawił kołnierz swojego szarego kaszmirowego płaszcza, żeby osłonić się przed deszczem, ale sam płaszcz zostawił rozpięty, a rękawy nierówno podwinął, obnażając nadgarstki. Pozostawiał mnie bez tchu. Przekroczył czterdziestkę, ale wciąż miał łapczywe oblicze nastolatka. W połowie popołudnia na dolnych piętrach biurowców zapaliły się światła; obracające się neony słały sygnały w niebo. Lucas zatrzymał się i popatrzył w dół na znaczoną deszczem powierzchnię starego kanału, który nagle wyłania się spod jezdni obok stacji Piccadilly. Woda była mętna i tłusta, pokryta unoszącymi się kawałkami styropianu, które w słabnym świetle przypominały mewy.

– Tam na brzegu często widać ogniska – rzekł. – Ludzie, którzy nie mają dokąd pójść, toczą tam własne życie. Słysząc, jak śpiewają i pokrzykują na ścieżce holowniczej. – Popatrzył na mnie z namysłem. – Nie różnimy się od nich tak bardzo, prawda? Również niczego nie osiągnęliśmy.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Nie chodzi o to, że Yaxley zachęcił nas, żebyśmy coś w sobie zburzyli, ale po prostu nigdy nie dostaliśmy nic w zamian.

– Posłuchaj, Lucasie, ja tego tak nie postrzegam – wyjaśniłem. – Nigdy więcej tego nie zrobię. Wczoraj wieczorem się przestraszyłem.

– Przepraszam.

– Zawsze przepraszasz, Lucasie.

– Dzisiaj nie mam najlepszego dnia.

– Na litość boską, zapnij się.

– Nigdy nie marznę.

Popatrzył rozmarzonym wzrokiem na wodę – pociemniała, zmieniając się w bezdenny rów w kolorze opalu biegnący pomiędzy budynkami – nad którą być może widział kozły, ogniska, ludzi, którzy nie mieli dokąd pójść.

– „Pracowaliśmy, ale nam nie zapłacono” – zacytował. Coś sprawiło, że nieśmiało zapytał: – Nie kontaktowałeś się z tobą Yaxley?

Znudziła mi się cierpliwość. Miałem wrażenie, że wypełnia mnie po brzegi.

– Nie widziałem się z nim od dwudziestu lat, Lucasie. Dobrze o tym wiesz. Nie widziałem się z nim od dwudziestu lat.

– Rozumiem. Po prostu nie mogę znieść myśli, że Pam jest sama w takim miejscu. W przeciwnym razie bym o tym nie wspomniał. Mówiliśmy, że zawsze będziemy się trzymali razem, ale...

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? – wszedłem mu w słowo.

Posłał mi surowe spojrzenie.

– Wracaj do domu, Lucasie. Wracaj natychmiast.

Odwrócił się żałośnie i odszedł, znikając w beznadziejnym labiryncie pomiędzy Piccadilly i Victoria – wśród uliczek pełnych mokrych kartonowych pudeł, podupadłych sklepików z pornografią i zwierzętami oraz zachwaszczonych parkingów, czyli wszystkiego, co kryje się w cieniu wyłożonej żółtymi płytkami potężnej galerii handlowej Arndale Center. Chciałem go tam zostawić, ale ostatecznie ruszyłem za nim, żeby go przeprosić. Ulice były puste i spokojne: robiło się ciemno. Chociaż nie widziałem Lucasa, wyczuwałem go przed sobą. Na pewno szedł bardzo szybko, z pochyloną głową i rękami w kieszeniach. Prawie go dogoniłem niedaleko targu owocowego przy Tib Street, gdy nagle usłyszałem straszliwy łoskot, jakby ktoś potoczył środkiem ulicy stary cynkowany kubeł na śmieci.

– Lucasie! – zawołałem.

Kiedy skręciłem za róg, ujrzałem pełno rozbitych pudeł i skrzyń z owocami. Wszędzie wałały się zgniłe warzywa. Na chodniku leżały taczki. Cała scena sprawiała tak agresywne, chaotyczne i idiotyczne wrażenie, że nie potrafiłem tego wyrazić. Nigdzie jednak nie było Lucasa Medlara i chociaż krążyłem po okolicy jeszcze przez godzinę, zaglądając do uliczek i bram, nikogo nie znalazłem.

\*\*\*

Oczywiście okłamałem go w sprawie Yaxleya. Nie jestem pewien, co mną powodowało, ale raczej nieśmiałość niż poczucie winy. Nawet po tylu latach nie miałem pojęcia, co dalej robić. Niczego bym nie osiągnął, gdybym powiedział Pam i Lucasowi prawdę, czyli że odnowiłem kontakty z Yaxleyem na ich ślubie...



# TRZY

## „MICHAEL ASHMAN”

Rodzice Pam uparli się na ślubny namiot. Twierdzili, że mogą sobie na to pozwolić.

– No i mamy wystarczająco duży trawnik!

Do rodziny pana Stuyvesanta, która od czterech pokoleń mieszkała w dolinie Longendale, należał ulubiony dom towarowy mieszkańców Manchesteru. Kiedy, pod koniec wieku średniego, razem z żoną zostali jedynymi właścicielami tej rupieciarni – z podnoszonymi żelaznymi bramami, obrotowymi drzwiami „i tak dalej” – postanowili ją sprzedać. Przekonani, że nigdy nie zamieszkają poza Anglią, zdecydowali się wytrzymać jarzmo podatków i, zamiast uciec do Marbelli, podążyli za barwnymi dziecięcymi wspomnieniami pana Stuyvesanta do jednego ze starych kamiennych domów skrytych w lasach za cyplem Jenny Brown, klejnotem popularnego wśród emerytów wybrzeża Zatoki Morecambe. Zdecydowali się na zakup i niespodziewanie zamieszkali w wiosce Silverdale, z widokiem na Humphrey Head, urokliwymi zatoczkami i niewielkimi wapiennymi klifami oraz ogrodami pełnymi spokojnych żółtych złotokapów. Pani Stuyvesant po przybyciu wytrzymała w spokoju zaledwie miesiąc, po czym zmieniła nazwę domu na „Zamkowa Skała”. Kupiła sklepik z pamiątkami, w którym zaczęła sprzedawać hinduskie jedwabne szale. W wieku sześćdziesięciu lat wciąż nosiła pomarańczowy skórzany kostium. Pam, jej późne dziecko, które dorosło, a następnie dostało się do Cambridge, mieszkając niecały rzut kamieniem od morza, zawsze ją zadziwiała. Mimo że miała rude włosy i cechował ją prerafaelicki spokój, rozwinęły się w niej tylko miłość do książek i padaczka. „Co za ulga, że w ogóle wychodzi za mąż”, żartował pan Stuyvesant. Nic nie mogło go zniechęcić, nawet Lucas Medlar, początkujący nauczyciel angielskiego, absolwent kiepskiej uczelni, który zamierzał mieszkać niedaleko Manchesteru, początkowo w ogóle odmówił ślubu kościelnego, a w końcu – gdy Pam przekonała go, że to bez znaczenia – przyszedł na ceremonię chudy i wrogo nastawiony, ubrany w wypożyczony frak.

Mój pociąg się spóźnił. Kiedy dotarłem na miejsce, pan Stuyvesant właśnie wstał. Miał zamiar powiedzieć kilka słów.

– Panie i panowie, jako ojciec panny młodej...

Pam siedziała obok niego, skryta w cieniu potężnych białych aksamitnych falban na ramionach sukni. Uśmiechnęła się i pomachała, kiedy mnie zobaczyła, widziałem jednak, że sytuacja ją przytłacza, mimo że sama ją sprowokowała.

Pod namiotem było ciepło, ale podłoga przechylała się w lewo, tak że każdy, kto siedział po tej stronie, miał wrażenie, że się z niej ześlizgnie. Podpierające słupki, ozdobione żółtymi i białymi wstążkami, trzeszczały niepewnie pod naporem wiatru od morza, który tego wieczoru przyniósł mgłę i deszcz znad zatoki. W powietrzu unosił się zapach soli; płótna na zmianę wybrzuszały się i obwisały; elektryczne żyrandole się kołysały. W połowie posiłku spod maty z włókna kokosowego zaczął wycierać kort tenisowy. Nie znałem tam nikogo oprócz Lucasa i Pam. Siedziałem samotnie, zwrócony plecami do ściany namiotu, popijałem szampana i wpatrywałem się w sufit, gdzie, wysoko ponad środkowym skupiskiem stołów, na których resztki szwedzkiego stołu walały się pośród żółtych kokard i sztucznych kwiatów, utknął czerwony balon wypełniony helem. Czwórka albo piątka dzieci również wbijała w niego wzrok, unosząc głowy pod identycznym kątem. Najwyraźniej sytuacja przytłoczyła nas wszystkich.

– Tak więc życzymy wam jak najlepiej – powtarzał ojciec Pam. – Dzielenie z kimś życia to niezwykle błogosławieństwo. Przede wszystkim życzymy wam trwałej miłości. – Powiedział to w taki sposób, jakby chciał rzec „miłości i pożądania”, po czym nagle usiadł z zaskoczoną miną i zaczął

szukać chusteczki.

Wszyscy bili brawo. Pokrojono tort. Potem przyszedł czas na serię przenikających się toastów:

– W takich chwilach...

– ...Wielebny, z którym jeszcze przed chwilą miałem przyjemność siedzieć...

– Wypada powiedzieć kilka słów...

– ...chciałbym podziękować swoim przyjaciołom Alecowi i Katie za niezwykłą gościnność, do jakiej zdążyli nas już przyzwyczaić...

– Brat Simon na przykład przyleciał z Australii „na dwa dni”, a przynajmniej tak twierdzi, więc impreza wcale nie jest zaściankowa!

Podczas tych pustych i niekompetentnych przemów – które dla mnie były chaotycznym koszmarem i porażką wszystkiego, co ta uroczystość miała sobą reprezentować – dzieci śmiały się przy każdym zawieszeniu głosu, jakby mniej interesowało je, co jest zabawne, a bardziej zależało im na zrozumieniu, kiedy należy się śmiać, żeby w późniejszym życiu mogły właściwie reagować ze względu nie tylko na treść, ale także rytm wydarzeń.

– Mogę tylko powiedzieć – ktoś zakończył – że gdybym dostał funta za każdym razem, gdy zastałem tę piękną dziewczynę z nosem w książce... Cóż, Lucasie, mam nadzieję, że wiesz, w co się wpakowałeś!

Na te słowa Lucas, którego własna przemowa była za cicha, niepewna i pełna nietrafionych aluzji, żałośnie popatrzył w dal i spróbował się uśmiechnąć. Pam nachyliła się, żeby dotknąć jego dłoni. Tkanina namiotu była w ciągłym ruchu, jak ogromny mięsień, marszczący się i napinający nad ich głowami. Ojciec Pam, który spoczywał jak kłoda na krześle pomiędzy młodymi, nagle się poruszył.

– A teraz! – zawołał ten sam młodzieniec, wstając, żeby wręczyć owinięty w celofan bukiet matce i ciotce panny młodej, pewnie na wypadek, gdyby poczuły się wykluczone.

– Nic z tych rzeczy! – przerwał mu ojciec. Poinformował nas, „przechodząc do poważniejszych spraw”, że pękła rura. – Zapraszam wszystkich na dół, dopóki grawitacja nie spuści wody na górze. – Kiedy się z tego zaśmiewali, usłyszałem niedaleko siebie głos, który zabrzmiał cicho, ale bardzo wyraźnie:

– Górny Świat opróżnia się ze wszystkiego, co do tej pory go dławiło.

Miałem wrażenie, że głos dobiegł od strony płótna obok mojego ramienia, ale nikogo tam nie zobaczyłem. W końcu popatrzyłem na ziemię obok swoich stóp. Tam ujrzałem twarz Yaxleya, która wychylała się ku mnie spod tkaniny namiotu. Pewnie leżał rozciągnięty na błocie. Widoczne oko niebieskie jak ptasie jajo, nieogolona szczęka przekrzywiona w jedną stronę, głowa wygięta pod tak dziwnym kątem, jakby rozmyślnie skręcił sobie kark.

– Chryste!

– Coś się dzieje w Pleromie – rzekł.

Nikt inny go nie zobaczył. Wydostałem się z namiotu i zdążyłem dostrzec jego powiewający płaszcz na trawniku prowadzącym w stronę lasu i morza ciemności. Pobiegłem za nim.

– Yaxley!

– To coś wielkiego! – odkrzyknął przez ramię. – Wszystkie znaki wskazują na wydarzenia o niewyobrażalnej skali!

– Yaxley!

– To próbuje mnie wciągnąć.

Dogoniłem go i chwyciłem za nadgarstek, miękki i pokryty nowymi nacięciami. Wywinął mi się i ponownie ruszył przez zacinający deszcz, zdążając w stronę plaży.

– Yaxley!

Przez chwilę błądziłem po lesie, aż w końcu wypadłem na nisko położony cypel, ciemny od kolcolistu, gdzie usłyszałem, jak cienka obwódka morza dyszy na piasku w odległości stu jardów.

– Yaxley! Yaxley! Zostaw ich w spokoju! – wołałem. Ale tym razem go zgubiłem, a mój głos bezskutecznie popłynął ponad zatoką. Stałem niepewnie na skraju cypla, nagle przekonany, że Yaxley wczółgał się w kolcolist u moich stóp i będzie tam leżał z uśmiechem wywołanym nagromadzonym szaleństwem, dopóki nie odejdę. Czy próbował się dostać do namiotu? Jeśli przyszedł nas ostrzec, to dlaczego uciekł? Zaczynałem wyczuwać, że bał się tak samo jak Pam i Lucas, ale jeszcze nie wiedziałem czego.

Kiedy wróciłem do namiotu, już trwały tańce, a do picia pozostało tylko białe wino. Pam i Lucas kręcili się po zabłoconej macie z włókna kokosowego. Przemoczony do gołej skóry, patrzyłem na nich, siedząc przy stoliku w głębi. Pokaleczyłem sobie twarz w lesie, a garnitur na łokciach i kolanach miałem sztywny od mokrego piasku. Chociaż mnie unikali, nikt tego nie powiedział, nawet nie wprost, dopóki nie zebrałem się do wyjścia. Wtedy przyjęcie przeniosło się z namiotu do „Zamkowej Skały”. Ojciec Pam podszedł do mnie w przedsionku, gdzie czekałem na taksówkę.

– Był już pan wcześniej w domu? – spytał. Była druga albo trzecia w nocy, a on lekko chwiał się na nogach – niski człowieczek w absurdalnym stroju, który wymówił słowo „dom”, jakby chodziło o jedyną taką budowlę na świecie.

Odpowiedziałem, że nie.

– Jestem jednym z przyjaciół pana młodego – dodałem. – Lucasa. Jednym z przyjaciół Lucasa.

– Aha, po prostu ktoś podobny do pana kilka lat temu pojawił się w naszym domu. Mniej więcej siedem lat temu.

W jego oczach to zapewne był jedyny dom na świecie. Zdałem sobie sprawę, że zapewne postrzeżę mnie tak, jak ja widzę Yaxleya: jako coś, co wdiera się od zewnątrz albo od spodu, równie rujnujące i niepożądane jak padaczka jego córki. Na swój łagodny, gościnny sposób próbował dać mi to do zrozumienia. Za dużo wypilem i patrzyłem na niego z podziwem.

– Chyba przyjechała moja taksówka – odparłem.

\*\*\*

Wkrótce po ślubie Pam i Lucas przeprowadzili się do zachodniego Yorkshire, gdzie zamieszkali w dużym, kanciastym i nudnym domu, zbudowanym z miejscowego kamienia, otoczonym przez kilka rozsypujących się budynków gospodarczych. Za domem rozciągały się rozległe ogrody, a dalej wrzosowiska; od frontu, po drugiej stronie spokojnej alejki, teren gwałtownie opadał, tworząc wąską dolinę poniżej stawu. Z górnych okien roztaczał się ponury i surowy widok, nawet w lecie, gdy gorąca brązowawa mgiełka okrywała wrzosowiska jak mętny lakier, tak że nigdy nie było wiadomo, czy należy się spodziewać deszczu, burzy z piorunami czy jakiegoś nowego, niespotykanego zjawiska atmosferycznego. Tamtej zimy, chociaż była ostra i zimna, nie spadło ani trochę śniegu, tylko równomierny, rzęsy deszcz. Mgła wisiała nad skarłowaciałymi dębami albo osiadała nieruchomo wzdłuż zboczy doliny. Podczas ferii Lucas o wszystkich porach dnia próbował się rozgrzać, kopiąc w jałowym ogródku, usuwając chwasty i paląc śmieci, obsesyjnie pogrążony we własnych myślach. Uczył tuż za granicą hrabstwa, w szkole średniej w Thameside. Jeździł tam Woodhead Road małym samochodem marki Renault, który nazywał „Wanną”.

Pam, chociaż sama nie czuła się komfortowo, wkrótce odkryła, jak nieznośnie nieporządny potrafi być jej mąż, i twierdziła: „Cieszę się, że całymi dniami go nie ma!”.

Dzięki temu miała okazję posprzątać.

„Wszędzie porozrzucane papiery”, pisała do mnie. „Dom zawsze wygląda, jakby spadła na niego bomba!”.

Leki sprawiały, że późno zasypiała i budziła się wyczerpana: nafaszerowana propranololem, schodziła z sypialni o jedenastej i odkrywała, że Lucas, który późno wrócił do domu, rozrzucił wszystko

w napadzie wściekłości. „Nawet meble, nawet swoje cholerne drogocenne książki!”.

Czasami podczas weekendów, chociaż opuszczała pokój tylko na kilka chwil, po powrocie stwierdzała, że Lucas ze wstydem odstawia płyty z powrotem na półki, podnosi z podłogi poduchy, poprawia krzesło. Podejrzewała go o głęboką frustrację (nie potrafił jej wyrazić, więc się bał; nie potrafił jej wchłonąć ani załagodzić, więc obwiniał Pam), ale nigdy nie poruszała przy nim tego tematu. A kiedy to Lucas przyłapywał Pam na zagubieniu i strachu, wpatrzoną bezradnie w kuchenne okno, za którym dzień kończył się mżawką, również nic nie mówił: chociaż myślę, że mógłby spróbować ją pocieszyć. Mieli po dwadzieścia dwa lata. Już zdążyli opanować sztukę uników. Pozwalali, żeby każde spotkanie po nich spływało, oddalało się w ostatniej chwili, jak znikający w tunelu pociąg towarowy wypełniony emocjonalnym ładunkiem. Na skutek tego ataki Pam stały się częstsze.

„Nic na to nie poradzę” – powtarzała sobie. „Nic nie poradzę”.

Tymczasem Lucas, rankiem przemierzający przełęcz Woodhead w „Wannie”, uderzał dłońmi o kierownicę i wściekle powtarzał: „Nie potrafię jej pomóc! Nie potrafię!”. Nienawidził siebie za to, że z radością wychodzi z domu i patrzy na blask poranka kładący się na rozległych pokrytych wrzosem zboczach Longdendale.

Pisał do mnie: „To męczące, kiedy nie możesz sobie pozwolić na smutek, nieobecność ani zaabsorbowanie”.

Myślę, że właśnie w takich okolicznościach zaczęli wspólnie tworzyć bajkę o Pleromie, która miała ich pocieszać, gdy mieli wrażenie, że Yaxley i ja ich opuściliśmy. Pewnego dnia, w porze lunchu, przeglądając zawartość pudełka po butach pełnego starych pocztówek w sklepiku charytatywnym w Hyde albo Stalybridge, Lucas natrafił na zdjęcie klasztoru Cuxa w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. „Ten klasztor zawiera ważne elementy architektoniczne pochodzące z Saint-Michel-de-Cuxa”, przeczytał, gdy odwrócił pocztówkę, „jednego z najważniejszych dwunastowiecznych romańskich opactw”. Nikt nigdy jej nie wysłał. Porażony niezwykłym spokojem tego obrazu i rozważony pomysłem wysłania Pam pocztówki z odległości zaledwie dziesięciu mil, nakleił znaczek i ją nadał. Następnego ranka Pam, stojąc w przedpokoju w częściowym negliżu, zapatrzyła się na pocztówkę. „Niech twoje serce bije/Nad moim sercem”, Lucas napisał na odwrocie. Była tak zachwycona, że wkrótce stało się to ich zwyczajem. Lucas wybierał tylko egzotyczne albo średniowieczne kartki. „Stworzenie i Upadek” ze zbiorów Biblioteki Brytyjskiej albo „Bitwa pod Issos” Altdorfera, a na ich odwrocie zawsze wypisywał cytaty ze swoich ulubionych pisarzy lub malarzy. „Każde odkrycie to ponowne wydobycie na wierzch czegoś utajonego”, poinformował ją mądrze pewnego dnia, by naza jutrz poradzić: „Carnation, Lily, Lily, Rose”.

Często jej czytał, gdy źle się czuła. Kilka dni po wysłaniu pocztówki z klasztorem przeczytał jej kilka rozdziałów z autobiografii Michaela Ashmana, niezbyt znanego autora książek podróżniczych, który pod koniec lat trzydziestych przemierzył pieszo Europę. Książka zaczynała się słowami: „Wszędzie beton na betonie. Po wojnie wszystkie miasta nad Dunajem wyglądają jak Birmingham”. Ashman, który – jako kontynuator tradycji Freyi Stark, a nie, dajmy na to, Roberta Byrona czy Christophera Isherwooda – zawsze podróżował ze względów kulturowych, a nie moralnych, i raczej w imieniu swoich czytelników, a nie swoim własnym, nagle odkrył, że jest w stanie napisać bardziej prawdziwą, a przynajmniej bardziej intymną relację ze swej rozwijającej wyprawy...

\*\*\*

Kiedy byłem chłopcem (kontynuował), wciąż można było zobaczyć, że kiedyś stanowili oni mroczny rdzeń Europy. Jeśli pojechało się na południe i wschód, nowa Austria podążała za tobą jak secesyjny stojak na ciasto pełen starych wiedeńskich kremówek, a ty błądziłeś pośród stromych brukowanych uliczek, na których unosiła się woń dymu z węglowych pieców, papryki i świeżej skóry od siodlarza.

Gdy przechodziłeś, dzieci rzucały w ściany guzikami, po czym wpatrywały się w miejsce, w którym te upadły, jakby starały się wyczytać przyszłość z kamienia. Słyszałeś madziarski i słowacki, które służyły nie tylko do porozumiewania się, ale także do prowokowania. Tam, na samym skraju Austrii, w punkcie, w którym zbiegały się trzy granice, mogłeś zobaczyć tańczącego niedźwiedzia, a chociaż jego taniec rzadko bywał czymś więcej niż bolesnym zataczaniem się, z łapami skierowanymi ku sobie, przy prostych dźwiękach tamburynu, widok olbrzymiego zakłopotanego zwierza pośród cygańskich dziewcząt na chodniku i tak robił duże wrażenie. Dziewczynki kolejno tańczyły przed niedźwiedziem, wpatrywały się komicznie w jego małe oczka, chcąc żeby je zauważył, a następnie oddalały się, kręcąc piruety. Jako artystki, patrzyły na niego z poważną czułością i zachwytem.

Uwielbiałem takie widoki i ich szukałem. Miałem nieco pieniędzy. Jako Anglik miałem poczucie, że jestem uciekinierem. Mogłem swobodnie obserwować i prowadzić Poszukiwania Serca.

W ciągu dnia dziewczęta często wróżyły z kart, szczególnie lubując się w pogardzanej ale popularnej metodzie Etteilli. (Nie wiem, kiedy ją wymyślono. Wśród jej głównych tajników znajdował się symbol, którego nie widziałem w żadnej tradycyjnej talii, używano w niej jednak języka ponapoleońskiej Francji: „W ciągu roku sprawy ułożą się po twojej myśli i uzyskasz pieniądze”; „Zapadniesz na chorobę, a bezskuteczne leczenie będzie cię kosztowało dużo pieniędzy. W końcu uzdrowiciel przywróci ci zdrowie za pomocą taniego lekarstwa”; „W odwrotnym ułożeniu ta karta oznacza spłatę długu, który uznawałeś za stracony”; i tak dalej. Zupełnie, jakby ktoś czytał fragmenty dzieł albo listów Balzaca). Stawały dziwnie nieruchomo na ulicy, rozkładając około siedemdziesięciu nieporęcznych kart w piękny wachlarz, podczas gdy ludzie wirowali wokół nich z opuszczonymi głowami na zimnym wietrze wczesnej wiosny. Nocami wiele z nich pracowało jako prostytutki. To drugie zajęcie zmuszało je do wymiany kolczyków i oszałamiających kilkuwarstwowych spódnic na płaszcze i skromne ałtasowe fatałaszki, ale niczego im to nie odbierało.

Przynajmniej dla mnie obie te usługi idealnie się uzupełniały i w zaspokajanych przez nie potrzebach widziałem symetrię, która wtedy niezmiernie mnie podniecała, chociaż dzisiaj tego nie dostrzegam. Chatki i karawany pośród gruzowisk na skraju miasteczka albo pod łukami olbrzymich posępnych kolejowych wiaduktów, ogniska, które czyniły noc nieoczywistą, instrumenty muzyczne, które nie pochodziły z Europy: cygańskie obozowiska coraz bardziej mnie wciągały, jako stacje Poszukiwania. To w jednym z nich po raz pierwszy usłyszałem słowo „Coeur”.

Czy miałem więcej niż osiemnaście lat? Raczej nie. Chociaż po sposobie, w jaki słabe światło gromadziło się w zagłębieniach jej obojczyków, widziałem, że dziewczyna była jeszcze młodsza. Szybko i niezgrabnie uniosła jedną rękę, żeby zasunąć zasłonę na drzwiach, a spod ałtasu wyłoniły się jej kościste boki. Miałem wrażenie, że jest krótkowzroczna. Kiedy odkryła, że jestem Anglikiem, pokazała mi wycinek z gazety, zdjęcie Tomáša Masaryka przyklejone do ściany nad łóżkiem. „Dobry”, powiedziała ze smutkiem. Pokręciła głową, a następnie od razu nią pokiwała, jakby nie wiedziała, który gest będzie odpowiedni. Roześmialiśmy się. Był luty: słyszeliśmy szczekanie psów pośród nocy w promieniu czterdziestu mil wzdłuż rzeki; jej wody wystąpiły z brzegów i zamarzły, tworząc szerokie na milę jeziora. Położyła się i rozchyliła nogi, które rozłożyły się tak samo jak wachlarz z kart w jej dłoni. Zadrżałem i odwróciłem wzrok.

– Najpierw przepowiedz nam przyszłość.

Kiedy wyciągnąłem nieprawowierną kartę, czubkiem prawego palca wskazującego dotknęła obrazka przedstawiającego opuszczony romański klasztor i wyszeptała:

– Ici le Coeur.

Mówiła z tak silnym akcentem, że początkowo pomyślałem, że użyła angielskiego słowa „Court”, czyli dwór. Masaryk umarł niedługo przedtem; wojna przeprowadzała coraz śmielsze próby. Podejrzewam, że tak jak wielu europejskich Cyganów trafiła do jakiegoś obozu albo pieca. Już wtedy towarzyszyła nam wizja Birkenau. Komando pogrzebowe pijane benzyną i formaliną hałasowało na

zewnątrz jak krewni czekający przed drzwiami pokoju nowożeńców, gdy dziewczyna zaciągnęła zasłonę, rozłożyła karty, a następnie uklękła nade mną z namysłem, żeby w ponurym świetle wprowadzić mnie do środka szybkim ruchem miednicy. Niezależnie od tego, jak często wodziłem palcami po jej mostku i jak często się uśmiechała, obóz śmierci nas nie opuszczał. Gdybyśmy poczęli dziecko, nie dokonałoby ono żywota w obozie rodzinnym w Theresienstadt, ale na bloku Mengelego. Jego numer byłby poprzedzony literą Z.

Serce!

Wojna się skończyła. Zaczęła się zimna wojna. Stało się jasne, że Europa potrzebuje czasu, żeby się uspokoić, przepychając się i układając w nowe polityczne kształty. Potem, wkrótce po przejściu przez komunistów władzy w Czechosłowacji, syn Tomáša Masaryka, Jan, czeski minister spraw zagranicznych, został znaleziony martwy na dziedzińcu pod otwartym oknem ministerstwa. Przypomniałem sobie młodą prostytutkę i wiarę, jaką pokładała w jego ojcu. Nie mamy w zwyczaju narzucać innym swoich trosk, po prostu przekazujemy je jak niewielki spadek. Wtedy tracą jedno ze znaczeń, ale gdy po latach odkrywamy je w szufladzie, niespodziewanie zyskują inne. Dostrzegłem, że Poszukiwanie zasadza się właśnie na takich zwarcjach w historii; a może to samo Serce do nas przemawia! Spędziłem kolejne dni trawiony gorączką tłumionego podniecenia: korespondencja z europejskimi, śródziemnomorskimi i bliskowschodnimi emigrantami przekonała mnie, że ich poszukiwania nie różnią się od moich. Wielu z nas, pamiętając, że nerwowe i pozornie bezcelowe zazębianie się granic na początku i u szczytu Średniowiecza czasami prowadziło do ujawnienia się Serca – drżącego, niepewnego i ukrytego, ale mimo wszystko pełnoprawnego królestwa – czuło się, że w tych okolicznościach może ono ponownie się ukazać. Tak się nie stało. A chociaż sam na to liczyłem podczas surowych zim pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, wiedziałem równie dobrze jak inni, że jego upadek był ostateczny: czechosłowacka prostytutka pokazała mi, jak go nasłuchiwać pod płytą rezonansową historii.

\*\*\*

Niski sufit, ściany wyłożone panelami i czerwona aksamitna sofa upodabniały bawialnię przy Dunford Bridge do holu luksusowego „wiejskiego” hotelu. Stało tam pełno roślin, które Pam zasadziła w mosiężnych kufkach, tyglach, terakotowych naczyniach balansujących na wysokich, chwiejnych stojakach, a nawet w wiadrze na węgiel zrobionym z jakiegoś jasnopomarańczowego drewna. „We wszystkim, poza zwyczajnymi donicami”, żartobliwie narzekał Lucas. Każdego wieczoru niestrudzone kroki rozlegały się na wypolerowanej posadzce z klepki, gdy Pam coraz bardziej nerwowo szukała jakiegoś zajęcia. Szeleściła gazetami i czasopismami, które trzymali w wiklinowym koszu obok kominka; wędrowała pomiędzy obrazkami na ścianie – portret wykonany ołówkiem, przedstawiający głowę dziwacznie odwracającą się od rysownika; martwa natura z dwiema lutniami, które wyglądały na bardziej rzeczywiste niż sam pokój; most. W końcu strącała popiół z papierosa i siadała z egzemplarzem „The Swan in the Evening” albo „A View of the Harbour”, które czytała już kilkakrotnie.

Nie potrafiła pozbyć się uczucia grozy, pomimo zamkniętych drzwi i uporządkowanego życia.

– Co to za hałas w ogrodzie?

Znów wstawiała, tupiąc w cieniach pomiędzy masywnymi starymi meblami, które wypatrzyła na jakiejś licytacji w Halifaksie.

– To kot – uspokajał ją Lucas.

„Koniecznie muszę mieć kota!”, oznajmiła, gdy się pobierali.

Ale nie interesowały jej kociaki, które chcieli jej podarować sąsiedzi, ani te wypatrzone przez Lucasa w sklepie ze zwierzętami w Manchesterze, i ostatecznie przygarnęła starego, ślepego włóczęgę, cętkowanego i powolnego. Letnimi wieczorami krążył z namysłem po ogrodzie, obficie znacząc

każdy zakątek swojego ograniczonego terytorium zielonkawym moczem. Teraz się znudził i wskoczył do domu przez otwarte drzwi balkonowe. Przez cały wieczór snuł się po rozległych połaciach klepki, jakby przedzierał się przez kępy gęstej splątanej trawy. Silnie cuchnął, a w uszach miał pełno roztoczy. Pam odłożyła książkę. Stary kocur błyskawicznie i lekko wskoczył jej na kolana!

– Nie wydaje ci się, że coś go boli? – spytała Lucasa.

– Nic go nie boli. Po prostu chce zwrócić na siebie uwagę.

– Bo chyba tym tego nie zniosła.

Żeby odciągnąć jej myśli od kota, Lucas ponownie sięgał po „Pięknych pływaków”, autobiografię Michaela Ashmana. To była dziwna książka. Co jakiś czas powolny, potężny nurt jego podróży od Cuxhaven przy ujściu Łaby, aż do Konstancy nad Morzem Czarnym zaburzały jazy, bystrza oraz odcinki tak dziwaczne i osobiste, jakby pochodziły z książki zupełnie innego rodzaju.

„Ekspresjoniści przykuci do swoich lusterek – Rilke i Munch, Schiele i Kafka – niezdolni do odwrócenia wzroku i skierowania go gdziekolwiek indziej. Kolumna skazanych na zagładę, ginących żołnierzy toczących długą wojnę przeciwko ojcu i społeczeństwu, które stworzył, żeby ich uwięzić. Lustro nie jest tylko bronią. To ich jedyny środek obrony i plan ataku. Ono daje im pociechę: ich koszmarem jest tożsamość tak blisko powiązana z tożsamością ojca, że staje się niewidzialna w normalnym świetle, przez co znikają, gdy patrzą w taflę”.

W jednej chwili dzielił się czysto ludzkimi szczegółami dotyczącymi wędrowki – „Powędrowałem dalej, gdy tylko deszcz zelżał, a potem przeczekałem kolejną ulewę w bramie pustego kościoła, jedząc ser i obserwując chmury nad Ausburgiem” – by za chwilę, pobudzony widokiem cudownej zachodniej fasady kaplicy w Akwizgranie, „źródła niemieckiego stylu romańskiego”, ponownie oddać się rozważaniom na temat natury Serca:

„Zatem musimy szarpnąć strunami historii, jak ktoś, kto sprawdza instrument, jeśli chcemy usłyszeć słabnące echa Coeur – jego skurczów, upadków, zniknięcia z królestwa Świata. Mniej skrupulatni badacze pozwalają, żeby ogłuszyła ich katastrofa, która ich zdaniem przenika tkaninę jak wybuch bomby: ale my już wiemy, że to tylko szept, wydarzenie, które zawiera się w ułożeniu innych wydarzeń; w istocie raczej „luka” między zdarzeniami, jak mogliby rzec retorycy. Nigdy nie uzyskamy pewności, że odnaleźliśmy Coeur, dopóki nie dostrzeżemy jego nieobecności!

Wpadając w tę lukę, możemy ujrzeć wielkie światło – które, choć potrzebuje miliona lat, żeby zgasnąć, w przeciwnym razie pozostałoby dla nas niewidoczne, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie go szukać – w kształcie fałdy na piasku, ułożeniu pustego kartonowego pudła na placu budowy, przechyleniu głowy kobiety, która odwraca się z radością, żeby posłuchać trzech nut muzyki, albo ukośnie oświetlonym karcianym królu”.

– Jakie to piękne – rzekła Pam. Szybko zamrugowała i ukryła twarz w futrze starego kocura. – Myślisz, że tak mogłoby być naprawdę?

\*\*\*

Wszystko robili po to, żeby się ukryć.

Każdego ranka Lucas jechał do Longdendale. Wytracony z równowagi przez ostre zakręty i szybko jeżdżących miejscowych, nerwowo wypatrywał, w deszczu albo słońcu, iglicy kościoła w Mottram (od piętnastego wieku zwanego „katedrą wschodniego Cheshire”), która wskazywała, że jego podróż dobiegła końca. Wieczorem odbicie księżyca gnało go ku domowi pod zardzewiałymi pylonami, ponad łańcuchem stawów. Tymczasem – mimo że za sprawą planów poprzednich właścicieli ściany zmieniły się w chaotyczną szachownicę zamurowanych przejść, nisz wyłożonych gołym kamieniem i fragmentów sosnowej boazerii, która nie sięgała do podłogi; mimo że drzwi prawie zawsze otwierały się na jakiś nadliczbowy zakątek ukryty za dębowym kredensem – Pam czekała na

niego, jakby ich dom był jedyny na świecie. Zamierzała zabrać się za własne przeróbki, gdy tylko robotnicy się do nich pofatygują.

Kiedy zrozumiała, że „Michael Ashman”, o którym czytał jej Lucas, nigdy nie istniał?

Możemy sobie wyobrazić, jak pewnego ranka wstaje później niż zwykle. Patrzy bezradnie na encyklopedie i teczki rozrzucone po dywanie w salonie, na przewróconą lampę o odkształconym różowym jedwabnym abażurze, na przekrzywione obrazki na ścianie. Przed wyjściem do pracy Lucas – który często pisuje na przenośnej maszynie „Lettera” stojącej na masywnym biurku z żaluzjowym zamknięciem naprzeciwko drzwi balkonowych – zgniótł całą stertę kartek i również cisnął je na podłogę. Wygląda jedną z nich i znajduje wstępną wersję jednego z akapitów z „Pięknych pływaków”, pozabawioną zgrabnego stylu Michaela Ashmana:

„Ekspresjoniści przykuci do swoich luster – Rilke i Munch, Schiele i Kalka – niezdolni do odwrócenia wzroku i skierowania go gdziekolwiek indziej. Kolumna skazanych na zagładę, ginących żołnierzy toczących długą wojnę przeciwko ojcu i społeczeństwu, które stworzył. Tak jak karabin albo wyrzutnia rakiet, lustro nie jest tylko brzemieniem. To ich jedyna metoda obrony. To ich jedyny środek ataku. W nim znajdują pociechę i siłę do dalszego życia: boją się, że ich tożsamość się rozpadnie, rozpuści, rozwieje na wietrze. Lustro ich zapewnia – a przynajmniej tak im się wydaje – że wciąż są czymś więcej niż grą światła w jego sercu. Tamte twarze zniszczone egotyzmem i niepewnością wciąż istnieją, zmienione przez kierowane wobec nich oczekiwania, ale jeszcze nie wchłonięte ani nie przekształcone. Rilke i Schiele, trzymajcie się tego, co potraficie udowodnić! – zakrzywionego światła, twardego szkła. Narcyzm nie był dla was, gra toczyła się o wasze przetrwanie! (Dlatego istotą każdego narcystycznego autoportretu jest bezkresna rozpacz)”.

Dzwoni telefon, ale milknie, zanim Pam podnosi słuchawkę. Stoi niezdecydowana w przedpokoju, bosa na zimnych kwadratowych płytkach. Stary kocur podbiega do niej i ociera się cuchnącym łbem o jej kostki. Mieszkańcy wioski widzieli meble, które sprowadzili Pam i Lucas, i uważają ich za handlarzy antykami. Pojawiły się już plotki, że mają drugi taki sam dom w Irlandii, pełen cennych sof i japońskich osłon kominkowych. Spoglądając na kartkę w swojej dłoni, a następnie wyglądając przez okno na mgłę, która zasnuwa przeciwległe zbocze doliny, Pam mówi do siebie:

– Muszę jakoś zacząć.

\*\*\*

Z początku nieśmiało, każde z nich wyznaczyło strefy zainteresowań: ustaliło swoją osobowość. Lucas był kreatywny. Od początku skupiał się na aspekcie magicznym i poszukiwaniu spokoju. Pam była krytyczna. To pozwalało jej długo udawać, że jej zainteresowanie Sercem ma naturę archeologiczną, praktyczną, cyniczną; gdyby kiedykolwiek otwarcie wypowiadała się na ten temat, twierdziłaby, że tylko sprawdza teorie „Michaela Ashmana”, ale się nimi nie karmi. Jednakże Pam Stuyvesant i Lucas Medlar nigdy o tym nie rozmawiali, tylko przesiadywali w swoim ogromnym salonie, splatając cytaty znajdujące się po jednej stronie widokówek Lucasa z obrazkami na odwrocie, aż wreszcie stopniowo, na przestrzeni kolejnego roku, może dwóch, rozszerzyli zakres badań Ashmana i utkali między sobą cały świat, udając, że należy on do kogoś innego. Codziennie o czternastej, niezależnie od pory roku, potężne kredensy i dzieła pseudośredniowiecznej sztuki okrywał półmrok. Na ścianie lśniły jej reprodukcje „Ofelii” i „Kozła ofiarnego”. On często zerkał na swoje półki z książkami Alfreda Kubina, Rilkego i Alaina-Fourniera. Stary kocur najpierw siadał na kolanach Lucasa, a potem, ziewając i rozprostowując artretyczne nogi, ostrożnie przechodził na kolana Pam.

Nie potrafię powiedzieć, w co każde z nich wierzyło w kwestii Coeur – na przykład, do jakiego stopnia Lucas uważał je za użyteczną fikcję. Ale później najwyraźniej doszli do porozumienia, za pomocą swoistego języka migowego, że w jakiś sposób i w pewnych szczególnych okolicznościach



Pleroma wkracza do naszego zwyczajnego życia, politycznego, społecznego i religijnego, stając się odrębną krainą, krajem serca.

Przez jakiś czas udziela nam wszystkim błogosławieństwa, po czym znów blaknie, skażona albo rozcieńczona za sprawą kontaktu ze Światem. Dlatego możemy wyczuć jej obecność w postaci historycznego widma.

Mit Coeur skupiał się na jego Upadku.

# CZTERY

## MROCZNA EKSTAZA

– Oczywiście już na początku to musiało wyglądać na katastrofę – mawiał Lucas, uśmiechając się do Pam siedzącej po drugiej stronie pokoju. – Świat i Coeur jako potężny wrak płonący w tkance Pleromy, jak dwoje kochanków w cudownej ruinie pożądania, pogrzeb oddany w bizantyjskich barwach na złotej tkaninie – płonące okręty, sforsowane mury, dym górujący nad wszystkim! Gdyby tylko ktoś zbliżył się na tyle, żeby usłyszeć potężny krzyk miłości i straty, który odbijał się echem nad Europą do końca piętnastego wieku (tak, że przykładowo, nawet wojny rodów Yorków i Lancasterów należy postrzegać jako reakcję – co prawda typowo zimną i ociężałą – oraz nieświadomie skonstruowaną metaforę, nie tyle polityki Coeur, ile jego najskrytszych bolączek) i przez dużą część szesnastego. Powinniśmy wiedzieć o wiele więcej!

– Niczego nie wiemy – przypominała mu Pam, otwierając kolejną paczkę papierosów.

Lucas próbował wykształcić w niej chęć do zgadywania, biorąc za źródło całe Średniowiecze i przeprowadzając analogie zarówno do Kosowego Pola, jak i do Jana Dunsza Szkota oraz poszukiwań nominalizmu; zarówno do ideału dworskiej miłości, jak i do ekstaz le roi Tafura, tajemniczego europejskiego rycerza, który zrezygnował ze zbroi i wierzchowca, by walczyć pieszo i we włosiennicy, oraz poprowadził biedaków do Świętego Miasta („Cóż mnie obchodzi, że umrę, skoro robię to, czego pragnę?”).

– Z jednej strony – mawiał Lucas – mamy herezję Wolnego Ducha z jej naciskiem na wyjątkowość duszy i jej panowanie nad sobą, z drugiej zaś piękne oszołomione apsydy *en echelon* w romańskiej katedrze. Miłość i porządek: sama krańcowa odmienność tych wizji wymaga, żebyśmy postrzegali Coeur jako wyższy czynnik, który je pogodzi poprzez przyswojenie jako część własnej konstrukcji, tak jak Pleroma godzi Świat z Coeur.

Ale Pam tylko się śmiała z tych słów.

– Jak tam się żyło, Lucasie? Co oni jedli? Do jakich nocników sikali?

– Nie wiemy.

– Otóż to – potwierdziła z uśmiechem. – Nie wiemy, prawda?

\*\*\*

– Przez dwie noce i jeden dzień zatoka płonęła. Tak czy owak, nie ma ucieczki z głębi znaczeń. Cesarzowa Gallica XII Hierodule, siedząca w siodle i ubrana w wypolerowaną zbroję płytową, ale – w odpowiedzi, jak sądzili niektórzy, na sen, który miała jako dziecko na dworze francuskiego króla Karola VII – bezbronna, czekała razem ze swoimi kapitanami, Teodorem Laskarysem oraz dwudziesto-trzyletnim angielskim łowcą przygód Michaeliem Neville’em (później znanym jako „Michael z Andegawenii”) na ostatni atak na cytadelę. Zewnętrzne mury już były osłabione po trzech tygodniach ostrzału od strony lądu. Przypominająca labirynt prochownia była niemal pusta. Dym z armaty oblężniczej unosił się w blasku słońca, czasami jak strzępy szmat, a czasami jak gęsta czarna mgła.

O dziesiątej rano siły Serbów i Albańczyków, wspinając się po stopniach ze swoich poległych towarzyszy, pokonały wewnętrzne umocnienia; w południe wciąż znajdowali się dopiero w połowie drogi do cytadeli, mozolnie przebijając się przez kolejne ulice.

Laskarys zginął tam wczesnym popołudniem. Neville, który rozpaczliwie próbował przyjść mu z pomocą wraz z resztkami niewielkiego angielskiego kontyngentu, zapewne wpadł w zasadzkę i został straszliwie ranny, cesarzowa zaś najwyraźniej uznała, że obaj polegli. Ostatnio widziano ją o szesna-

stej, gdy stała na własnych nogach obok jednej z bram. Ktoś doniósł, że wtedy już głośno płakała i dzierżyła miecz. Jej zbroja, chociaż zbryzgana krwią, pozostała tak jasna, że gdy dym się rozwiął, nie dało się na nią patrzeć. Kilka osób widziało, jak upadła. Serbom nie wystarczyło, że ją zabili, więc stratowali jej ciało, tak że nie można było go rozpoznać.

Królowie najeźdźcy – z tej odległości to dla nas nieistotne, kim byli – pozwolili swoim stronnikom przez trzy dni hulać w świętym mieście, zanim wzięli je w posiadanie. Kiedy w końcu wjechali przez olbrzymią bramę, przekazano im miasto, które wyglądało, jakby zrujnowano je przed tysiącem lat. Zapłakali, widząc ptaki gniazdujące w zburzonych bazylikach i chwasty wyrastające pomiędzy kamieni brukowych.

Lucas wielokrotnie opowiadał tę historię. W tym miejscu zawsze zawieszał głos i spoglądał na Pam.

– Co się stało? Coeur już więcej się nie ujawniało, chociaż zapewne nie wydało ostatniego tchnienia w świecie, dopóki nie rozpoznano Galliki po jej pięknej zbroi i nie wystawiono na widok jej zmasakrowanej głowy.

Zapadła cisza.

– Wszystko pięknie – odezwała się Pam. – Widzimy śmierć tam, gdzie powinniśmy dostrzegać przemianę. Ale kiedy ono da się nam poznać? – Przypaliła jednego churchmana od drugiego, wpatrując się w Lucasa, który w końcu uniósł ręce zwrócone dłońmi ku górze w geście konsternacji, jakby zadała niewłaściwe pytanie.

\*\*\*

Minął rok ich małżeństwa, potem pięć lat. W tym czasie Lucas awansował w pracy, ale nie stał się porządniejszy. Pam nadal sypiała do późna, skrupulatnie zażywała lekarstwa i wyglądała przez kuchenne okno na drzewa po drugiej stronie doliny. Lucas zamienił swojego renaulta na droższe auto. Stary kocur zdechł, a Pam, która zaczęła go nazywać „Michaelem”, dyskretnie pogrzebała zwierzaka w ogrodzie, zanim Lucas wrócił do domu. Jak każda bezdzietna para sprawiali wrażenie nieco pozbawionych celu i niesamodzielnych. Żadne z nich nie chciało ryzykować rodzicielstwa. „Nie chciałybym nikogo tym obciążać”, często powtarzała Pam, mając na myśli padaczkę. Jednak tak naprawdę obawiali się wkroczenia nowego i nieposkromionego czynnika w ich ustabilizowaną sytuację. Mimo że fikcja Coeur zajmowała centralne miejsce w ich życiu, nie była, przynajmniej początkowo, ich jedyną ucieczką: Pam wciąż starała się zapanować nad domem, chociaż jego rozmiar zawsze ją przytłaczał, a gdy Lucas miał wolne dni w szkole, często odwiedzali jej rodziców w Silverdale.

W „Zamkowej Skale” czas mijał niepostrzeżenie. Ojciec Pam w wilgotne popołudnia stał na swoim trawniku i z namysłem spoglądał ku zatoce, tak samo jak nazajutrz po ich ślubie; a jej matka siedziała cierpliwie za ladą swojego sklepiku niczym naturalnych rozmiarów pamiątka ze skóry, sztucznego futra i czerwonej farby. Zawsze sprawiali wrażenie zadowolonych z wizyty Lucasa i dokładali wszelkich starań, żeby dobrze się u nich czuła.

Lucas uważał, że za dużo pili wieczorami. On sam prawie nie tykał alkoholu. Gdy tak się działo, zmieniał się w parodię siebie samego, miotając się bezradnie między uniesieniem a przygnębieniem.

Dla Pam to było ciepłe wybrzeże, pełne geologicznych pomyłek, które wrzynały się w jej życie, gdzie tarnina wcześniej rozkwitała ponad wapiennymi kotlinkami. Zima przypominała wiosnę. Po pierwszych atakach przebywała przez kilka tygodni w sanatorium nad gęstymi mieszanymi lasami, które sięgają morskiego brzegu w Arnside. Wciąż uwielbiała spacerować tamtejszą nabrzeżną ścieżką.

– Wtedy było zupełnie inaczej – powtarzała Lucasowi, gdy ślizgali się po udeptanej czarniawej ziemi pomiędzy przyczepami kempingowymi. – Wszystko wyglądało bardziej osobiście: lasy były

bardziej tajemnicze, jak przystało na prawdziwy las.

Lucas miał wątpliwości. Przyczepy były stare, często pozbawione kół. Dawno temu przyholowano je na leśne polany i pomalowano na zielono, po czym otoczono plastikowymi krasnalami, które zaciekle spoglądały w zarośla z ogrodzonych ogródków, podczas gdy w środku emerytowane pary z Salford marzyły o telewizorach. W Far Arnside i Gibraltar Farm czekały kolejne współczesne miejsca – rozległe gołe połacie brudnej trawy skryte w półmroku, psy grzebiące w kubłach ze śmieciami po zachodzie słońca. Lucas kupił mapę – najnowszą Ordnance Survey w skali 1:25000 – ale stwierdził, że część lasów przedstawiono jako pustą białą przestrzeń. Przystudiował legendę.

– „Niedostępne informacje na temat niepokolorowanych stref”. Rzadko się to spotyka.

Pam znalazła swoje stare zdjęcie zrobione na terenie sanatorium.

– Kto je zrobił?

– Pewnie któryś z pacjentów.

Siedziała wychudzona, z sińcami pod oczami i skrzyżowanymi nogami, marszcząc nos pod wpływem słońca i uśmiechając się do kogoś, kogo nigdy więcej nie spotkała.

– Czyż nie wyglądałam okropnie?

\*\*\*

W pewien letni weekend przyjechała sama, pociągiem. O czternastej Silverdale było wyludnione i skąpane w słonecznym blasku, tak jaskrawym, że musiała osłaniać oczy i spuszczać wzrok na swoje ręce, jakby powodowana skromnością. Brzozy przed dworcem poruszały się niespokojnie na gorącym wietrze. Tamtego ranka Lucas odwiózł ją renaultem na stację Manchester Victoria, kupił jej kawę w styropianowym kubku w bufecie o ścianach wyłożonych luksusowymi kafelkami, po czym wrócił do Dunford, żeby zająć się sprawdzaniem wypracowań trzecioklasistów, wcześniej obiecawszy: „Dojadę jutro, jeśli zdążę się z tym uporać”. Po minięciu Preston zaczęła fantazjować, że zmieni zdanie, popędzi na północ na wyścigi z pociągiem i będzie na nią czekał na miejscu. Gdy go nie zastała, przez chwilę czuła się tak, jakby zawisała pomiędzy życiami – bezbronna wobec tego, co się może wydarzyć, a jednocześnie spokojna. Zadrżała pod wpływem tej niebezpiecznej świadomości, popatrzyła na rezerwat Leighton Moss, a następnie podniosła walizkę. Zmiętą białą serwetką niesioną wiatrem przecięła peron.

W końcu Pam opuściła dworzec i powoli ruszyła drogą przez las w stronę przylądka Jenny Brown, gdzie usiadła na skałach, otumaniona zachwytem nad blaskiem słońca, spoglądając ponad zahartowaną przez morze trawą na odległe wody kanału Kent. Wczasowicze pojawiali się i spacerowali nad brzegiem, śmiejąc się i pokrzykując. Przyptyw poprzesuwał piasek i delikatnie go wygładził, po czym woda się wycofała. Przez całe popołudnie Pam próbowała sobie przypomnieć swój pierwszy atak, towarzyszące mu halucynacje oraz pojawiające się potem przerażające sny o tym drugim morskim brzegu ze skalnymi platformami, którymi wstrząsały fale.

Wieczór był ciepły, zapadła noc: zanim Pam się obejrzała, światła Morecambe zawisły w powietrzu na południu. Zasnęła, po czym obudziła się zmarznięta o piątej rano za sprawą oszałamiającego jazgotu ptaków morskich na piasku. Lucas już przyjechał i szukał jej po całym wybrzeżu; zaangażował także policję.

– Tak naprawdę niczego nie pamiętałam – wyznała Pam Lucasowi. – Tylko miałam bardzo silne poczucie, że sobie przypomnę. – Dotknęła jego ręki i posłała mu zmęczony uśmiech. – Przykro mi. – Przez resztę dnia sprawiała wrażenie zadowolonej, ale otępiełej i wciąż pytała matkę: – Pamiętasz, jak ktoś zrobił mi zdjęcie w sanatorium? Kto to był?

– To był czarnoskóry mężczyzna – odpowiedziała staruszka. – Bardzo ciekawy rozmówca, wykształcony. Wtedy to nie było często spotykane.

– Wiedziałam, że wszyscy będą się o mnie martwili – przyznała Pam. – Ale byłam taka rozleniwiona. – Roześmiała się. – Tylko pomyśl, zasnęłam na plaży! – A po chwili dodała spanikowanym głosem: – Moja walizka! Czy ktoś znalazł moją walizkę?

\*\*\*

Pam była przekonana, że lasy i piaski nie były groźne, jednakże niejasność tego wydarzenia wystraszyła Lucasa. Od tamtej pory zawsze starał się towarzyszyć jej podczas wizyt w „Zamkowej Skale”.

„Lepszy znany wróg”, napisał do mnie. Zapewne miał na myśli padaczkę.

Wspominając oszalałą twarz Yaxleya wystającą spod krawędzi ubłoconego weselnego namiotu, również miałem wątpliwości. Ale Yaxley zniknął z życia Pam i Lucasa. Wyglądało na to, że ich dawna rana się zagoiła, a ja nie miałem zamiaru jej rozdrapywać. Poza tym, wtedy już miałem własne życie. Dlatego o niczym im nie powiedziałem, co ostatecznie, niezależnie od motywów, okazało się dobrą decyzją.

Chcąc odwrócić uwagę Pam od przylądka Park i zatoki Jack Scout, Lucas urządzał im wycieczki do okolicznych miasteczek. Pam zawsze wpadała tam w zły humor. W Morecambe podawali dobrą rybę z frytkami, ale przybywały tam zbyt wielkie tłumy, w Carnforth się nudziła (choć z oczywistych powodów nieustannie pociągał ich tamtejszy olbrzymi antykwariat z książkami), a w Lancasterze narzekała na snobizm uniwersyteckiego miasteczka. We wszystkich tych miejscach było bezsensownie drogo. Co ciekawe, podobało jej się w Grange-over-Sands, gdzie często bywała w dzieciństwie. Mieszkali tam głównie przedstawiciele klasy średniej, ale wydawało się, że wszyscy bezustannie są na urlopie, jak powinno być w prawdziwym nadmorskim miasteczku. Pam lubiła przesiadywać w słońcu u podnóża falochronu. Zdejmowała sandały, zajadała ciasteczka imbirowe, piła 7-Up i patrzyła rozmarzonym wzrokiem na kanał Kent. Lucas odczuwał ulgę, dopóki we wrześniu tamtego roku nie uświadomił sobie, że Pam przez całe lato wpatrywała się we wzgórze ponad Arnside, gdzie stało jej sanatorium. Osłonił oczy i popatrzył na mapę o pozaginanych rogach. Arnside Knott, 159 m. Z tej odległości lasy, spowite przyćmionym złotym popołudniowym światłem i najwyraźniej niezamieszkałe, sprawiały jeszcze groźniejsze i bardziej tajemnicze wrażenie. Kiedy zamykał oczy, czarne, pozbawione celu, błotniste ścieżki cofały się w głąb jego pamięci. (Widział tylko plastikowe krasnale, a potem ponownie znajdował Pam, dopiero co rozbudzoną i drżącą na brzegu przylądka Jenny Brown. Miała zaszokowaną minę, a jej dusza była widoczna jak siniak). Gdy ponownie je otwierał i spoglądał na nią z ukosa, śmiała się z głową odchyloną do tyłu. Oszołomiony jej białą bawełnianą sukienką, którą nagle zauważył, mały, może dwuletni chłopiec zmrużył oczy pod wpływem blasku, zostawił swoich rodziców nad wodą, przeszedł po miękkim suchym piasku i stanął przed nią, by po kilku chwilach namysłu odezwać się głośno:

– Buty.

Na jej obnażoną skórę padało światło słońca w kolorze gęstej, leniwej żółci, która niemal przechodziła w ochrę. Pam rozpostarła ramiona, jakby chciała objąć chłopca, a potem jeszcze bardziej je rozłożyła, żeby ogarnąć całą scenę za jego plecami: czyste powietrze falujące od upału, ospały i ciepły przypływ, rudego setera z zachwytem kręcącego kółka na plaży, kłapiącego zębami na mewy unoszące się dwadzieścia stóp nad jego głową, jakby były motylami.

– Czyż to nie cudowne? – rzekła z uśmiechem.

– Może wrócimy przez las?

Lata ukrywania się sprawiły, że potrafili sprawnie manipulować milczeniem. Lucas nie mógł odrzucić tak bezpośredniej propozycji. Musiałby stawić czoło zbyt wielu innym kwestiom.

Niezależnie od jego oczekiwań, okazało się, że w lesie jest chłodno, ziemia jest upstrzona plamkami słonecznego blasku, a w powietrzu unosi się woń dzikiego czosnku. Nawet przyczepy kempingo-

we sprawiały wrażenie odmienionych. Kiedy jednak wrócili do domu, odkryli, że matka Pam zadła-  
wiła się na śmierć połówką batona „Mars” i miotała się jak otruty kurczak za ladą sklepiku z pamiąt-  
kami, podczas gdy emerytowane pary z Burnley powoli przechodziły ulicą, szukając przyjemnego  
miejsca na lunch, zbyt otępiełe od słońca, by zauważyć, co się dzieje za girlandami jedwabnych sza-  
łów, ręczników z nadrukami i ozdobnych skórzanych torebek, które piętrzyły się na witrynie. Lucasa  
Medlara mniej zbulwersowała sama śmierć niż jej okoliczności.

„Nie mogę wyrzucić z głowy jej widoku”, napisał do mnie.

Uczucia Pam były mniej jasne. „Nie chce o tym rozmawiać, a ja nie naciskam. Każdy ma swój spo-  
sób radzenia sobie z problemami”.

Jej ojciec również nie chciał rozmawiać. Spędzał czas pomiędzy barem a dużym oknem w bocznej  
części domu wychodzącym na zatokę, skąd wpatrywał się w morze. Czasami Lucas znajdował go na  
trawniku pośród mgły i deszczu. Kropelki wody pokrywały wszystkie źdźbła trawy, tak że miało się  
wrażenie, że w nocy pojawił się szron. Ojciec przekrzywiał głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Kilka  
dni po pogrzebie dali mu spokój. Wyraźnie potrzebował pomocy, ale Lucas nie chciał ryzykować po-  
zostawienia Pam samej.

\*\*\*

– Kiedy mówimy o Upadku Serca – zawsze podkreślał Lucas – tak naprawdę używamy figury reto-  
rycznej. Co więcej, ten „upadek” ma dwie przeciwstawne trajektorie: chociaż patrzymy, jak Miasto  
cofa się przed światem do Pleromy – słabnąc, ucieka „w głąb lustra, gdzie obumrą jego korzenie i  
kwiaty” – interpretujemy ten ruch jako jego dokładne przeciwieństwo, jako upadek w doświadczenie  
świata, który odczytujemy jako utratę ontologicznej czystości. Właśnie ten aspekt powinien intereso-  
wać historyków i genealogów. Dla cesarzowej nie było ucieczki przed „istotą znaczeń”, a my z zało-  
żenia nie możemy niczego wiedzieć o tych, którzy żyli w Coeur, gdy cofało się ono gwałtownie po  
pierwszej trajektorii, i w ten sposób wycofali się razem z nim ze świata. Jeśli jednak Neville uniknął  
zemsty Albańczyków, podobny los musiał spotkać pozostałych, i to ich dalsza historia – nie tyle ro-  
zumiana jako ciąg wydarzeń, ile jako wskazówka dotycząca kierunku ruchu – pozwala nam wytyczyć  
drugą trajektorię. W tym sensie rodowód Spadkobierców Coeur odzwierciedla upadek i utratę Łaski.

Twierdził, że cesarzowa Gallica XII Hierodule miała co najmniej trójkę dzieci. Najmniej wiado-  
mo o tajemniczej córce, która mogła nosić imię Fenissa.

– Była piękna. Możliwe, że nie uciekła z ruin. W Pleromie wciąż słychać słaby, gasnący krzyk  
wściekłości i smutku, który może od niej pochodzić. Ludzie podejrzewali, że ojcem starszego z  
dwóch synów był Teodor Laskarys, ale wydaje się, że to późniejsze pomówienie. Miał na imię Ale-  
xius i umarł w tysiąc czterysta sześćdziesiątym roku w Ragusie, gdzie, o ironio, uważano go za jed-  
nego z potajemnych doradców Jerzego Kastrioty, narodowego bohatera Albanii. Tymczasem jego  
brat, Jan, uciekł do Rzymu po Upadku i zabrał ze sobą coś, co nazywano „drogocenną relikwią”.

Lucas musiał przyznać, że można tylko spekulować, co to było. Mawiano, że to „głowa Świętego  
Andrzeja”, która potrafiła mówić, gdy napełniło się ją substancjami chemicznymi, róża stulistna, któ-  
rą ponad sto lat później przywiózł do Anglii z Niderlandów John Tradescant Starszy, ogrodnik  
pierwszego earla Salisbury, „czarodziejska księga, której część stron otwiera się dopiero po spełnie-  
niu licznych warunków” (Lucas postrzegał to jako przypowieść o nadmiernym uporze), albo „zwier-  
ciadło”.

– Jeden z opisów – rzekł Lucas – jest wspólny dla wszystkich, a przynajmniej dla większości wer-  
sj. Niezależnie od tego, czy była to głowa, zwierciadło, kielich, księga czy kwiat, przedmiot ten bez-  
ustannie „rozszerzał swoje granice za pomocą promieni”. Nazywano go Planem i uważano, że zawiera  
w sobie wyjaśnienie ontologicznych związków pomiędzy Coeur, Światem oraz Pleromą, która sta-

le je rodzi. Cokolwiek to było, wystarczyło, żeby papież Pius II zapewniał Janowi utrzymanie, a Jan pozostał w Rzymie aż do jego śmierci i spłodził trzech synów. Yaxley wierzy, że Plan wciąż znajduje się w świecie, i bardzo by pragnął go zobaczyć, ale szuka w niewłaściwym miejscu – więcej mógłby się dowiedzieć z pary dziewczęcych bucików porzuconych w rowie. Relikwię skradziono kilka lat po tym, jak Jan sprzedał ją Kościołowi, za pontyfikatu Klemensa VII. Pojawiła się na chwilę w posiadaniu „jakiegoś Anglika” podczas Sacco di Roma w tysiąc pięćset dwudziestym siódmym roku, ale od tamtego czasu jej nie widziano.

Rozpoczynała się era religijnej niezgody, a wraz z nią Zmierzch Serca. Z trzech synów Jana dwóch zmarło bezpotomnie. Mateusz ożenił się z rzymską prostytutką, której nadał cesarskie imię Eudoxia. Pod koniec lat siedemdziesiątych piętnastego wieku odbył potajemną podróż, podczas której próbował sprzedać prawa do tronu w Coeur Włodzimierzowi z Czech (Włodzimierz podobno spytał „Gdzie?”, ale z pewnością znał odpowiedź). Nic nie wiadomo o Szczepanie, poza tym, że był zwolennikiem Contariniego, który wbrew historycznej zawierusze usiłował pogodzić starą i nową wiarę w Europie. Czy Szczepan widział w tym konflikcie prostych umysłów parodię charakterystycznej dla Pleromy dialektyki miłości i porządku?

\*\*\*

– Tego nie wiemy – przyznał Lucas z uśmiechem, podczas gdy Pam odwróciła wzrok na coś w ogrodzie, kręcąc głową i wydmuchując papierosowy dym.

(„Był dzieckiem – lubiła mawiać później. – Nie dało się mu przemówić do rozsądku”. Ale i ona ulegała namiętnemu i niecierpliwemu pożądaniu. Drażniła ją bliskość Coeur i być może bardziej niż retoryka wyobraźni Lucasa frustrowała ją skrupulatność, z jaką ją przedstawiał. „Fenissa nie umarła – przerwała mu pewnego dnia. – A jeśli nawet, to, umierając, wkroczyła do Świata i część niej znajduje się we wszystkich kobietach”. Lucas nie potrafił jej przekonać).

\*\*\*

Trzeci z synów, Teodor, sam spłodził syna w wieku pięćdziesięciu lat. Poza tym niczym się nie wślawił. Zabrał swoją rodzinę do Pesary albo Pesaro na prowincji i rozpoczął jej romanizację, co ujawniło się w kolejnych dwóch pokoleniach, aż w końcu wraz z narodzinami Andrzeja Jana Hierodule w 1575 roku Coeur ponownie rozbłysło jak fajerwerk w genetycznym materiale swoich spadkobierców. Lucas stwierdził w toku swoich badań, że w 1600 roku Andrzej służył Dynastii Orańskiej „być może jako najemnik, a może jako dyplomata albo szpieg”. Zapewne często podróżował, gdyż rok później ożenił się w Toskanii: jego żona zmarła podczas porodu ich córki, której, kierowany ironią i wyczuciem swojej historycznej pozycji, nadał imię Eudoxia.

– Później nagle znika – rzekł Lucas – ale Coeur w nim płonie, a po raz kolejny widzimy go w pałacu na Hradczanach, gdzie cesarz Rudolf II – samotna i bezradna postać, bardziej przywiązana do swojego oswojonego lwa Otokara niż do jakiegokolwiek istoty ludzkiej – polegał w swoich relacjach z Hiszpanią na radach niejakiego „Johna Clevesa”, czasami zwanego „Pomarańczowym Janem”, którego wygląd doskonale pasuje do znanych opisów Andrzeja Hierodule. Później był świadkiem Defenestracji Praskiej. Kiedy Jarosław z Martinic i Wilhelm Slavata spadali na pałacowy dziedziniec z wysokości kilkunastu metrów, to Pomarańczowy Jan zawołał: „Niech wasza Maryja was teraz ocali, jeśli potrafi!”, a gdy Jarosław rzeczywiście zaczął się czołgać po dziedzińcu, dodał: „Na Boga, tak się stało!”. Czy pojechał do Czech, żeby przehandlować prawa do korony, tak jak uczynił Mateusz sto dwadzieścia lat wcześniej? Jeśli tak, to równie pechowo wybrał cesarza. Następnie pojawił się w Anglii, ponownie pod nazwiskiem John Cleves, gdzie najwyraźniej służył niesławnemu earlowi Lin-

coln.

Umarł w 1638 roku. Jego synowie Lew i Teodor walczyli po przeciwnych stronach podczas Wojny Domowej. Za ich czasów – chociaż podobno, padając pośród Rojalistów pod Naseby, Teodor zawołał: „Ach, ta lśniaca zbroja!” – Coeur ponownie się wycofuje. Lew, nie tak dzielny jak jego brat, został hodowcą ananasów na Barbadosie. Pod koniec życia był dozorcą w swoim kościele parafialnym i tam można znaleźć jego grób, który podobno widział Michael Ashman. O jego synu, Konstantynie, nie wiemy niczego poza tym, że zamieszkał niedaleko Bristolu, gdzie zmienił nazwisko na St. Ives, dwukrotnie się ożenił i pozostawił córkę, której nadał dziwaczne imię Godscall: tę dziewczynkę uznaje się za ostatnią z rodu.

Cokolwiek się z nią stało, nosiła w swoich kościach kielich, mapę, zwierciadło – prawdziwe dziedzictwo cesarzowej, prawdziwą Wskazówkę prowadzącą do Serca.



**CZEŚĆ DRUGA**

**BIEDNE SERCE**

# PIĘĆ

## CHINY SĄ W SERCU

Listy od nich przychodziły w nieregularnych odstępach. Przypominałem sobie o nich z poczuciem winy, gdy byłem zmęczony bądź przygnębiony. Chociaż nigdy nie wierzyłem w ten układ, który przywołał mi na myśl dwie małpki przytulone do siebie w głębi klatki w lodowaty dzień, pozwalałem się oszukiwać. Łatwiej było zakładać, że są szczęśliwi. Oczywiście nic nie wiedziałem o historii, którą zaczęli sobie opowiadać; minęło prawie dwadzieścia lat, zanim usłyszałem o „Michaelu Ashmanie” i Poszukiwaniach Serca. Mniej więcej rok po ich ślubie przeprowadziłem się do Londynu, co zawsze pragnąłem zrobić. Praca – w redakcji pewnej niezależnej firmy specjalizującej się w przedrukach z amerykańskiej prasy akademickiej – zajmowała mi większość czasu. Przez kolejne pięć albo sześć lat byłem panem swojego życia. Potem wszystko znów się rozsypało.

Koniec maja, Westminster Bridge, nagłe podmuchy wiatru jak złe przepowiednie z centrum miasta. Kierowca autobusu numer 12 przystanął przy szpitalu Świętego Tomasza, żeby wpuścić jakiegoś staruszka. Ten zawahał się na krawężniku i na chwilę podniósł wzrok; jego twarz przypominała rozmazaną plamę. Pomimo silnego wiatru miał na sobie tylko brudne białe szorty i podkoszulek bez rękawów. Wraciałem właśnie z London College of Printing, gdzie spędziłem większą część poranka, sam już nie pamiętam po co. Siedziałem na górnym poziomie z przodu autobusu. Staruszek zajął miejsce obok mnie, chociaż było mnóstwo wolnych siedzeń, a następnie – gdy dwunastka ruszyła po moście – towarzysko oparł stopy na półeczce przed nami. Intensywnie cuchnął, jak małe zwierzę w słomie.

– Chiny są w sercu, Jack – rzekł i się roześmiał.

Nie zamierzałem odpowiadać, żeby go nie zachęcać, i tylko patrzyłem ponad rzeką na Hungerford Bridge. Była pora przyływu. Światło odbijało się od wody, wypełniając przestrzeń pomiędzy Westminster Pier a Riverside Walk.

– Tak powiadają. Chiny są w sercu!

Autobus powoli minął Parlament, co chwila się zatrzymując, przejechał na żółtym świetle i skręcił w stronę Trafalgar Square. Kątem oka widziałem grzbiety dłoni staruszka, a na nich płataninę wystających żył. Ze starych zamszowych butów wystawały białe brudne kostki. Nagle włożył rękę do kieszeni szortów i wyjął garść cierni oraz zgniecionych liści. Myślałem, że skręci z nich papierosa, jednak on podsunął mi je do obejrzenia. W tej samej chwili kierowca znalazł lukę między pojazdami i przyśpieszył na Whitehall.

– Róża gęstokolczasta... pięć białych płatków, które przenika światło, tworzy kielich dla blado-żółtych pręcików.

Zerwałem się na nogi.

– Yaxley!

Pomknąłem pomiędzy siedzeniami, zbiegłem po schodkach i czekałem na platformie, aż czerwone światło zatrzyma autobus na Trafalgar Square.

Yaxley ruszył za mną wolniejszym krokiem.

– Ja też tutaj wysiadam – oznajmił, ponownie pokazując mi garść liści róży, po czym zgniół je niedbałym gestem i machnął ręką, jakby chciał je rozrzucić na kamienne lwy w wyschniętej, zamkniętej fontannie pod Kolumną Nelsona. Liście wpadły pod koła stojącej taksówki, a ja biernie czekałem na to, co się wydarzy. Było mi niedobrze. Czego się spodziewałem? Że zrobi jakąś magiczną sztuczkę na chodniku przez Teatrem Whitehall? Yaxley tylko przez chwilę uważnie mi się przyglądał. – Nigdy nie marnuj żadnej okazji! – poradził, a następnie szybko ruszył ku krańcowi Charing Cross

Road.

Poszedłem za nim.

– Yaxley nigdy nic nikomu nie zrobił – zauważyła Pam dużo później. – Zawsze zachęcał nas, żebyśmy sami to robili.

\*\*\*

Obok National Gallery, w lewo skrajem Dzielnicy Chińskiej przy Gerrard Place i dalej Shaftesbury Avenue w Queens. Zawsze wiedział, gdzie jestem. Rozmyślnie stawał na drodze samochodów i patrzył na mnie triumfalnie z drugiej strony ulicy albo wpadał na jakąś kobietę robiącą zakupy i wołał: „Ja pierdołę! Widziałeś?”. Pod wieżą kościoła Świętej Anny w Soho, którą pokrywała platanina uschniętego bluszczu przypominająca skurczony układ krwionośny, odwrócił się i zaczął machać w moim kierunku rękami: „Wracaj. Wracaj”. Na Wardour Street było pusto. Nagle skręcił w lewo, zataczając dziwną pętlę przez sam środek targu owocowego przy Berwick Street (gdzie, słysząc nawoływanie handlarza: „Dwanaście za funta. Tutaj dwanaście za funta!”, podniósł wzrok i potrząsnął pięściami w stronę godła Króla Korsyki pokrytego kolażem ponurych twarzy), powędrował Broadwick Street i wrócił na Wardour Street. Szedł niechlujnie i niespokojnie. Zawahał się przed wlotem Flaxman Court. Przy Meard Street kilka poczerńiałych gołębi rozbiegło się przed nim po bruku: zatrzymał się na rogu przed starym, zabitym deskami zakładem zegarmistrza – z wyblakłym szyldem, zakurzonym wejściem podpartym filarami i stiukowymi rozetami – żeby zajrzeć do sutereny, jakby czegoś zapomniał. To była dziwna, nielogiczna wyprawa, która nagle dobiegła końca, gdy wszedł do lokalu Pizza Express na rogu Dean Street i Carlisle Street.

\*\*\*

Dogoniłem go, gdy pośpiesznie przepychał się między załoczonymi stolikami w stronę okna w kącie sali. Poruszeni jego smrodem ludzie podnosili wzrok, gdy ich mijał, ale szybko się odwracali, słysząc, jak mruczy pod nosem: „Pizda!” albo „Cóż to za wredne zwierzątko?”. W końcu usiadł i wyrzucił plastikowe kwiaty z wazonika na środku stołu.

Kelnerzy nie zwracali na nas uwagi.

– Yaxley... – zacząłem, ale znów przestał się mną interesować.

Nagle spadł rzęsisty deszcz, a razem z nim ulicę zalało ponure, srebrzyste, rozmyte światło, które odbiło się od witryny pubu naprzeciwko. W ciągu kilku sekund ulica opustoszała.

– Tam na górze jest papuga – rzekł Yaxley cichym, pustym głosem. Miał rację. Widziałem ją wyraźnie przez szybę na piętrze pubu; biegała po swojej klatce jak mechaniczna zabawka. Poza tym nie było na czym zawiesić wzroku: kolejna restauracja, „TRUSNA” o różowo-fioletowej fasadzie, zamknięta: deszcz.

– Yaxley?

– Po prostu odpieprz się i zostaw mnie w spokoju – odparł. Wydawało się, że na coś czeka.

Po chwili pojawili się dwaj mężczyźni, którzy pchali popsuty samochód. Skręcili w Dean Street, ale tylko jeden z nich wrócił. Stał w drzwiach Pizza Express i otrząsnął parasol. Kiedy wszedł do restauracji, na chwilę skrzyżował ze mną spojrzenia. Miał nieobecny i pusty wzrok. Odwróciłem oczy.

Yaxley wyszczerzył się i pochylił nad stolikiem. Podarł swoją papierową serwetkę na kilka wąskich pasków, z których jeden ułożył na mojej podkładce. Pasek miał włókniste krawędzie, którym rozmyte światło nadawało delikatny wygląd.

– Tylko popatrz! – rzekł Yaxley.

Wbiłem w niego wzrok. Zrozumiałem, że nie chodzi mu o podartą serwetkę, tylko o człowieka, który właśnie wszedł.

– Nie, uważaj, żeby cię nie zobaczył! Nazywa się Lawson.

\*\*\*

W Pizza Express roiło się od kierowników średniego szczebla z branży reklamowej i telewizyjnej, którzy przyszli załapać się na tani lunch. „Dwuletni wyjazd do Niemiec ma sens tylko wtedy, jeśli zarobisz więcej niż tutaj”, mówił ktoś kilka stolików dalej. Potem usłyszałem już tylko „BBC”. Ktoś się śmiał. Lawson wyglądał tak samo jak reszta. Złożył parasol i zdjął płaszcz przeciwdeszczowy, a następnie usiadł dwa albo trzy stoliki dalej od nas, razem ze swoimi znajomymi. Nosił złoty zegarek, koszulę w paski, jeden z tych jasnobłękitnych krawatów w małe białe kropki, jakie można kupić w sklepie obok męskiej toalety na dworcu Euston. Miał siwe kręcone włosy o drobnych, gęstych loczkach: był ubrany w błękitny garnitur.

– Posłuchaj go! – nalegał Yaxley.

Widziałem, że Lawson coś mówi, ale w ogólnym harmiderze typowym w porze lunchu trudno było oddzielić jego głos od głosów pozostałych. Nie zamykały mu się usta: poruszały się w urywanym rytmie niezwiązanym z mową, jak u marionetki, tak że pozostawione same sobie zapewne stale wydawały niezbyt głośny, ale przenikliwy odgłos. Przez chwilę wydawało mi się, że go słyszę. Myliłem się. Nagle jednak się odezwał, a jego słowa dotarły do mnie pomimo odległości:

– Ch-lerna baba. Ch-lerna baba! Mój Boże! – Obniżył usta do widelca, żeby wziąć jedzenie. Yaxley wyglądał na zachwyconego.

– Ten człowiek wie cztery rzeczy na temat Pleromy – stwierdził. – Trzech z nich dowiedział się ode mnie. – Wzruszył ramionami i mówił dalej, jakby chciał się usprawiedliwić. – I cóż z tego. Każdy o nich wie. Ale to czwarta jest ważna. Nie zdaje sobie sprawy, że o niej wie ani że ukrywa ją przede mną.

– Myślałem, że wiesz wszystko – odparłem.

Yaxley popatrzył ponad skrzyżowaniem na kosze z kwiatami ponad ohydą fasadą restauracji „TRUSNA”. Deszcz zelżał i ludzie znów przechodzili obok lokalu.

– Co słyhać u Pam Stuyvesant i Lucasa Medlara? – spytał nieobecny głosem.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, znów zaczął mówić:

– Powiem ci, co Lawson robi dziś po południu, gdy stąd wyjdzie. Zejdzie nad Tamizę przy pirsie Charing Cross i zaczeka w Victoria Gardens, aż pewna bardzo młoda kobieta wysiądzie ze statku wycieczkowego, a następnie pójdzie za nią do pewnego domu w West Kilburn. Ona wejdzie do środka i zamknie drzwi. Lawson będzie stał na ulicy przez godzinę, mając nadzieję, że dziewczyna przejdzie przed odsłoniętym oknem; tymczasem ona będzie siedziała na łóżku z dłońmi na kolanach, wbijając wzrok w ścianę. Po godzinie albo dwóch Lawson zrezygnuje i wróci do domu. Myśli, że ta młoda dama to jego córka, ale się myli. Ona jest moją córką. – Roześmiał się. – Jedną z moich córek.

– Nie chcę tego słuchać – odparłem.

– Owszem, chcesz – rzekł Yaxley. – Ponieważ, jeśli pomożesz mi z Lawsonem, ja pomogę ci z Pam i Lucasem. Chciałbyś, żebym im pomógł? Ich sytuacja się pogorszy, nawet jeśli spróbuję.

– Jaka sytuacja, Yaxley? Co się pogorszy?

Tylko wzruszył ramionami.

– Jeżeli nie spróbuję, nie będą mieli szans – dodał. – Popatrz...

Pchnął w moją stronę zdjęcie zrobione polaroidem. Ukazywało całkiem ładną nastolatkę ubraną w białą bluzkę, błękitny sweterek z dekoltem w szpic oraz szarą plisowaną spódniczkę, mundurek jakiejś prywatnej szkoły. Za sprawą słabej jakości wywoływacza twarz na zdjęciu była pozbawiona ko-

lorów i wyrazu. Nie dostrzegłem żadnego podobieństwa do Lawsona. Dziewczyna siedziała na ogrodowej ławce, pochylając się z dłońmi splecionymi na kolanach. Za nią można było wypatrzeć neogeorgiańskie drzwi, krzewy różane rosnące w szarej, sypkiej, mocno zachwaszczonyj ziemi oraz czarne BMW. Coś w łuku jej pleców, zaciśniętych dłoniach oraz spojrzeniu utkwionym w oddali kojarzyło mi się z obrazem, ale nie wiedziałem czym.

– Lawson chce zerznąć własną córkę. Rozumiesz? Chce ją przelecieć, ale brakuje mu odwagi albo uporu. Ona mieszka w Cheshire z jego pierwszą żoną. Według jego słów ma czternaście lat, ale podejrzewam, że jest młodsza. Z jej powodu Lawson obawia się samego siebie. Wyjaśniłem mu, że może odbić ten cios w stronę zastępczego celu. Sporządziłem dla niego jej obraz. Kiedy będę gotowy, pozwolę mu z niego skorzystać w zamian za to, co wie.

– Nie wezmę w tym udziału, Yaxley.

– Owszem, weźmiesz – odparł.

Posłałem mu surowe spojrzenie ponad białym. Odsunął krzesło i wstał.

– Zachowaj je – rzekł, wskazując zdjęcie. – Będzie ci potrzebne. – Ułożył pozostałości podartej serwetki wokół mojej podkładki pod talerz, a po chwili dodał jeszcze plastikowe kwiaty. – Proszę – powiedział.

\*\*\*

Dla Yaxleya wszystko musiało być niejasne, naznaczone trudnościami, oddalone od sedna. Nawet najprostsza podróż stanowiła tylko powierzchowny obraz – schemat – innej, znacznie trudniejszej. Widziałem to wyraźnie jeszcze w Cambridge. Nie była to kwestia wiary ani metoda działania, a raczej skłonność, przeczucie dotyczące świata. Od początku starał się nas zarazić tym spojrzeniem. Czy porzucił Pam i Lucasa, ponieważ nauczyli się wszystkiego zbyt szybko i powierzchownie? Tamtego popołudnia miałem wrażenie, że nie jestem w Soho, ale na szkoleniu, w jego sali lekcyjnej. Później zrozumiałem, że wszystko zostało odegrane specjalnie dla mnie. Dostrzegłem w kościele Świętej Anny, herbie Króla Korsyki, frontowych drzwiach przy 68 Dean Street oraz kilku postrzępionych skrawkach papieru wystrój inicjacji. Ale teraz tylko z wściekłością wpatrywałem się w podartą serwetkę, gdy Yaxley wyszedł z restauracji, przeciął skrzyżowanie i skrył się w bocznym wejściu pubu Nellie Dean. Papuga zręcznie krążyła w klatce ponad jego głową. Słońce przebiło się przez chmury.

Kiedy Lawson kilka minut później skończył lunch i powędrował na wschód wzdłuż Carlisle Street, Yaxley odczekał, aż przejdzie piętnaście jardów, a następnie ruszył jego śladem. Poszedłem za nimi, przez Soho Square i dalej Sutton Row. To był bezcelowy gest. Wciąż widziałem ich przed sobą, gdy mijałem kubły na śmieci przed siedzibą Stowarzyszenia Matki Bożej z Lourdes, ale kiedy doszedłem do końca Charing Cross Road, zniknęli mi z oczu. Przez chwilę włączyłem się w cieniu Centre Point, rozmyślając o Pam i Lucasię, i otrząsnąłem się dopiero, gdy na tle błękitnego wiosennego nieba zobaczyłem wieżę kościoła St. Giles-in-the-Fields o ośmiu białych filarach i białej iglicy. Była szesnaście. Kościelny zegar śpieszył się minutę albo dwie. Wędrowałem w kółko bez celu, jak mucha po ekranie telewizora. „Zwyczajny cel wędrowki osiągamy bez wysiłku”, mawiał Yaxley w Cambridge. Wokół mnie ludzie pośpiesznie zmierzali na północ, idąc pod wiatr, przygotowując się na godzinną podróż do domu. Mimo że nie było dużego ruchu, i tak podejrzliwie rozglądali się po ulicy, zanim przeszli na drugą stronę.

Wtedy ja także już byłem żonaty.

Moja żona miała na imię Katherine. Należał do niej dom nad kanałem biegnącym pomiędzy Camden High Street a Regent's Park.

Zarośnięty ogród, ozdobiony terakotowymi donicami i małymi figurkami, sięgał aż do brzegu kanału: z okien na górze widać było zielonożółtą powierzchnię wody, która w odpowiednim świetle

wyglądała jak wypolerowany parkiet, latem ocienioną przez drzewa, a jesienią przysypaną liśćmi. To było kilka lat przed tym, jak oczyszczono śluzy, rozszerzono targowiska i sprowadzono Disneyland do Londynu w postaci ozdób na siedzibie TV-AM. Często drażniłem się z Katherine, gdy już się do niej wprowadziłem:

– Nie potrafię cię odróżnić od twojego domu.

– Więc dotknij mnie tutaj.

Jej rodzice zmarli, ale pozostali w jej opowieściach, jak skamieliny w skałach. Dwa tygodnie po swoim ślubie jej matka wjechała do rowu samochodem rozwożącym mleko. To był manifest albo nagłe pragnienie. Później, leżąc bezsennie w hotelu w Cambridge, ojciec Katherine późną nocą usłyszał pukanie w zamurowane drzwi. „Cała rodzina miała zdolności parapsychiczne”. W pewien sposób ten dom wciąż do nich należał. Uwielbiałem jego wysokie okna o eleganckich proporcjach i wypolerowane drewniane posadzki. W każdym pomieszczeniu było mnóstwo światła, które ona zapraszała do środka – tak jak zaprasza się nieufnego kota – za pomocą białych ścian i żółtawobiałych barw.

– A teraz dotknij mnie tutaj.

Brała mnie za rękę i prowadziła między pokojami, udając, że ją podniecam, dotykając poduszki, ramy obrazu albo jedwabnej róży wplecionej w oparcie krzesła w jadalni.

Doprowadzaliśmy się nawzajem do wyczerpania, roztapiając się w sobie, a następnie w odbiciu światła lampy w regałach z książkami i zapachu perfum zwanych „Anaïs Anaïs”. Śniłem o fałdzie aksamitnej zasłony, wnętrzu filiżanki, długim łuku jej pleców, gdy klęczała przede mną. W środku nocy śpiewał zagubiony ptak. Wszystko się łączyło. Kiedy rankiem schodziłem po listy, nagle przystawałem i mówiłem do siebie „Katherine”, tylko po to, żeby poczuć nagły przypływ podniecenia, jak coś żywego w naszym wnętrzu, który czujemy, gdy wiemy, że za chwilę będziemy szczęśliwi.

# SZEŚĆ

## KOPIA

– Co chcesz, żebym zrobił? – spytałem Yaxleya w Pizza Express.

Tydzień później otrzymałem instrukcje nabazgrane razem z numerem telefonu na odwrocie wido-kówki. Wysłał ją z Kensal Rise. Zajmował się tam innym projektem, jednakże kartka, na której wid-niało zdjęcie ulicy w Meudon w 1928 roku, nie zdradzała, co by to mogło być.

Zadzwoiłem pod otrzymany numer.

– Nie potrafię prowadzić – oznajmiłem.

– Więc znajdź kogoś, kto potrafi – odparł Yaxley i odłożył słuchawkę.

Zadzwoiłem do niego ponownie.

– Bądź rozsądny, Yaxley.

Po drugiej stronie linii rozległo się chrobotanie.

– Poślę kogoś – rzekł w końcu.

Posłał Davida.

\*\*\*

David, wysoki chłopak w wieku dwudziestu jeden albo dwudziestu trzech lat, ubrany w dżinsy oraz kufajkę, pod którą nosił wyblakłe T-shirty i postrzępione pulowery, mieszkał ze swoją matką w Pe-ckham. Od czasu ukończenia szkoły tylko raz albo dwa parał się jakąkolwiek pracą. Miał chudą twarz z wyraźnie zaznaczonymi mięśniami wokół ust, od tłumionego napięcia. Ale jego oczy pozostawały przenikliwe i dziecinne, jakby oczekiwał od ciebie odpowiedzi, której nie byłeś w stanie udzielić. Wiedział, że nie uda ci się odgadnąć, czego chce. Mogłeś tylko wpatrywać się w niego z zakłopotan-kiem.

Kiedy go spytałem, jak spędza czas, odpowiedział: „Przeważnie dużo czytam”.

Lubił science fiction i zgromadził pokaźną kolekcję, ale czytał także książki o obozach koncentra-cyjnych, które kupował w dziale z pozycjami niebeletrystycznymi w księgarni W.H. Smiths. Czytał Prima Leviego, ale wolał Wiesława Kielara. Wychowując się na tych książkach w dwupokojowym mieszkaniu matki – trzecim z czterech, które wydzielono w posępnym wiktoriańskim domu o gór-nych piętach zwieńczonych szczytami – nie zauważał gazowego piecyka nad wanną, poluzowanych klepek, futryn, które zmieniały kształt każdego lata, gdy Londyn wysychał. Matka, która zazwyczaj przysypiała podczas wieczornych wiadomości albo jeszcze wcześniej, miała do dyspozycji sypialnię, więc David musiał się zadowolić sofą w salonie. Najczęściej zostawiał włączony telewizor i pił piwo „Harp” z puszki w drżącym półmroku.

Na niższym piętrze mieszkały dwie Azjatki. Jedna z nich miała schizofrenię paranoidalną i była na przepustce ze szpitala. Często krzyczała i wrzeszczała nocami. Czasami długo nie dawała znaku ży-cia, by nagle zawołać: „Zabierzcie ten syf!”.

– Sąsiedzi obok musieli się pozbyć swoich psów – zdradził mi David. – Przyłączały się do niej. Wyły aż do świtu. – Sądził, że obecnie nie jest z nią tak źle, ponieważ za dnia głośno puszczał muzy-kę. – To nie pozwala jej zasnąć, więc nie budzi się w nocy. – Troszczył się o nią, mimo kłopotów, ja-kie sprawiała. – Opiekujemy się nią, kiedy możemy. Jej przyjaciółka musi chodzić do pracy.

W lokalu powyżej nikt nie mieszkał. Właśnie dlatego David był tak użyteczny dla Yaxleya i Law-sona. Czasami wciąż czuję swąd pożaru, który to wszystko zakończył, i słyszę trzask hamulców pneu-matycznych, który rozlegał się, gdy wozy strażackie krążyły po ulicy, aż w końcu zablokowały sobie

nawzajem drogę. Można było czytać przy ich niebieskich światłach. David biegał bez celu, dopóki nie opadł z sił. Jako że starałem się nigdy nie zgłębiać jego relacji z tą dwójką, nie mam pojęcia, co był im winien. Co do jego matki, to nawet jej nie znali, chociaż Lawson – który wierzył w tak zwane „wartości rodzinne” – kiedyś powiedział:

– Bóg jeden wie, co ona tam gotuje przez cały dzień. Cuchnie jak czyjś brzydki oddech.

\*\*\*

To była typowa wypowiedź Lawsona. Skrót BMW był dla niego za długi – zawsze porównywał swoją „beemkę” do czyjegoś „jaga”. Mówił o „sączeniu”, kiedy miał na myśli sprzedaż ratalną. Wyczuliłem się na jego głos w ciągu pół godziny spędzonej w Pizza Express, i potem wydawało mi się, że go słyszę podczas każdego lunchu. Wystarczyło, że dostrzegłem jego ramiona i kark na schodach ruchomych w przejściu podziemnym przy Tottenham Court Road albo zauważyłem garnitur, jaki nosił, w tłumie przechodzącym przez Oxford Street naprzeciwko Marks & Spencers, a od razu kierowałem się w przeciwnym kierunku. Miałem wrażenie, że Lawson ciągle coś je. Pewnego razu w restauracji w Smith’s Gallery w Covent Garden doszło do tego, że się do mnie odezwał.

Wszedłem od strony Neal Street, powiesiłem płaszcz na wieszaku przy barze i nagle zdałem sobie sprawę, że Lawson siedzi zwrócony do mnie plecami przy jednym ze stolików u podnóża schodów, w odległości niecałych dziesięciu stóp.

Podobnie jak David, Lawson był tylko ofiarą: mimo to, cechowała go przerażająca energia. Być może właśnie to przyciągnęło do niego Yaxleya. Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Jakaś ledwie powstrzymana łapczywość sprawiała, że kręcił się na krześle podczas jedzenia, dotykał dłońmi włosów i twarzy, poruszał sąsiednim krzesłem, po czym odstawiał je na miejsce. Prosił o pieprz, a gdy tylko kelner odszedł, wołał go i domagał się kolejnej porcji.

– Większość ludzi chce być jak ciasto – powiedział do towarzyszącej mu kobiety. – Nie uważasz? – Zamiast odpowiedzieć, podniosła wzrok i zobaczyła, jak stoję bezradnie przy barze.

– Znamy się? – Lawson spytał głośno, odwracając się w moją stronę. Pokręciłem głową.

– Więc co mogę dla pana zrobić?

– Cóż...

– Tak już jest, że kiedy przyłapuję kogoś na gapieniu się na mnie, zaraz zastanawiam się, co mogę dla nich zrobić – dodał. – Ale jeśli nie ma niczego takiego...

Kiedy odszedłem, pochylał się nad stolikiem i ze śmiechem szeptał coś do swojej towarzyszki, a przynajmniej przybliżał swoją twarz do jej twarzy.

– Ponieważ, jeśli nie mogę niczego dla pana zrobić – zawołał w ślad za mną – to może mógłby pan się pogapić na kogoś innego!

W Smith’s było pełno ludzi z agencji projektanckich i nowych firm z branży public relations. Czuliłem na sobie ich rozbawiony wzrok, gdy szedłem za kelnerką pomiędzy filarami, pośród upału, gwaru i zapachu jedzenia. Miałem się spotkać z kolegą, który pracował w akademickim oddziale wydawnictwa Allen & Unwin. Usiadłem i wbiłem wzrok w obrus, potem w jadłospis, a w końcu w obrazki na ścianach.

Głos Lawsona donośnie rozbrzmiewał po drugiej stronie sali.

– Ch-lerni parkingowi – mówił. – Ch-lerni mali stalinowcy!

Bez trudu wyobraziłem sobie, jak, wciąż pełen łapczywości, każdego popołudnia w deszczu śledzi swoją „córkę”, gdy ta wraca do domu. Jak dokładna, jak trwała była kopia? Może kiedy Yaxley skupiał się na czymś innym, rozpływała się jak akwarele, stawała się rozmazana i niewystarczająca, nie dawała mu zaspokojenia. I czy prawdziwa córka cokolwiek czuła, gdy po całym tygodniu nauki wglądała przez maklersko-georgiańskie okno na ciemniejący półwysep Wirral? Czekając na chrzest



opon BMW na zwirowym podjeździe, wklejała do książki obrazki kucyków i zdjęcia kurtek Barbour. „Koniec semestru. Dzisiaj zaczynają się ferie”. Czy czuła zagrożenie?

– Co panu do tego podać? – spytała kelnerka, a ja uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, co zamówiłem.

\*\*\*

Tamtego popołudnia zadzwoniłem do Yaxleya.

– Czy nie powinniśmy niedługo zacząć działać? – zasugerowałem. – On mnie widział. Możliwe, że mnie rozpoznał z Pizza Express.

Ale chociaż Yaxley zakończył swoje sprawy w Kensal Rise, wciąż sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Gdy tylko odebrał, oczyma wyobraźni ujrzałem, jak siedzi w swoim pokoju ponad księgarnią Atlantis i patrzy w dal, podczas gdy zegar na wieży kościoła Świętego Jerzego w Bloomsbury wybija dwudziestą pierwszą, a światło padające na meble przypomina żółty lakier, który nigdy nie wysycha.

– Yaxley?

Chciałem, żeby mu się udało z Lawsonem. Zacząłem się obawiać, co się stanie, jeśli zawiedzie.

– Nie zawracaj mi teraz głowy – rzekł wymijająco.

Minęło trzydzieści albo czterdzieści sekund. Wciąż trzymał słuchawkę przy uchu.

– Yaxley? Halo?

\*\*\*

David posiadał starego hillmana avengera. Auto miało płowy kolor z kasztanowymi plamami w miejscach, w których wyszlifował i zagruntował lakier przed ponownym malowaniem. W środku unosiła się woń smaru, odświeżacza powietrza kupionego w Halfords oraz wschodniego jedzenia, jak w taksówce w Peckham. Matka Davida, której to wcale nie przeszkadzało, podobnie jak zanieczyszczony chrom i sypiące się błotniki, każdego tygodnia ratowała go nową pluszową zabawką. Kupiła synowi naklejkę z ostrzeżeniem: „Łapy precz, bo dostaniesz w łeb”. W letnie soboty przyczepiali zrobiony na szydełku koc do tylnej szyby, żeby osłonić tylne siedzenie przed słońcem, a David powoli wiozł matkę wzdłuż rzeki Rye do Dulwich Village, gdzie mogli cieszyć oczy eleganckimi domami z oknami wykuszowymi oraz stuletnimi drzewami. David był jej najmłodszym dzieckiem. Urodził się późno i powoli się uczył. Miał skłonności, zwłaszcza po śmierci ojca, do obsesji i napadów entuzjazmu – budował modele myśliwców, zbierał cotygodniowe wydania encyklopedii o historii wojskowości; interesowało go wszystko, co można było kolekcjonować albo składać – i zadziwiał matkę swoją odrębnością. „Jest prawdziwym indywidualistą. Nie tak jak pozostała trójka”, mówiła ludziom. Ta niewinna skłonność kryła się w jego wnętrzu, czekając, aż Yaxley – który wynurzał się z marzeń o Pleromie tylko po to, żeby zaczerpnąć kilka długich chrapliwych oddechów – w końcu znajdzie dla niej zastosowanie. Trzy dni po moim spotkaniu z Lawsonem David przyszedł do mnie do biura, gdzie nerwowo rozpiął płaszcz, gapiąc się na rzędy książek jak turysta.

– Jeśli jesteś gotowy, to ja też – rzekł. – Dokąd jedziemy?

Yaxley niczego mu nie powiedział.

– Jest w pół do czwartej – odrzekłem z wyrzutem. – Jeszcze nie skończyłem pracy.

Usiadł.

– Mogę ci dać dziesięć minut, ale wolałbym być na miejscu przed zmrokiem. – W jego samochodzie popsuta się instalacja elektryczna: po zapaleniu świateł nie dało się go zatrzymać. – Elektryka to skomplikowana sprawa. – Parkowanie również stanowiło problem. – Zostawiłem auto na Poland

Street.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Pewnie przywykłeś do czegoś innego.

– Pojedziemy M1 – odrzekłem.

Na autostradzie okazał się niecierpliwym kierowcą. Agresywnie przepychał się pomiędzy samochodami, które wyjechały na drogę w to piątkowe popołudnie, i zwolnił dopiero niedaleko Luton, gdzie wszystkie trzy pasy zaczęły się zatykać.

– Miło się wyrwać z miasta – stwierdził. – Maszyna daje radę – dodał po chwili z dumą. – Jeśli tylko się ją kontroluje.

A potem:

– Tylko popatrz na gościa. Nie, na tamtego! Co za fiut. Trzy litry, wtrysk paliwa, ABS. Ile on jedzie? Pięćdziesiąt mil na godzinę. Kurwa, pięćdziesiąt mil!

Kiedy nie było już kogo wyprzedzić, stał się niespokojny, na zmianę włączał i wyłączał radio, otwierał i zamykał nadmuchi. Miał w zwyczaju przekładać lewą stopę na pedał gazu, a prawą wciskać pomiędzy siedzenie a drzwi. Potrafił to robić tak szybko, że silnik niemal nie tracił obrotów; chociaż czasami, kiedy się rozpraszał, samochód chybotał się niepewnie w strumieniu powietrza za szesnastokołowcami. Spryskiwacze rozbiły światło na przedniej szybie, tryskając we wszystkich kierunkach przez mgiełkę słonecznego blasku i spalin. Patrzyliśmy, jak dwie wrony ciężko wzbijają się w powietrze z utwardzonego pobocza, niechętnie porzucając coś, czym się tam pożywiały.

– Kiedyś jeździłem furgonetką – odezwał się niespodziewanie. – Wynajętą, kiedy pracowałem w firmie budowlanej. Odprowadziliśmy ją do wypożyczalni i powiedzieliśmy: „Przegrzewa się, jeśli dłużej jedzie się setką”. – Zachichotał. – Kolesi na to: „Taka furgonetka nie wyciągnie setki”. Pieprzyć to, stary! – Zerknął na mnie z ukosa, jakby chciał sprawdzić, czy mu wierzę. – Straciłem tę robotę po miesiącu.

– Może przejedziemy kilka mil A5, a potem wjedziemy na M6 koło Rugby?

– Czemu nie?

Kiedy zjechaliśmy z autostrady, ford sierra kombi, ociążały od dzieci, zapasowej pościeli i spacerówek, minął nas powoli środkowym pasem.

– Dasz wiarę?

Zanim dotarliśmy do Cheshire, David się zmęczył.

– Napiłbym się herbaty. – Oparł stopę o deskę rozdzielczą, potarł oczy i popatrzył pustym wzrokiem ponad parkingiem lokalu Little Chef na pas nędznej trawy i nowo zasadzone drzewka, obok których w zapadającym zmroku kilkoro dzieci biegało wokół wysokiego na piętnaście stóp różowego smoka z włókna szklanego. – Kto buduje coś takiego dla dzieciaków? – spytał, wiercąc się za kółkiem, aż w końcu udało mu się wsunąć jedną rękę w rękaw kufajki i niezdarnie ją naciągnąć. Wyglądał na szczerze zdziwionego. – Kto chciałby, żeby jego dzieci bawiły się w czymś takim?

– Zostań tutaj – odrzekłem. – Przyniosę ci herbatę.

– Ja pierdolę.

Jednym ze znaków rozpoznawczych Little Chef jest dywan z powtarzającym się wzorem ze swastyk, których ramiona tworzą malutcy kucharze, przez cały dzień z uśmiechem trzymający w górze talerz z jedzeniem. W środku trzej przedstawiciele handlowi zajadali cheeseburgery z frytkami i sałatką, która lśniła od tłuszczu. Co jakiś czas któryś z nich odczytywał jakiś akapit z „Today”, a pozostali się śmiali. Córka Lawsona spokojnie czekała w części sali dla niepalących. „Upewnij się, że to ona”, ostrzegł mnie Yaxley, jakby spodziewał się, że ktoś powtórzy jego wyczyn. Kiedy zobaczyła, że porównuję ją ze zdjęciem, udała, że wygląda przez okno, przez które, jeśli lekko obróciła głowę, widziała zaparkowane samochody oraz wzgórze Derbyshire daleko na południowym wschodzie, a na ich tle smoka z włókna szklanego z rozwartym disneyowskim pyskiem, który świadczył o niepoha-

mowanym dobrym nastroju. Miała na sobie taką samą plisowaną spódniczkę i białą bluzkę, ale włosy spłotła w warkocz. Z bliska pachniała mydłem „Wright”.

– Przysłał mnie po ciebie twój ojciec – odezwałem się. Yaxley wcześniej mnie pouczył: „Nie zapomnij na początku powiedzieć, że przysłał cię jej ojciec”. Kelnerka pojawiła się przy stoliku. Zamówiłem dzbanek kawy i usiadłem, czekając na napój. Po chwili, nie wiedząc, co innego mógłbym powiedzieć, dodałem: – Nie może się doczekać, kiedy się z tobą zobaczy.

David stanął w drzwiach, żeby sprawdzić, czy jego herbata jest już gotowa.

– Na litość boską! – zawołałem. – Zaraz ją przyniosę!

Cofnął się i zobaczyłem, że szybkim krokiem wraca do samochodu, garbiąc się pod dermowym brzemieniem kufajki. Zabrałem córkę Lawsona i jej rzeczy, po czym poszedłem zapłacić.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – spytała kobieta przy kasie.

– Tak, dziękuję.

– Podać panu coś jeszcze?

Widziałem, że z niepokojem spogląda na dziewczynę.

– Nie, dziękuję – odrzekłem.

Na M6 było pusto. Od chwili, gdy David ruszył wjazdem na autostradę w ciemność, którą tylko od czasu do czasu rozpraszały światła mijanych samochodów, czyjaś wola wisiała nad nami jak smród wypełniający auto. Pomimo naszej prędkości, czuliśmy się jak zanurzeni w kleju. David się do mnie nie odzywał. Jeśli obecność córki Lawsona odseparowała go ode mnie, w takim razie to, co o niej wiedziałem, oddzieliło całą naszą trójkę od człowieczeństwa. „Ofiara dysponuje mocą”, uczył mnie Yaxley w Cambridge. Dziewczyna usiadła wygodnie z tyłu i początkowo zachowywała się tak cicho, że po kilku minutach spytałem:

– Nic ci nie jest?

– Podoba mi się to szare futerko – odparła, dotykając obić foteli. – Jest miękkie jak u kota. – A po chwili dodała: – Rzadko miewam chorobę lokomocyjną.

– Ciepło ci?

– Ostatnio, kiedy jechaliśmy autostradą z tatusiem, widzieliśmy trzy martwe koty – powiedziała nieoczekiwanie. – Gdy wróciliśmy do domu, okazało się, że naszego własnego kota poraniła kosiar-ka, zdzierając mu mięso z jednej z przednich łap. Widać było wszystkie linie pod skórą. Nigdy nie wiadomo, czy to kości, ścięgna czy coś innego, prawda? Bił nas łapami i zawodził, a cały kuchenny blat pokrywała krew. Mama potem dziwnie się zachowywała. Zawsze, kiedy widziała coś w żywopłocie albo rynsztoku, kazała nam zatrzymywać samochód.

Roześmiała się.

– „Czy to martwy ptaszek?” – przedrzeźniała. – „Czy to czyjaś laska, czy tylko połamany parasol?”.

David też zaczął mówić; być może poczuł się zbity z tropu...

Kiedy był mały, widział genialny film.

– „Latające Tygrysy”, po prostu zajebisty!

Czytał książkę o muzeum w Auschwitz.

– W Birkenau przed zagazowaniem obcinali kobietom włosy. Potem sprzedawali je producentom materacy, którzy robili z nich wypełnienie. Dacie wiarę?

Przyznałem, że owszem.

– Jednak najgorsze jest to... poprawcie mnie, jeśli się mylę... że część z tych materaców wciąż może być w użyciu – dodał.

Martwił się o swoją matkę.

– Niedługo musi na kilka dni iść do szpitala Maudsley. – Okazało się, że ma jakąś chorobę kości. Jej złamany nadgarstek nie zrósł się po dwóch miesiącach w gipsie, więc trzeba go było połączyć

wszczepami. – Takie rzeczy zawsze przydarzają się innym, prawda? Rak, katastrofy lotnicze, jazda po alkoholu. Nas to nigdy nie dotyka. – Przez chwilę patrzył przed siebie. – To zawsze przytrafia się komuś innemu.

Chciał, żeby to zabrzmiało ironicznie, ale ostatecznie osiągnął ponury efekt.

– Patrzcie!

Oświetliły nas reflektory samochodu jadącego za nami i nasze cienie padły na olbrzymi znak zjazdu z autostrady. Na chwilę staliśmy się monumentalni i filmowi – a zarazem równie udomowieni jak sylwetki małżeństwa oglądającego telewizję w swoim salonie – lecz potem podróż trwała dalej jako ciąg długich, kleistych chwil, które następowały po sobie chaotycznie, aż dotarliśmy na przedmieścia Londynu, gdzie samochody powoli przesuwane się w gęstym pomarańczowym świetle wypełniały strome wykopy spalinami. Dwaj mężczyźni bili się na chodniku przed kinem Odeon przy Holloway Road. Córka Lawsona zasnęła z nieobecny obliczem, opierając głowę o szybę, tak że ślizgała się niewygodnie z każdym poruszeniem auta. Nie zwróciła uwagi, kiedy sięgnąłem do tyłu i wsunąłem jej pod głowę złożony pulower. Później – a może to było w tej samej chwili – podniosłem wzrok i wydawało mi się, że widzę róże kwitnące w ogrodzie na szczycie politechniki. Pomędzy trawnikami rozciągały się szerokie rabaty z przeszczepionymi „ballerinami”, między którymi posadzono lilie. Dzikie róże i kaliny koralowe oblewały bladoróżowym i kremowym blaskiem stare ceglane mury i ścieżki aksamitne od jaskrawozielonego mchu. Białe róże pienne ciężko zawisły na jabłoniach. Witki dwóch albo trzech wierzb, jak żółte włosy w silnym blasku zimowego słońca, kładły się na parapetach budynku; obok nich wisiały splątane wrzośce. Pośród róż przycupnął biały lampart. Był czterokrotnie większy od żywego osobnika i bił ogonem jak domowy kot. Przed pozostałymi budynkami wystawiono potężne, przytłaczające masy kwiatów, wśród których odpoczywały albo krążyły nerwowo – między bramkami i maszyną od centralnego ogrzewania – inne zwierzęta: pawiany, olbrzymie ptaki, powoli zwijający się wąż. „Róża na Ziemi jest Lilią w Niebie”. Woń olejku z płatków była tak silna i gęsta, że wypełniała ulicę w dole: przez nią, niczym błyski światła przez całun, przedostały się ludzkie zapachy smażonego jedzenia, piwa i benzyny.

David gwałtownie zahamował.

– Jezu! – zawołał.

Przednią szybę wypełnił tył ciężarówki z mrożonkami, na której drzwiach namalowano wielkimi białymi literami napis TRANSFIGURANTE. Wskoczyłem z auta na środku ulicy i krzyknąłem przez otwarte drzwi, prosto w upał i smród oraz zaskoczoną białą twarz Davida:

– Dalej pójde pieszko.

– Co takiego?

Zatrzasnąłem drzwi.

– Pójde pieszko.

\*\*\*

Tej nocy w domu przyśnił mi się koszmar, w którym ukrywałem się przed ludźmi. Spieszyłem się, próbując odgrodzić się od nich drzewami, budynkami, samochodami, czym tylko się dało. Usłyszałem czyjś głos: „Podwójny paradoks. Życie nie jest śmiercią, podobnie jak sama śmierć”, po czym obudziłem się w pustej sypialni. Była trzecia w nocy, ciemno choć oko wykol. Ze snu pozostało rytmiczne głucho łomotanie, jakby ktoś uporczywie wbijał gwoździe w ścianę piwnicy albo kołatał do ciężkich drzwi kilka domów dalej. Kiedy hałas nie ustawał, niepewnie wstałem. Drzwi sypialni były otwarte, a na schodach panowała ciemność.

– Katherine?

Łomotanie, równie odległe jak wcześniej.

– Katherine? Jesteś tam? Nic ci nie jest?

Chodziłem od pokoju do pokoju, chcąc ją odnaleźć. Wszystkie wewnętrzne drzwi były pootwierane. Wszędzie zaległo pomarańczowe światło, które tkwiło w lustrach i ślizgało się po wszystkich kominkach, odkrywając coś w każdym pomieszczeniu. W bawialni książka „Obraz i powieść” została częściowo wyciągnięta z półki – cień jej grzbietu padał ukośnie na pięć albo sześć innych tomów. W kuchni nóż, deska do krojenia pieczywa oraz bochenek chleba leżały obok młynka do kawy firmy Braun, jak mały biały idol. W pracowni, prawie na samym szczycie domu, coś spadło i stuknęło się w pustym palenisku.

– Katherine?

Nie było jej. Na zewnątrz, na St. Marks Crescent, stało mnóstwo zaparkowanych samochodów; za domem ciągnął się wyczerpany i nieruchomy Regents Canal. Chociaż byłem nagi, czułem leniwą błogość, jakby otaczał mnie jakiś ciepły płyn. Miałem częściową erekcję, która na chwilę stwardniała, gdy dotknąłem członkiem zasłony w salonie. Jednocześnie przepełniał mnie niepokój. Jego przyczyna była przede mną ukryta, ale nie ustawał, podobnie jak łomotanie.

– Katherine?

W końcu wróciłem do łóżka i zobaczyłem, że leży rozbudzona w ciemności.

– Co się stało? – wyszeptwała.

– Myślałem...

– No co?

– Myślałem, że wstałaś – odrzekłem. – Ten hałas...

– Niczego nie słyszę.

– Nie wstawiałaś? – zdziwiłem się. – O, posłuchaj!

– Niczego nie słyszę.

Zacząłem drzeć.

– Obszedłem cały dom. Nie mogę się rozgrzać.

Katherine mnie objęła.

– Co robiłeś, że jesteś taki roztrzęsiony?

– Posłuchaj!

Wiem, że niektóre sny odłączają się od ciebie niechętnie, z towarzyszeniem iskierek światła albo uczucia uwięzienia, które znikają bardzo powoli. Czujesz się jak w transie. Czekasz, aż powtórnie będziesz mógł zrozumieć świat, a tymczasem znów wpadasz w sen, tym razem bez lęku. Było jednak coś okropnego w tym łomotaniu, jego oddaleniu i uporczywości.

– Jak się czujesz? – spytała rano Katherine.

– Och, już w porządku.

Ale wiedziałem, że coś pukało. Coś pojawiło się w domu.

– Mam nadzieję – odrzekła.

Była malarką. Poznaliśmy się pewnego wieczoru dwa albo trzy lata wcześniej na wystawie u Goldsmitha. Była nieco starsza ode mnie i lizała rany po romansie, o który nigdy jej nie pytałem. Początkowo nie chciała się angażować. Wkrótce jednak nie potrafiliśmy wytrzymać bez siebie ani jednego dnia, a nawet udawać, że jest inaczej: dlatego pewnego ranka obudziła się w swoim idealnym domu i zastała mnie podpartego na jednym łokciu, wpatzonego w nią z nieśpiesznym zachwytem. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Zawsze czuję cię blisko siebie, nawet kiedy śpię”, i wtedy klamka zapadła. Pobraliśmy się niemal natychmiast. Przez pierwsze kilka tygodni uwielbiałem na nią patrzeć. Delikatnie przytrzymywałem obiema dłońmi jej głowę i wpatrywałem się jej w twarz, myśląc: Ona tam jest.

– Już w porządku.

Później tego ranka poszedłem na górę do jej pracowni. Tam mieszkał duch światła odbitego od kanału, połyskujący, ruchliwy i drżący, kryjący się na skraju pola widzenia w białych matowych ścianach i suficie. Nie wiem, czy kiedykolwiek zwracała na niego uwagę, podobnie jak na woń terpentyny, którą trzymała w wiktoriańskim szklanym kałamarzu; on jednak żyje także w jej obrazach, niezależnie od ich tematyki – migotanie letniego słońca odbijającego się od wody i zielonych drzew.

Według Katherine, w malowaniu olbrzymią rolę odgrywa przestrzeń. „Zawsze należy usiąść na środku pracowni, a nie na jej skraju”, powiedziała mi, gdy odwiedziłem ją po raz pierwszy. Teraz, tak samo jak wtedy, kręciłem się bez celu po pracowni, przerzucając zawartość pudełka po butach, w którym przechowywała niewielkie szkice wykonane na francuskim papierze akwarelowym – niepewne kreski ołówkiem i małe kropki farby, wskazówki dotyczące jej wewnętrznego życia – oglądając jej pędzle – ciemnopomarańczowe, niebieskie i brązowe – które wyłożyła obok siebie na lakierowanych klepkach przykrytych arkuszem tektury falistej, żeby się nie turlały, albo przesuwając tuby farby olejnej w drucianym koszyku. Brąz Van Dycka, Czerwień Indyjska, pogięte tubki, ołowiane w stonowanym świetle. Ich nazwy zawsze będą mnie zachwycały. Tlenek Chromu. Zieleń Monestialna. Olejki Speedball z Ameryki. Wciąż mam obraz, nad którym pracowała tamtego ranka. Przedstawia kobietę, która wpatruje się w oglądającego. Za nią znajdują się inni ludzie, a także niedokończone, widmowe tło złożone ze szkolnych ławek albo biurowej hali maszyn.

Podczas pracy Katherine zawsze emanowała hipnotycznym spokojem. Działała na mnie niezwykle odprężająco. Słyszałem stukanie i szept pędzla na płótnie, a pod spodem, tak cichy, jakby był tylko złudzeniem, odgłos jej oddechu. Czułem się tak samo jak wtedy, gdy wrześniowymi wieczorami obserwowałem matkę przy prasowaniu. Dotknąłem miejsca, w którym kark Katherine łagodnie, ale zdecydowanie przechodził w mięśnie jej piegowatych pleców. Po chwili odwróciła ku mnie twarz.

– Więc mnie pocałuj – poprosiła.

Patrzyliśmy na siebie przyjaźnie. Odłożyła pędzel i wzięła mnie za rękę.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Na pewno – odrzekłem.

Ponownie wzięła pędzel.

– Zdziwiasz mnie – powiedziała. – Tak wiele ukrywasz!

# SIEDEM

## HILL PARK, NUMER 17

William Blake doświadczył swojej pierwszej wizji w wieku ośmiu albo dziewięciu lat podczas rodzinnej wycieczki do Peckham Rye, która w tamtych czasach była spokojną wioską rolniczą w parafii Camber-well. Biografowie donoszą, że doznał halucynacji (cóż innego możemy na ten temat myśleć?), w której zobaczył drzewo pełne aniołów, „jaśniejących anielskich skrzydeł, które zdobiły każdy konar niczym gwiazdy”. Udało mu się uniknąć lania od ojca. Jednakże, co ważniejsze, postawił wtedy stopę na ścieżce. W jego głowie pojawiła się idea. Nie była to jeszcze płonąca włócznia, ale miała nigdy go nie zawieść.

Nie jestem w stanie stwierdzić, czy córka Lawsona widziała cokolwiek po tym, jak David pomógł jej się zadomowić w Peckham.

Numer 17 przy Hill Park mieścił się na lewo od rzeki Rye, patrząc na południe, pomiędzy nieciekawymi niskimi blokami oraz dwoma albo trzema wieżowcami mieszkalnymi wybudowanymi na wzgórzu. Na ulicy wypalony vauxhall osiadł na bębnach hamulców; w suterenie było pełno połamanych mebli – płyty wiórowe, laminat, wypaczone i odstające okleiny. Z progu budynku na ulicy widać było tylko rzędy kontenerów pełnych gruzu. W środku nigdy nie widziałem niczego poza schodami – brudne linoleum, spalone zapalki, brakujące poręcze, zużyte wycieraczki z włókna sizalowego przed każdymi drzwiami. Wieczorem klatkę schodową oświetlały gołe czterdziestowatowe żarówki, po jednej na każdym półpiętrze. W ciągu dnia szary blask sączył się przez świetlik umieszczony w wysokim szybie. Słysząc było odgłos deszczu na szkle. Po wejściu do mieszkania na górze, napotykało się dwa albo trzy schodki obite wykładziną, a następnie niewielki korytarz o białych ścianach pokrytych płytami gipsowymi i czekoladową boazerią. Zupełnie jakby szukało się toalety w herbariarni w jakimś nieciekawym turystycznym miasteczku na szczycie urwiska.

Dzień po przybyciu córki Lawsona odebrałem telefon od Yaxleya.

– Chciałbym, żebyś coś mi przywiózł – oznajmił. – Kilka rzeczy.

Wśród nich uwagę zwracało pudełko po butach pełne zdjęć, które sam zrobił polaroidem, ale których nigdy nie miał przy sobie, zapewne ze strachu. Magia wyczerpała go seksualnie na długo przed tym, jak Pam, Lucas i ja go poznaliśmy. Miał trudności z osiągnięciem podniecenia wymaganego dla przeprowadzenia trudnej operacji. Zwyczajna pornografia mu nie wystarczała. Jednym z pierwszych zadań, które mi zlecił w ramach mojego terminowania – chociaż wtedy tak tego nie traktowałem – było towarzyszenie mu podczas cotygodniowego obchodu publicznych szaletów w Cambridge. Wolał starsze toalety, przeciekające i popękane, śmierdzące moczem, do których schodziło się po kilkunastu tłustych kamiennych stopniach. W ciemności kryła się nierówna, wilgotna podłoga; trzy kabiny o błyszczących czarnych drzwiach; niebieska farba klejowa łuszcząca się ponad poszczerbionymi białymi kafelkami. Ściany pokrywało homoseksualne graffiti, nakreślone za pomocą prostych linii i niewielkich ramek, ekspresyjnego, starannie zaprojektowanego pisma. Zakrywały je i otaczały heteroseksualne komentarze, żywiołowo, ale niezrozumiale nabazgrane. Tam, gdzie Howard elokwentnie stwierdził, że to miejsce należy do niego i chętnie by się z tobą zabawił w piątkowe wieczory – a także dla twojej informacji dodał niezwykle realistyczną ilustrację przedstawiającą, jak twierdził, jego wzwiedzonego penisa – jakiś pijany chłopak dodał: TY CIOTO.

– Ot, takie proste czułości – stwierdził Yaxley. Fotografował je wszystkie. – Sprawdź, czy nikt nie idzie.

To była niepotrzebna ostrożność. Takie miejsca zawsze są puste, gdy się do nich wchodzi. Okazuje się, że odgłos w kabinie to woda ciekąca z rezerwuaru. Mimo wszystko, nie chcąc zostać oślepio-

nym, chętnie ustawiłem się w drzwiach i patrzyłem na drugą stronę ulicy – na deszcz, dworzec kolejowy, kobietę z psem – podczas gdy za moimi plecami lampa błyskowa polaroida wytrawiała ciemność, a Yaxley panel po panelu budował swoje retabulum i ołtarz.

\*\*\*

„Ten człowiek wie cztery rzeczy na temat Pleromy – powiedział mi Yaxley, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Lawsona. – Trzech z nich dowiedział się ode mnie. Ale to czwarta jest ważna. Nie zdaje sobie sprawy, że o niej wie ani że ukrywa ją przede mną”. W jakimś niezrozumiałym dla mnie sensie sam Lawson oznaczał, poprzez metonimię, tę czwartą rzecz, dzięki czemu, chociaż nie była obecna w świecie, można było zaczerpnąć z jej źródeł. Yaxley nazywał tę metafizyczną sztukę „zawinięciem”. Zastanawiałem się nad tym, gdy kupowałem albo zbierałem przedmioty i artefakty w całym Londynie – książki od handlarzy z Shepherd’s Bush i Camden, używane ogrodowe posągi z Kentu, zakurzone sztuczne kwiaty, zwoje włosów oraz słoik czegoś, co wyglądało jak zakonserwowany imbir od kobiety z Golders Green – a następnie dostarczałem je, w ciągu kolejnego tygodnia, do Peckham.

Mieszkanie na piętrze pod numerem 17 nie mogło po prostu przyjąć tych przedmiotów. Najpierw David musiał je ogołocić. Wyniósł meble i dywany. Wyszorował klepki. W niektórych miejscach, w celu usunięcia plam, które według Yaxleya mogły przeszkodzić w operacji, wyszlifował podłogę papierem ściernym, odsłaniając świeże różowawe drewno. Wszystkie plamy, zacieki i brudne ślady gromadzą w sobie energię. Szczególną uwagę zwróciliśmy na ściany. Aby zagwarantować sobie sukces, musieliśmy zerwać stare tapety: nad kominkiem i obok okien Yaxley dobrał się przez stary gips aż do gołej cegły. Inny magik mógłby zechcieć zachować echa kryjące się pod numerem 17; w innych okolicznościach Yaxley również mógłby je docenić. Ale uciekanie się do pornografii, z definicji oznacza utratę pewności siebie. Wcześniej obmyślał i przygotowywał takie operacje instynktownie, polegając wyłącznie na sile woli, teraz jednak pozwolił, żeby ostrożność wzięła górę nad intuicją. Nakazał Davidowi pożyczyć parownik ze sklepu dla majsterkowiczów w Nunhead i z namysłem przyglądał się, jak nagromadzone przez dwadzieścia albo trzydzieści lat dekoracje wybrzuszą się i odklejają od pożółkłego, lepkiego gipsu.

– To, co znajduje się pod spodem, jest znacznie lepsze – oznajmił David pewnego wieczoru, gdy spotkaliśmy się na schodach przed mieszkaniem jego matki. – Te stare domy są przegniłe do szczytu.

Pocił się. Ubranie miał pokryte pyłem, gdyż wywoził do kubłów na ulicy foliowe torby z linoleum, gipsem i połamanymi meblami. Jednakże było widać, że sprawia mu to przyjemność: miał jakieś zajęcie. Odgarnął włosy z oczu i zerknął na pakunek, który trzymałem pod pachą.

– Co tam masz?

– Getsemani.

– Co takiego?

Getsemani, w plastikowej ramie koloru kości. Namalowany odcieniami zieleni i złota przez kogoś pozbawionego wyczucia perspektywy, a jednak w pewnym świetle nabierał dziwnej głębi. Chrystus wypływał z płaszczyzny obrazu z ramionami szeroko rozłożonymi w trudnym do zrozumienia geście powitania, podczas gdy drzewa i kamienie w ogrodzie, namalowane nożem do palet, kłębiły się i wirowały za nim jak burzowe chmury. Dziesięć lat wcześniej często sprzedawano go w katolickich sklepach, ale po kilkudniowych bezskutecznych poszukiwaniach w antykwariatach posłuchałem rady Yaxleya i udałem się do zamkniętego na cztery spusty przybytku przy Old Kent Road oznaczonego szyldem „Sean Eicher, OBRAZY”. Nazwisko skojarzyło mi się z ichorem, płynem, który płynie w żyłach aniołów, a także kuchennych zuczków. I również z jakąś usługą, na przykład znachorstwem. Tak czy inaczej, znalazłem tam poszukiwany obraz. Wisiał, nawet niezakurzony, pośród woni starych



ludzi i butelek z mlekiem, podczas gdy w pomieszczeniu na tyłach amerykański pitbull z cichą determinacją szarpał się na uwięzi, chcąc mnie dopaść.

– Coś nowego dla Jego Wysokości, nie? – spytał David i mrugnął. – Oszalał czy co?

– Sam zdecyduj – odrzekłem. – Jak dziewczyna?

– Prawie się nie odzywa. Większość czasu spędza z mamą. – W ciągu dnia wklejała zdjęcia do książki albo pomagała w domowych obowiązkach. – Ogląda dużo telewizji. – Zastanawiałem się, co robiła w domu. Ale musiałem przyznać, że jest bardzo cicha. – Mama uczy ją robić na drutach.

Wiedziałem, że Lawson jest z nami w domu. Minąłem na ulicy jego BMW, czarne i lśniące pośród kontenerów na śmieci. Słyszałem jego cholerny głos w mieszkaniu na górze. W jakiś sposób to powiększało dobrą wolę Davida i sprawiało, że trudniej było znieść to wszystko. Chciałem go wyrwać z otępienia. Pragnąłem, żeby poczuł niebezpieczeństwo grożące dziewczynie. A przede wszystkim chyba chciałem, żeby poczuł się winny. Pchnąłem go w kąt półpiętra i powiedziałem pośpiesznie:

– To jego prawdziwa córka.

Popatrzył na mnie zmieszany.

– Yaxley zamierza podmienić prawdziwą córkę – wyjaśniłem.

– Co takiego?

– Użyje prawdziwej córki Lawsons, żeby przeprowadzić operację! Musiałeś to wiedzieć!

– Operację? Nic nie...

– Niczego ci nie powiedział? – krzyknąłem. – Na miłość boską, David!

Wbijał we mnie wzrok.

– Po prostu mu pomagam – rzekł w końcu.

– Cholera.

Drzwi mieszkania na górze otworzyły się z trzaskiem i po schodach zszedł Lawson. Spieszył się. Miał na sobie pięknie skrojony płaszcz z szarej wełny, który podkreślał szerokość jego ramion, grubość szyi i wychylenie głowy ku przodowi. Niósł butelkę szampana „Louis Roederer”, równie lśniącą i nie na miejscu w żółtym czterdziestowatowym świetle jak jego samochód przy krawężniku.

– Teraz nie mam na to czasu! – zawołał do Yaxleya. – Niech ktoś z twoich ludzi to zrobi. – Nie otrzymał odpowiedzi. Kiedy dotarł na półpiętro, uważnie przyjrzał się Davidowi, jakby nigdy wcześniej go nie widział.

– Tak z czystej ciekawości – zagadnął. – Co twoja matka tam gotuje przez cały dzień?

Wątpię, by podejrzewał, że za tymi samymi drzwiami jego córka każdego wieczoru ogląda „Ukrytą kamerę” i „9 Wspaniałych”.

David, który nigdy nie rozumiał Lawsons na tyle dobrze, żeby się przed nim bronić, mógł się tylko rozeźmiać i wzruszyć ramionami. Lawson także się rozeźmiał.

– Lepiej już pójdę, co? – rzucił.

Stałem mu na drodze: zaczął mnie odpychać, ale nagle się zatrzymał i popatrzył na mnie z nienawiścią, wciąż trzymając dłoń na moim ramieniu. Yaxley pojawił się na szczycie schodów i uśmiechnął słabo do naszej trójki. W żółtym blasku jego wilgotna twarz wydawała się całkowicie pozbawiona wyrazu. Pochylił się, jakby zamierzał skoczyć z górnego stopnia i nad nami przelecieć albo na nas wymiotować.

– Zapamiętam cię – obiecał mi cichym głosem, jakby dopiero teraz coś zrozumiał. – O tak, zapamiętam cię.

„Zawinięcie” odbyło się kilka wieczorów później, w dużym pokoju mieszkania na górze, około dwudziestej pierwszej. Spóźniłem się i ostatecznie niewiele zobaczyłem.

W pokoju było zimno. Na ścianie wokół pustego kominka Yaxley poprzypinał mnóstwo zachodzących na siebie zdjęć wykonanych polaroidem. Z daleka wydawało się, że te malutkie, często zamazane obrazy tworzą pojedynczy symbol z jakiegoś wymyślonego, ale potężnego magicznego alfabetu. Ponad nimi, niczym zamek, który miał trzymać ich znaczenia w ryzach, Yaxley powiesił obraz Getsemani, który znalazłem przy Old Kent Road. Główna postać wypływała spomiędzy taniej ramy, wykonując rozpaczliwe gesty. Przed paleniskiem stał sosnowy stół o krótkich, pękających nogach, który w każdym innym rytuale pełniłby rolę ołtarza. Jako że tutaj nie miała się dokonać żadna ofiara, zastanawiałem się, do czego Yaxley go wykorzysta. Przez chwilę wyraźnie widziałem w myślach, jak Lawson ze spodniami spuszczoneymi do kostek próbuje dosięść własną córkę, która, blada i pokryta gęsią skórką, trzyma się kurczowo tego mebla naznaczonego śladami po papierosach i białawymi kręgami plam. Potem dostrzegłem dziewczynę i zobaczyłem, co jej zrobili.

Leżała z rozłożonymi nogami w kącie, naga, jeśli nie liczyć białych majtek przeznaczonych dla kogoś dwa razy starszego, z koronkowymi zdobieniami i wysokimi wycięciami, które miały podkreślić wzgórek łonowy. Jej żebra i niedojrzałe sutki sterczały w świetle czterdziestowatowej żarówki. Cienie gromadziły się w zagłębieniu jej obojczyka. Miała zadumaną minę, ale od czasu do czasu śmiała się bezsensownie z czegoś, co mówili Yaxley lub jej ojciec. Upili ją jakimś wiśniowym likierem, który czułem już od drzwi na końcu korytarza.

Yaxley i Lawson byli zajęci paleniem czegoś w kominku. Yaxley miał nadgarstki pokryte świeżymi strupami; Lawson dmuchał w bladoniebieskie płomienie, aż poczerwieniały mu policzki. Słyszałem, jak coś szepczą podnieconymi głosami, ale nie widziałem, co podpalili – wydawało mi się, że błyszczący papier, na jakim drukuje się pisma erotyczne: widziałem zgniecioną kartkę, która nie chciała się zająć ogniem i zawijała się na rogach. Ale gęsty, zatechły smród kojarzył się z czymś zupełnie innym: drewnem, włosami, odpadkami kuchennymi. Czwartą osobą w pokoju był David. Również wyglądał na pijanego. Oparł się o ścianę niedaleko córki Lawsona i wpatrywał się w jej drobne białe ramiona i ręce. Co jakiś czas z zachwytem zatrzymywał wzrok pomiędzy jej nieukształtowanymi udami, gdzie pod cienką białą tkaniną wyraźnie rysowały się jej wargi sromowe.

Wszyscy poza dziewczyną byli w pełni ubrani.

Przez minutę albo dwie patrzyłem na nich w milczeniu. Lawson jako pierwszy mnie zauważył.

– Mówiłem, że w końcu się pojawi – powiedział do Yaxleya, po czym zwrócił się do mnie: – Utknąłeś w korku, prawda?

Jego córka się roześmiała.

– Widziałeś jakieś zdechłe koty? – spytała.

– Chryste, Yaxley! – rzekłem błagalnie.

Odwrócił się od tego, czym się zajmował. Miał żółte, puste oczy i poszarzałą twarz. Wyglądał jak pacjent na oddziale onkologicznym.

– Nie będę brał w tym udziału – oznajmiłem.

– Owszem, będziesz – odparł.

David nagle się roześmiał.

– Ja pierdolę – rzucił.

– Owszem, będziesz – powtórzył Yaxley.

– Chodź tutaj, kochanie – rzekł Lawson do dziewczyny obojętnym głosem.

Dźwignęła się na nogi, a następnie objęła rękami.

– Tatusiu, zmoczyłam majtki.

Wszedłem do pokoju.

– Lawson, to twoja córka – powiedziałem, a kiedy zobaczyłem wyraz jego twarzy, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem schodami na ulicę. Deszcz padał w świetle sodowych lamp, bębniąc o liście jaworów. Najprościej byłoby iść do Peckham i złapać pociąg w stronę London Bridge. Zamierzałem

wrócić do domu na St. Mark's Crescent i opowiedzieć o wszystkim Katherine. Wiedziałem, że ona mi pomoże. Jednakże przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem w bramie z podniesionym kołnierzem, wpatrując się tępo w rozświetlone okna na ostatnim piętrze budynku przy Hill Park, numer 17.

Mniej więcej kwadrans po dwudziestej drugiej w mieszkaniu wyleciały szyby i szkło spadło na ziemię. W niebo buchnął dym, początkowo szary, potem czarny i gęsty, a następnie znów szary. Wkrótce, pośród krzyków lęku i bólu, otworzyły się frontowe drzwi, a Lawson, David i dziewczyna pojawili się na szczycie schodów. Lawson i jego córka byli nadzy, ale David wciąż miał na sobie majtki z flagą brytyjską. Dziewczyna od razu uciekła, biegnąc zygzakiem w niepewnym świetle sodowych lamp, jak jakieś nowe miejskie zwierzątko, bezbronny skrawek mięsa o twarzy bladej i rozmazanej aż do utraty rysów – wystraszona, ale zarazem naznaczona triumfem ofiary. Spodziewałem się, że Lawson ruszy za nią.

On jednak tylko na nią popatrzył, powiedział coś niezrozumiałego, a następnie, zdając sobie sprawę, że jest obserwowany, popędził przez ulicę w moim kierunku. Lewą stronę ciała miał spaloną i zaczerwienioną, tak że wyglądał, jakby się ufarbował. Jego genitalia zwisały, skurczone i skromne, pod otłuszczonym podstarzałym brzuchem. Zbliżył twarz do mojej twarzy. Myślałem, że mnie uderzy, więc cofnąłem się w głąb bramy, ale tylko pomachał mi przed nosem kluczykami do samochodu.

– Wciąż je mam, draniu! – wrzasnął. – Zapamiętałem cię – dodał. – Nie myśl, że nie!

Gwałtownie otworzył drzwi BMW, kilka razy bezskutecznie spróbował odpalić silnik, aż wreszcie pośpiesznie odjechał.

Pozostał tylko David, który biegał bezradnie po ulicy, raz za razem próbując wypowiedzieć to samo słowo, jakby mogło ono opisać to, co się wydarzyło w pokoju na górze.

– Ungestalten, Ungestalten, Ungestalten...

Ungestalten: bezkształtny. Ból bezkształtności. Kilka dni wcześniej, gdy niestrudzenie krążył po księgarni W.H. Smith przy High Street w poszukiwaniu – jak to wyjaśnił sprzedawcy – „Czegokolwiek o obozach koncentracyjnych”, kupił najnowszą książkę Prima Leviego. W domu zasiadł z puszką piwa w półmroku przed telewizorem i natychmiast natrafił na to nawiązanie do Nietzschego i cierpienia niższych klas. Dziwnie było napotkać taką ideę pomiędzy biografiami Myry Hindley i Davida Nivena. Usiłowałem mu wyjaśnić „cenę, jaką trzeba zapłacić za nadejście rządów wybranych”. Ale David od początku pojmował to wszystko dosłownie i odnosił do siebie. *Ból bezkształtności*. To nie sama idea go przerażała, ale pytanie, kogo – albo co – może dotknąć takie cierpienie.

– Ungestalten, Ungestalten...

Kiedy Lawson wyjechał swoim BMW na główną szosę u podnóża Rye Hill, na miejscu pojawiła się straż pożarna. Wjechali w wąską uliczkę przed budynkiem numer 17, a światła jednego wozu srebrzyście rozświetliły tył drugiego. Noc wypełnił ciężki zgrzyt pomp. Wydawało się, że David ich nie dostrzega. Biegał pomiędzy samochodami, niewyraźnie jęcząc „Ungestalten, Ungestalten”, aż w końcu runął na ziemię. Kiedy wstał, miał obwisłą twarz. Krew i śluz ciekły mu z nosa. Wreszcie jeden ze strażaków go chwycił i zaprowadził do karetki. Matka Davida wciąż była w domu.

„Ungestalten”.

Niezdolny do działania, stałem w bramie jeszcze przez jakiś czas po tym, jak go zabrano. Wola Yaxleya była jak klej: wciąż mnie otaczała. Pożar, który stopniowo opanowywano, cuchnął jak śmieci palone gdzieś w oddali w pogodny dzień: była to ludzka, domowa woń i przez to jeszcze bardziej przerażająca. Strażacy oświetlili front budynku pod numerem 17 potężnym reflektorem, ale jego biały blask niczego nie ujawnił. Nie wiem, w jaki sposób Yaxley uciekł. Wtedy miałem nadzieję, że zginął, ale zdawałem sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. Wszyscy mieszkańcy ulicy wylegli na chodnik, żeby oglądać strażaków przy pracy – słabi, ale weseli staruszkowie i staruszki z mieszkań, rodziny z dziećmi niewiele młodszymi od córki Lawsona, kobieta, która zabrała ze sobą niemowlę, jakby chciała wcześniej oswoić je z tragediami i wyjątkowymi wydarzeniami. Ktoś powiedział: „Zno-

wu przypalili kolację”.

Strażacy wchodzili i wychodzili z budynku. Wydawało się, że większość ich działań jest pozbawiona celu. Niebieskie światła migotały w korytarzu, odbijając się od obrazów na ścianach. („Tam! Patrzcie tam!”, wołali na ulicy). Dym na chwilę się cofnął i przebił go snop światła: jeden ze strażaków był w pokoju na górze! Błyskała poruszająca się latarka. Zastanawiałem się, co strażak widzi w wyczerpanej, lepkiej strefie woli Yaxleya. W końcu postać w żółtym kasku ukazała się na tle słabego szarego dymu, wychyliła z okna, popatrzyła w dół i wzruszyła ramionami. Dwie godziny po pojawieniu się wozów strażackich akcja dobiegła końca. Ludzie wrócili do domów, nieco markotni.

– Czy tam nie mieszka kobieta z dziećmi? – szeptali.

– Rodzina z dziećmi?

– Chyba nikogo tam nie było.

– Ktoś musiał być.

Zostałem na deszczu, przemoczony do cna, wciąż kierując wzrok w górę.

\*\*\*

Co się wydarzyło tamtej nocy? Byłbym naiwny, gdybym uważał, że chodziło o seksualną satysfakcję Lawsona. Kopia załatwiłaby sprawę. Yaxley od początku planował, że w pokoju na górze pod numerem 17 przy Hill Park dojdzie do prawdziwego aktu kazirodztwa. Zamierzał wyjawić to Lawsonowi, gdy tylko będzie za późno, żeby się wycofać. Jednakże, chociaż takie wielowarstwowe oszustwo samo w sobie dawało mu satysfakcję – była to oznaka jego coraz dotkliwszej impotencji – na pewno miał w tym jakiś magiczny cel, jakieś założenie, na którym opierał się cały rytuał. Nigdy nie wyszło na jaw, co to był za cel. Nie należało się także spodziewać jakiegokolwiek pomocy dla Pam Stuyvesant ani Lucasa Medlara. Nie sądzę, żeby zamierzał dotrzymać danego im słowa. Oprócz dwóch Azjatek, od zatrucia dymem zmarła matka Davida. Nie jestem pewien, dlaczego David musiał tak wiele stracić.

## OSIEM NA BIAŁEJ WYŻYNIE

Po pożarze nic nie było w stanie poprawić mi nastroju. Nie potrafiłem się przekonać, że niczego nie straciłem poprzez zadawanie się z Yaxleyem. Każda próba nakłonienia go do pomocy Pam i Lucasowi tylko pechowo splatała nasze motywy. Każdej nocy śniłem o Pleromie, która wrzeszczała i miotała się za sprawą jego dążeń, by jednocześnie ją spenetrować i z niej uciec; tymczasem Lawson codziennie nękał mnie telefonami, proponował mi swoją córkę albo nieskładnie mnie obrażał za to, że już ją posiadałem i w ten sposób zmniejszyłem jej przydatność dla ewentualnych przyszłych operacji. Najwyraźniej nie rozumiał, że Yaxley ponownie nas wszystkich porzucił. Początkowo Lawson straszyl skandalem, publicznym praniem brudów, podjęciem kroków prawnych; jednakże doskonale wiedział, jak bardzo sam był w to uwikłany. Nadal nie jestem pewien, czego oczekiwał, chyba że w ten sposób chciał podtrzymać kontakt z magikiem; wyrazić niejasne poczucie, że Pleroma to potęga – immanencja, bliskość – z której nie udało mu się zaczerpnąć.

Wtedy czułem się już wyczerpany od rana do wieczora. Płakałem na japońskich filmach.

W biurze nie mogłem się skupić na pracy, tylko wpatrywałem się pytająco w półki z książkami w miękkiej oprawie, podczas gdy asystentka donosiła mi kolejne kubki letniej kawy rozpuszczalnej, której powierzchnię zawsze pokrywał nierozpuszczony proszek. Luty nadszedł i minął. Zima ciągnęła się przez cały marzec, a następnie do początku kwietnia, zalewając lodowatym przenikliwym deszczem skrzyżowania wzdłuż Tottenham Court Road. W końcu przyłapałem się na tym, że obserwuję swoje zdeformowane odbicie w szybie wagonu metra pomiędzy Goodge Street, gdzie pracowałem, a Camden Town i powtarzam: „To było wszystko? To było wszystko?”. Być może cierpienie Pleromy przemijało. Wkrótce Lawson stał się mniej uciążliwy. Groźby coraz częściej zastępował niekontrolowanymi wybuchami płaczu, aż w końcu całkowicie przestał dzwonić.

– Może pojedziesz do Kornwalii na miesiąc? – zaproponowała Katherine. Miała tam domek pomiędzy drogą a morzem, mniej więcej dwie mile na północ od St. Just. Pierwotnie miała zamiar korzystać z niego w zimie i wynajmować od kwietnia do października. – Zrób sobie wakacje!

– Chyba się skuszę. Wszędzie w branży wydawniczej zaczynam widzieć szpiegów.

– Zrób sobie wakacje – powtórzyła. – Wrócisz do siebie.

– Jeśli jeszcze mam do czego wracać.

Popatrzyła na mnie surowo.

– Nie chciałybyś pojechać ze mną? – spytałem.

\*\*\*

Domek był jednym z rzędu ładnych szeregowców zbudowanych z granitu z Penwith. Czekając na dotację na przebudowę, Katherine wypełniła go starymi meblami: kompletem od matki, w którym brakowało jednego fotela, otomanami, elektrycznymi grzejnikami o popsutych kablach, zamontowanymi w 1958 roku, śmieciami, które gromadzą się w domach, a dla których przedstawiciele klasy średniej chwilowo nie potrafią znaleźć zastosowania, albo które przygotowali dla kogoś innego. Czułem tam jednak zapach morza – chociaż go nie widziałem – i słyszałem jego szum, a nawet w nocy wyczuwałem rozległą pustkę nieba na zachodzie, gdzie przyładki łączyły się z Atlantykiem jak fałdy na welurowym swetrze.

Przyjechałem późno i od razu się położyłem.

Nieprzywykły do ciszy, spałem niespokojnie i śniłem, że idę w ciemności drogą wzdłuż wybrzeża

w stronę Zennor Head: powietrze było jak brązowy całun odbarwiający rzędy krzewów kolcolistu, które czasami rosły obok drogi od strony lądu. Co jakiś czas pojawiał się biały palec starego drogowskazu – nie była to żółtawa biel kości albo kości słoniowej, ale surowa chemiczna biel korektora: Penzance 5 mil. Postacie Yaxleya i Lawsonsa wyskakiwały na mnie z zarośli; mieli ściągnięte, zamrzwione oblicza. Córka Lawsonsa ubrana w białe majtki rozchyłała nogi – Yaxley ocierał czoło, dysząc chrapliwie. „Plemniki! Plemniki na obrazie!”, wołał, podczas gdy Pam i Lucas patrzyli ze smutkiem. Coś było wyraźnie nie w porządku i miałem wrażenie, że koniecznie trzeba zrobić to, czego pragną. Ale nie potrafiłem określić słowami, co to takiego. We śnie byłem wykończony, ale nie mogłem zasnąć: wiedziałem, że jestem zbyt zmęczony, żeby poruszać kończynami, chociaż cały czas szedłem.

To wyczerpanie woli gładko przeniosło się ze snu na kolejne dni.

Każdego ranka chodziłem do St. Just, kupowałem pieczywo w Warrens oraz mleko lub warzywa w spółdzielni na rynku, a następnie z trudem wracałem do domku, gdzie rozpiierałem się w fotelu – odzrucając do tyłu głowę i wyciągając przed siebie nogi – jak starzec, tak zmęczony, jakby ktoś mnie wpychał do jakiejś dziury. Nie miałem telefonu.

Zacząłem pisać list do Pam i Lucasa. „Katherine Mansfield mieszkała na tym wybrzeżu”. A potem: „Kiedy spoglądam w przyszłość, widzę ją tylko w czarnych barwach: wiek średni, apatia, śmierć”. Oczywiście nie mogłem im tego wysłać. Zostawiłem list na stole, a sam stałem bezradnie na środku pokoju, zastanawiając się, co mógłbym napisać. „Arthur Symons też tutaj mieszkał”. Następnego dnia kot położył się jak kleks z czarnego atramentu na betonowej dróżce pod oknem; kiedy się do niego odezwałem, popatrzył na mnie, przeciągnął się i odszedł. Roześmiałem się. Byłem wolny. Czułem, że zapewne przez jakiś czas będę się czuł słaby, ale wierzyłem, że kryzys minął. Zmiałem list w zbitą i twardą kulę.

\*\*\*

Kredowe równiny z granitowymi wychodniami i kręgami chat wszystko przyćmiewają, spychają w stronę morza i zbijają w wąskie pasy: drogę nad wybrzeżem, wydłużone wioski, niewielkie pastwiska. Długie wypukłe obszary porośnięte paprociami wciskają się pomiędzy pastwiska a morze, bagniste wklęsłe obszary, które je oddzielają, są pełne niskich, gęstych, splątanych bzów, skarłowaciałych pod wpływem wiatru. Wśród nich wiją się stare żuźlowe dróżki łączące porzucone górnicze wyrobiska i puste osady pomiędzy Kenidjack i Pendeen a Gunard's Head. Gawie trójpalczaste krążą nad nimi w porywistym wietrze i blasku słońca.

Byłem wdzięczny za to gwałtownie opadające wybrzeże oraz wykwintne doznanie światła i przestrzeni, które zapewniało. Pewnego ranka pół mili za domkiem odkryłem nieczynny kamieniołom, ciepły i osłonięty, z którego mogłem obserwować morze. Usiadłem i rozpiąłem koszulę. Wkrótce ją zdjąłem. Zasnąłem i obudziłem się gwałtownie w rozpalonej błękitnej przestrzeni. Łuk wyrobiska usunął linię nieba z mojego pola widzenia; powyżej widziałem tylko niebo, żywe i lśniące, jakby odbijało się w nim morze, a zarazem ciężkie i nabrzmiałe gorącem. Wróciłem do domu i znalazłem wyblakły wełniany koc oraz coś chłodnego do picia.

„W końcu jestem tutaj po to, żeby wydobrzeć, leżeć na słońcu i wracać do sił...”, napisałem do Pam i Lucasa wieczorem.

Następnego ranka zabrałem ze sobą książkę, a do końca tygodnia przeczytałem „Smutek tropików”, „The Gypsy's Baby” i „Mr. Beluncle”. Popołudniami zamykałem oczy w blasku słońca i pozwalałem, żeby upał niestrudzenie napierał na moje powieki. Kiedy ponownie szybko je otwierałem, dostrzegałem, że moje stopy są białe, pokryte niebieskimi żyłami i delikatne. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek wcześniej przyglądał się swoim stopom.

Na końcu długiego pasa lądu kamieniołom delikatnie i cudownie trzymał swą zawartość, jak

otwarta dłoń zwrócona ku południowemu zachodowi. Ciemne skalne ściany porośnięte gęstą zielono-białą roślinnością piętrzyły się jak znieruchomiła fala, początkowo niska, ale stopniowo zwiększająca wysokość aż do osiemdziesięciu albo dziewięćdziesięciu stóp w miejscu, w którym pochylała się nad płytkim stawem. Tutaj, na tyłach wyrobiska, skały zawsze były wilgotne i pokryte porostami. Wierzby krzyżówki, fioletowo-białe naparstnice oraz poskręcane karłowate dęby bujnie porastały opadające tarasy w otoczeniu kolonii dzikich róż. Cienka strużka wody bezustannie ściekała przez mokre połacie mchu i paproci, napełniając staw. W padającym skośnie złotym wieczornym świetle ta ściana górowała nad kamieniołomem: nawet w ciągu dnia, kiedy leżałem pośród tajemniczych pagórków i raf na dnie kamieniołomu – tam, gdzie wrzosa były upstrzone jaskrawozielonymi młodymi borówkami, a dzieci wydrapały wąskie, ślepe piaszczyste ścieżki na tępych terenach dawnego odwału – czasami patrzyłem na nią z zaskoczeniem. Potem uśmiechałem się, zagrzebywałem twarz w aromatycznej darni i nasłuchiwałem odgłosów wody ściekającej po liściach. Z czasem zmieniły się w głos. Mewa wrzasnęła w górze. Fale przyływu wylewały się z wąskiej zatoczki poniżej przylądka, po czym cofały ze stłumionym hukiem. Z zamkniętymi oczami miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu – spalany, oczyszczany, odnawiany przez letnie światło.

Wiedziałem, że jeśli zostanę tam dostatecznie długo, zostanie mi wyjawiona tajemnica.

\*\*\*

W ciągu tygodnia ludzie używali kamieniołomu jako parkingu, zwłaszcza w porze lunchu. Większości wystarczyło odsunięcie szyby i czytanie „Western Morning News” z jednym łokciem wystawionym na promienie słońca, ale niektórzy zamykali samochód i szli popatrzeć na morze albo brodzić w cynobrówkach, które, po setkach lat ucieczki z wioskowych ogródków, szalały po przylądku jak pożar. Odjeżdżali przed trzynastą.

Każdego popołudnia, kiedy w kamieniołomach zazwyczaj było już pusto, pojawiała się niepełnosprawna para.

Byli nieśmiali i dziwni, łatwo się płoszyli. Kobieta była niewidoma, a mężczyzna nie chodził. Obserwowałem ich. Oto, w jaki sposób wspólnie tworzyli jeden organizm:

O piętnastej ich niewielka płowa furgonetka Reliant, rzuć na pierwszym biegu, nadjeżdżała, podskakując, drogą prowadzącą z wioski, z nadmierną ostrożnością skręcała do kamieniołomu, a następnie, migając chromem w szklistym świetle, niepewnie się zatrzymywała. Kobieta spodziewała się deszczu, więc zawsze miała na sobie biały płaszcz przeciwdeszczowy zapięty pod szyję. Mówiła do kierowcy donośnym, ożywionym głosem. On odpowiadał monosylabami. Wysiadała, a za nią wyskakiwał czarny labrador-przewodnik i zaczynał biegać wokoło, szczekając. Każdego popołudnia, zanim pozwoliła psu oprowadzić ją po kamieniołomie, nakazywała mu się zatrzymać na kilka chwil.

– Nie potrafisz się grzecznie zachowywać, stary głuptasie?

Lewą stopę miała tak wykręconą, że jej czubek był skierowany do wewnątrz, przez co stawiała krótkie, chwiejne kroki. Mimo to pies nie zawsze za nią nadążał. Mrugał, podnosząc na nią wzrok, i kichał. Śmiała się z zachwytem, zwracając okrągłą, spoconą twarz ku słońcu. Po kilku takich rundkach spuszczała psa ze smyczy. Kiedy unosił tylną łapę pośród pokrzyw, ona szła wzdłuż boku furgonetki do tylnych drzwi i wyjmowała rozkładany wózek inwalidzki. Musiała go złożyć po omacku, co zajmowało jej kilka minut. W tym czasie kierowca otwierał drzwi i już czekał na jej pomoc. Był niecierpliwy, nieskory do pomocy i żywiołowo gestykulował; kobieta śmiała się i stękała pod jego ciężarem. Pies patrzył na nich pobłaźliwie, wywiesiwszy długi czerwony język. W końcu kierowca opadał na wózek i znieruchomiał, ciężko dysząc i wpatrując się w niebo.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytałem, gdy po raz pierwszy ich spotkałem.

Porażony mężczyzna siedział bezwładnie z bladą twarzą i usiłował nie zwracać na mnie uwagi.

Miał dwadzieścia kilka lat, muskularne ramiona, czarne włosy i głęboko osadzone zagniewane oczy; kiedyś pewnie był pływakiem, kolarzem, może biegaczem. Nagle ułożył usta w słodki, niesamowity, wyćwiczony uśmiech.

– Poradzimy sobie, dziękuję – odrzekł.

– Później będzie łatwiej – powiedziała kobieta donośnym głosem. – Naprawdę.

Mieli własny sposób działania, dawno ukształtowane nawyki. Mieli swoją niezależność.

– Przepraszam – dodałem. – Jeśli mógłbym w czymś...

– Mimo wszystko dziękujemy – odparła.

Pokazała mi widmo swojego wzroku: blade odbarwienie białek oczu. Tamtego ranka nierówno zapięła płaszcz, którego jedna strona sięgała wyżej od drugiej.

Każdego popołudnia kuśtykała po kamieniołomie, a następnie oprowadzała po nim swojego mężczyznę, który kierował nią za pomocą ostrych poleceń, przekrzywiając głowę na bok, jakby była za ciężka dla jego szyi, i trzymając przed sobą sztywne nogi. Każdego popołudnia kazał jej się zatrzymywać i patrzył ponad stawem na płataninę róż, poduchy mchu, wodospad i chwiejne żebra skalnych płyt. Ścisnął jej rękę, wskazywał tu i tam, podążał wzrokiem za ptakiem, który leciał zygzakiem po niebie. Każdego popołudnia odprowadzała go do furgonetki, po czym z towarzyszeniem stękania i dużego wysiłku umieszczała z powrotem na siedzeniu kierowcy, jakby włączała ślimaka do skorupy, a wtedy on odzyskiwał kontrolę, odpalał silnik i wołał do niej, żeby ponagliła psa.

Byli jak części meduzy, które milion lat temu połączyły się dla wygody i od tamtej pory nie potrafiły się wycofać z tego układu.

W którym momencie człowiek wraca do siebie?

Chciałem coś robić, ale nie to, co zawsze robiłem.

Z trudem powstrzymywane podniecenie wyganiało mnie na przylądek, do opuszczonych chatek wydobywców cyny w Nineveh. Wędrowałem zapadniętymi drózkami o poranku, jeszcze przed śniadaniem.

O ósmej na ścieżkach było już ciepło i duszno. Pszczoły kreśliły długie łuki w powietrzu. W trawie rosły trójlistne seradele, żółte jak wnętrze jajka, przemieszane z dzikimi fiołkami i pięciornikami. Potężne ostrzenie lancetowate władały pochylonymi murami i zrujnowanymi ogrodami, stercząc pośród fuksji. Na skarpach porośniętych jeżynami roiło się od motyli, które wyglądały jak nowe, złożone rodzaje płatków. Wspinałem się na wyżynne trawiaste tereny ponad klifami nad zatoką Porthmoina albo parowem Cam i patrzyłem na Atlantyk obramowany fioletem i srebrem pomiędzy tępymi brązowymi cyplami. Oszołomiony krajobrazem, czułem, że moja wyobraźnia na próżno stara się dotknąć ich istoty. Morze! Porywisty wiatr wiał między białymi głazami, urwiska się oddalały, za mną fale kolcolistu i wrzośca rozbijały się na łagodnych zboczach. Zewsząd nieubłagane otaczało mnie błękitne powietrze!

W jednej chwili czułem uniesienie, a już za chwilę znów byłem wycieńczony.

Miałem wrażenie, że nasłuchuję czegoś, co nigdy się nie odezwie.

Obok kamieniołomu znajdowały się dodatkowe wyrobiska, dwa albo trzy połączone koryta pełne pyłu i much, wykorzystywane przez miejscowych rolników jako składowiska odpadów. Kępy zeszłorocznych paproci sterczały z piaszczystych ścian, które w żadnym miejscu nie wznosiły się wyżej niż na dziesięć stóp. Suche furkotanie koników polnych pojawiało się i znikało wraz ze słońcem.

Niespokojnie przykucnięty w jednym z tych dołów, z kolanami pod brodą i rękami zwieszonymi wzdłuż boków, zasnąłem i śniłem o zielonej kobiecie, która poprowadziła mnie do tańca na kredowych wzgórzach:

Był środek dnia.

Przez cały poranek gorący dokuczliwy wiatr przetrząsał wioskę, przynosząc ze sobą nierozpoznawalne, smoliste wonie. W kamieniołomach było jeszcze upalniej. Nagle coś poruszyło się w głębo-



kiej mrocznej rozpadlinie między dwiema ścianami i zielona kobieta wyszła na słońce, odprężona i naga. Obserwowałem ją uważnie z bezpiecznej odległości. Chociaż wydawało się, że jej sylwetka jest idealnie wyraźna, miałem wrażenie, że zarazem jest pozbawiona powierzchni, gdyż kwiaty pojawiały się i znikwały w jej obrębie, gdy kobieta się rozglądała. Była jak okno otwarte na bujne listowie po deszczu, na gałęzie tarniny, splecione bzy, plecionki z trawy i paproci, przytrzymywane razem przez dzikie róże, po których i między którymi stale ściekała woda. Kobieta wiedziała, że tam jestem.

– Nigdy nie jesteście po prostu sobą – powiedziała.

Wyprostowała ręce, zginając jedną nogę i usztywniając drugą, żeby utrzymała jej ciężar.

Teraz dostojnie szła w stronę łądu, krocząc pomiędzy potężnymi promieniami padającymi na Morvah, Rosemergy i Białą Wyżynę, a także na miejsca jeszcze odleglejsze niż te, przez które brnąłem nago jej śladem, wzdłuż wietrznych krawędzi pośród strzaskanych kamieni i gołej ziemi. Wkrótce zatrzymała się w stromym, ukrytym jesionowym lesie, obok strumyka spływającego po ciągu omszałych stopni i stawów. Stałem w rozkroku i zacząłem się spazmatycznie onanizować. „Nie patrz na nią – powtarzałem sobie. – Nie patrz”. Dochodziłem raz za razem, aż w końcu byłem wyčerpany i bez tchu. Wyobraziłem sobie Pam Stuyvesant i swoją żonę, a także córkę Lawsona, leżące z rozłożonymi nogami i pokazujące tę samą różową wilgotną różę, i doszedłem jeszcze raz. Potem zielona kobieta odprowadziła mnie do kamieniołomu, gdzie nie czułem lęku przed nieznanym: tam weszła za dywan roślinności pokrywający ścianę w głębi. Odwróciła się i popatrzyła prosto na mnie! Miała bezdenne oczy w kolorze kredowego błękitu, bez białek ani źrenic. One również były kwiatami. Kiedy zrozumiałem, że dłużej nie jestem w stanie unikać jej spojrzenia, zacząłem biegać, wymachując rękami i pokrzykując, przepełniony mieszanką przerażenia i szczęścia.

Setki kwiatów bzu, małe kremowe gwiazdki o pięciu tępych płatkach, sypały się na mnie pośród podmuchów lodowatego wiatru. Obudziłem się, kiedy chmury zakryły słońce i wielkie krople deszczu spadły na moje obnażone ręce.

\*\*\*

Do końca tygodnia utrzymywała się brzydka pogoda. Wiatr od morza szczelnie otulił chmurami domek, w którym siedziałem samotnie, słuchając, jak w ogrodzie sznur do prania stuka o metalowy słup, a syrena przeciwmgielna w Pendeen Watch ponuro huczy w stronę szarego przestworu Atlantyku. Rabaty poczerniały pod wpływem mgły pomieszanej z deszczem, a krople wody zwisały z kabli elektrycznych. Każdego wieczoru, tuż przed zmierzchem, chmury na chwilę się rozwiewały, a kilka przekwitłych pszonaków lśniło w słabym, bladym świetle. W domu nieco tego światła zbierało się na grzbietach książek i słychać było każdy płatek spadający z dzikich róż stojących na regale. Mieszkałem tam już od miesiąca. Pam i Lucas nie odpisali na moje listy.

Wszystkie budki telefoniczne przy nadmorskiej drodze były zniszczone. Zacząłem regularnie jeździć autobusem o dziesiątej do St. Ives. Tam obserwowałem ludzi, którzy kryli się przed deszczem pod arkadami i altankami; przeglądali sterty pamiątek na zadaszonym targu, na zmianę gorliwi, znużeni i bezradni. „Espadryle”, zachęcały odręcznie wypisane tabliczki na straganach: „Tenisówki”. Pulchne młode pary o twarzach równie nieskazitelnych jak ich nowe wiatrówki, trzymały się za ręce obok stanowiska łodzi ratunkowych i patrzyły na setki domów na Mount Zion, których wielobarwne dachy i ściany pięły się kolejnymi płaszczyznami po wzgórzach jak na amatorskim postimpresjonistycznym pejzażu. Był odpływ. Przycumowane łodzie kołysały się bezładnie, napierając na cienkie liny, a cukierki wysypały się z pudełka na mokry piasek o kolorze kawy podawanej w Tudor Rooms. Tymczasem sto jardów dalej morze lizało brzeg jak kociak, a młode mewy srebrzyste człapały niezdarne, próbując zjadać kawałki papieru. W nerwach zatelefonowałem do Pam i Lucasa z knajpki podającej rybę z frytkami. Nikt nie odebrał. Słyszałem tylko kobietę za ladą:

- Tak, kochanie?
- Poproszę kawę.
- Dziękuję. Coś jeszcze, kochanie?
- Nie, dziękuję.
- Dwadzieścia pensów, dziękuję, kochanie, osiemdziesiąt pensów reszty.
- Dziękuję.
- Następny proszę, tak, kochanie?

Tak, kochanie (pomyślałem): Kochanie.

Ponownie spróbowałem zadzwonić. Tym razem nikt nie mógł mnie połączyć. Wszystkie linie były zajęte.

Mocno przyciskając słuchawkę do ucha, jak ktoś, kto próbuje usłyszeć morze w muszli, wbijałem wzrok w tylną ścianę knajpki, gdzie wisiało kilka utłuszczonych pejzaży, „oryginalnych”, ale niesprzedanych. Kilka z nich przedstawiało domki oraz falochron w wiosce rybackiej w jakimś gorzej zaprojektowanym świetle. Zachód słońca składał się z łojowych pasów w kolorze ochry. Łodzie o prymitywnych trójkątnych żaglach miały za chwilę wypłynąć, żeby łowić coś bardziej bezkształtnego i mniej wyewoluowanego niż łupacze. Ktoś tam zapewne wyglądał przez okno i pisał w liście: „Nie wolno nam za to osądzać Boga. To tylko studium, które się nie udało”. To platońskie odwrócenie, pomysł, że nasz świat nie jest cieniem, lecz samą istotą – Pleromą, a nie jej niedoskonałą kartoteką – niejasno mnie pociągało. Na dworze czarny pies kręcił kółka na zroszonej deszczem plaży, kłapiąc zębami na mewy unoszące się dwadzieścia stóp nad jego głową, jakby były motylami.

– Pam? – powiedziałem. – Lucas? Halo?

Pomyślałem o niepełnosprawnej parze, którą często widywałem w St. Ives, razem albo osobno. Nie byli przystosowani do tego miejsca. Nie wypracowali sobie ustalonego porządku działania, który mógłby im pomóc. Niewidoma kobieta czekała w deszczu przy krawężniku na High Street z włosami przyklejonymi do czaszki, rozpaczliwie zwracając głowę w stronę przejeżdżających samochodów. Nie potrafiła przejść na drugą stronę; widziałem, jak rozmyślnie się schyla i uderza psa. Obok stanowiska łodzi ratunkowych porażony mężczyzna leżał na swoim wózku inwalidzkim pod popołudniowym niebem, tak ciemnym, jakby to był listopad, z ustami rozwartymi pod wpływem nudy albo bólu. Współczułem mu, włóczony w taką samą egzystencję troglodyty: sterczałem pod markizą sklepu rzeźnika, podczas gdy oni mijali mnie chodnikiem z twarzami pozbawionymi życia. „O ileż byłiby szczęśliwsi w kamieniołomie!”, myślałem, a następnie podążałem za nimi w górę stromych ulic do parkingu i patrzyłem, jak odjeżdżają.

Brzydka pogoda w końcu wyczerpała siły w trzech efektownych sztormach. Woda w kolorze czekolady gnała w dół zboczy ponad nabrzeżną drogą i wirowała wzdłuż wiejskiej ulicy. Kobiety z piśkiem biegały do sąsiadek, żeby pożyczyć wiadra. Czekając, aż woda opadnie, chodziłem na długie spacerunki wzdłuż zalanych wrzosowisk. Zamierzałem zostać jeszcze tydzień albo dwa. Na Cam Down słońce już wygotowywało wilgoć z torfu. Z Boswens Common zszedłem nad morze. Nad lądem wisiała ciepła mgiełka przypominająca rozwodnione mleko. Mogłem wędrować całymi dniami bez zmęczenia stromymi, wąskimi dolinami, gdzie strumienie płynęły korytami z różowego granitu niczym po bruku. Dopóki unikałem Białej Wyżyny, potrafiłem zasypiać po zmroku. Wydobrzałem.

Nocą filary i tarasy kamieniołomu miały w sobie tę samą przesłodzoną tajemniczość co moje sny, gdy po raz pierwszy przyjechałem do domku. Wtedy pojawiali się tam kochankowie. Słyszałem, jak jęczeli albo śmiali się w samochodach, lub widziałem, jak te kołysały się delikatnie na resorach. Wodospad pluskał nierówno jak woda ciekąca przez całą noc z odkręconego kurka na betonowe podwórze. Pewnej nocy w jego pobliżu znalazłem zaparkowany samochód, pogrążony w ciszy, z przednią szybą odbijającą sączący się blask księżyca. Uznałem, że jest pusty. Kiedy zbliżyłem się na tyle, żeby móc zajrzeć do środka, uruchomił się silnik. Reflektory zaświeciły mi w twarz. Wyrzuciłem w

górną rękę. Z rykiem silnika i zgrzytem skrzyni biegów samochód mnie minął. Mignęły mi dwie podniecone twarze: usłyszałem muzykę z radia. Tylne światła pośpiesznie podskakiwały na szlaku. Później delikatny podmuch poruszył roślinnością na ścianie w głębi.

Zrezygnowałem z prób dodzwonienia się do Pam i Lucasa. „Ludzie się zmieniają”, napisałem im w liście. „Opinie powstają jak warstwy osadu na dnie słoika z dżemem. Nagle ktoś przypadkowo przewraca słoik. Albo z nudów postanawiamy nim potrząsnąć, żeby sprawdzić, co się wydarzy. Bądź też wszystko wyrzucamy i zaczynamy od nowa z czystą wodą”. Czy brzmiałem absurdalnie? „Nigdy nie należy zakładać, że rozmawia się z osobą, którą znało się pięć lat wcześniej”, zakończyłem słabo. „Wszystkiego najlepszego”. Przez chwilę przyglądałem się kopercie, zanim wrzuciłem ją do skrzynki.

Gdyby ktoś przyjechał z wizytą, zapewne zastałby mnie w starych szortach. Czytanie zaczęło mnie nudzić. Zamiast tego biegałem drózkami poniżej wioski albo jechałem autobusem do Sennen Cove, gdzie gramoliłem się w dół urwiska i stawałem z szerokim uśmiechem na skalnej platformie obmywanej przez fale, w lśniącej mgiełce, oszołomiony słońcem i oniemiały od zapachu soli oraz ryku morza. Gdy patrzyłem w lustro, widziałem w sobie rozbitka o chudej, spalonej słońcem, muskularnej sylwetce, jaka charakteryzuje wszystkich rozbitków.

\*\*\*

Pusty kamieniołom białł w słońcu. Upał bezgłośnie odbijał się od ścian, wprawiając powietrze w drżenie i taniec. Spałem z rękami za głową w zagłębieniu pomiędzy głazami, śniąc o czymś niejasnym. Ludzie parkowali samochody, nie podejrzewając, że tam jestem, a następnie odjeżdżali bez mojej wiedzy.

Pewnego popołudnia obudziłem się z poczuciem oszołomienia, którego przyczyny nie potrafiłem dokładnie określić. Nie wywołała go ani zmiana oświetlenia, ani odgłosy kombajnu, który przez cały dzień posapywał na polach ponad przylądkiem, pozostawiając brązową plamę spalin w czystym powietrzu. Podparłem się na jednym łokciu i zobaczyłem niewidomą kobietę, która kuśtykała po kamieniołomie razem z psem; a raczej stała bez ruchu – jakby coś zwróciło jej uwagę w połowie spaceru – i z przekrzywioną głową wpatrywała się w gąbczaste zielone poduchy mchu. Słaby wiatr poruszał gałęziami wierzby i cicho szumiał na różanych tarasach; wzbijał kurz wokół kanciastych, niezgrabnych butów kobiety. Mężczyzna w samochodzie coś do niej zawołał. Nie przestając się uśmiechać, wróciła, żeby posadzić go na wózku. Obserwowałem ich przez kilka minut, a następnie znów odpłynąłem w sen, pod powiekami widząc obraz wózka inwalidzkiego stojącego obok stawu pod ścianą, tak że krople z wodospadu ochlapwały mężczyznę, kobietę i psa patrzących w górę.

Obudził mnie chrapliwy wrzask, jakby odgłos mewy. Przepełniony paniką, wyłaniając się z otchłani snów, w których potężne masy napierały na siebie pośród zamętu, pomyślałem, że wózek wpadł do stawu. Na wpół śpiący, puściłem się biegiem, żeby sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc.

To nie było takie proste.

Niewidoma kobieta i porażony mężczyzna w końcu się pokłócili. Wrzeszczeli na siebie z przerażającą chaotyczną zaciekłością, popychając się, szarpiąc i dysząc, tak że wózek kołysał się groźnie na wszystkie strony. Co jakiś czas jedno z nich, nie wiedziałem które, wydawało z siebie nieartykułowany zwierzęcy ryk. Wreszcie kobieta przewróciła wózek, zrzucając mężczyznę, po czym na niego skoczyła. Upadł powoli i niechętnie, wydając odgłos przypominający śmiech i wymachując rękami. Zaczęli walczyć na ziemi, a pies początkowo zataczał wokół nich kółka, by w końcu rzucić się w moją stronę ze szczekaniem i warczeniem. Odpędzając go, zawołałem:

– Nic wam nie jest? Mogę jakoś pomóc? Przestańcie. Przestańcie!

Byłem zbyt zniesmaczony i wystraszony, żeby do nich podejść i ich rozdzielić. Chcieli się pozabi-

jać. Brutalna, żalosna pół-istota, którą tworzyli, miała już po dziurki w nosie zależności od psa, wózka oraz furgonetki i postanowiła rozedrzeć się na strzępy.

– Przestańcie!

Nawet nie podnieśli wzroku. Ich twarze wykrzywiało wściekłe skupienie; stękali i łkali rozpaczliwie. Nagle dostrzegłem swój błąd. Uniosłem dłonie do twarzy i parsknąłem śmiechem. A więc jednak nie próbowali się pozabijać. Niezdarnie zrywali z siebie ubrania. Za chwilę pozostanie jedynie blade, wygłodzone ciało. Pies tylko bronił ich prywatności.

Później przyszedłem po swoje rzeczy, a dwa dni później wróciłem do Londynu.

# DZIEWIĘĆ

## LECZNICA DUSZY

Tak bardzo nam zależy na szybkim zakończeniu i jednoznacznym zamknięciu niektórych sfer naszego życia, że często posiłkujemy się wyobraźnią. Po fiasku przy Park Hill numer 17 zakładałem, że już nigdy nie będę miał do czynienia z Yaxleyem. Rzeczywiście, obsesyjnie pochłonięty Pleromą, zostawił mnie w spokoju na dwa albo trzy lata. Jednakże po klęsce „zawinięcia” sytuacja tylko się pogarszała. Z każdym dniem coraz bardziej się bał, że zostanie wchłonięty, aż w końcu całkiem się rozsypał. Rozwinęły się w nim kolejne fobie, wśród nich strach przed brudem. Czując, że wykonał o jedną magiczną operację za dużo, opuścił mieszkanie nad księgarnią Atlantis i przeprowadził się do przestronnego nowoczesnego bloku po północnej stronie Upper Richmond Road, niedaleko stacji metra East Putney. Tam go znalazłem pewnego deszczowego czerwcowego poranka. Znów mnie potrzebował.

Dwukrotnie przeszedłem obok budynku. Bardziej kojarzył mi się z Lawsonem niż Yaxleyem i być może stanowił wspomnienie po ich krótkotrwałym partnerstwie, zaliczkę za sztukę, która nie wypaliła. Lokatorzy pracowali w nieruchomościach oraz bankowości inwestycyjnej. Pod oknami przez cały dzień jeździły samochody, ale podwójne szyby tłumiły hałas do nieuciążliwego szumu. Każdego wieczoru przed budynkiem ustawiały się czarne służbowe limuzyny. Przeszedłem przez zimny, zadbane hall, w którym stały dwie nieciekawe płytkie ceglane konstrukcje przypominające miejskie donice wypełnione ozdobnym żwirem, a następnie wspiałem się na ostatnie piętro. Na schodach się zahałem; dodałem sobie otuchy, dotykając pomalowanej na biało metalowej poręczy. Czyżby ktoś szedł za mną?

– Yaxley?

Współczesne mieszkania charakteryzuje precyzja oraz ponura otwartość kątów zachęcająca do higieny. Lokum Yaxleya było w całości pomalowane na kolor złamanej bieli i ozdobione białą boazerią. Wszystkie ściany i listwy przypodłogowe były nieskazitelnie czyste. Na podłodze leżało kilka niebrzydkich ciemnoróżowych dywanów. Gdyby właściwie je urządzić, mieszkanie mogłoby być całkiem wygodne, chociaż pozbawione wyrazu. Ale w środku był tylko stolik z telefonem oraz nowoczesny magnetowid na podłodze w bawialni. (Kiedy go uruchomiłem, zaczął odtwarzać jakąś nieopisaną taśmę. Natychmiast go wyłączyłem). Kuchnia była bogato wyposażona – dębowe szafki, płyta grzejna „Creda Solarspeed”, prążkowane rolety. Pod nieskalanym podwójnym zlewozmywakiem ze stali nierdzewnej znalazłem środki czystości, mopy z gąbką, plastikowe wiaderka oraz gumowe rękawiczki – po kilka sztuk każdego z przedmiotów, wszystko nowe, jakby właściciel zrobił zapasy przed obłężeniem; albo broniąc się przed agorafobią.

Poprzedniego wieczoru odebrałem telefon, raczej nie od samego Yaxleya. Kiedy podnosiłem słuchawkę, zapadła długa cisza, którą w końcu przerwałem...

– Halo? Halo?

Nic. W końcu ktoś cicho się odezwał:

– Jedź pod ten adres...

Potem pojawiły się kolejne polecenia, niektóre dziecinne, inne bezsensowne. Nie rozpoznawałem magicznej operacji, której dotyczyły. Głos był ledwie słyszalny i nie dało się go rozpoznać. Mój rozmówca milkł, wahał się, ponownie podejmował wątek. Kilka razy się roześmiał.

– Dwa numerki i coś do żarcia – Wydawało się, że przemawia z bardzo daleka; w tle słyszałem inne głosy. – Dwa niezłe numerki i coś do żarcia. Jedź pod ten adres.

Yaxley był w sypialni.

Leżał nagi na boku na środku gołej podłogi, z lekko podciągniętymi kolanami. Jedną lekko wygiętą dłoń podparł głowę, a druga zakrywała genitalia. Śmierć go postarzyła. Z pociągłą, kłamliwą twarzą pokrytą szarym zarostem oraz poczerniałymi i pożółkłymi zębami widocznymi spod uniesionych warg wyglądał na siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat. Przypominał starego, podstępного psa, skurczonego, wychudzonego i skarłałego. Przed śmiercią próbował coś zrobić za pomocą dwóch patyków. Na ścianie przypiął widokówkę przedstawiającą schody do Muzeum Brytyjskiego. Poniżej nabazgrał ołówkiem słowa: „Lecznica Duszy”, które podobno wyrzeźbiono ponad wejściem do Biblioteki Aleksandryjskiej. Poza tym pokój był pusty. Nie było w nim mebli, nawet łóżka. Cuchnęło. Yaxley nie mył się od naszego ostatniego spotkania. Pokrywała go warstwa lśniącego brudu, jakby przeżył ostatnie lata w jakiejś bramie przy Charing Cross Road. Oprócz tego górna część jego wychudzonego ciała była w całości wysmarowana jakimś tłuszczem, być może środkiem nawilżającym. Obawiał się, że Pleroma go wchłonie. Ale wyglądało na to, że nie został wessany, a wyssany.

Za nim na podłodze znalazłem kopertę; w środku był kluczyk do skrytki pocztowej w centrum. Wiedziałem, że schował tam dwa grube czarne notesy, które kiedyś widziałem. Tamtego popołudnia je zabrałem, a przez kolejne dwa dni, pod martwym, ironicznym okiem Yaxleya, znosiłem jego dokumenty, zdjęcia i inne magiczne akcesoria z miejsc, które wyszczególniono w notesie. Niektóre z większych przedmiotów – staroświecki adapter „Dansette”, drewniany fotel o dziwacznie wygiętych podłokietnikach, dwie skrzynki z książkami – musiałem przewieźć taksówką. Rozpadające się segregatory pękały, uwalniając żółte papiery, na których odczytywałem odręcznie nabazgrane napisy: „Drzwi! Różane drzwi!”. Albo: „...dwa odrębne i niedające się pogodzić światy, *Pleroma*, czyli pełnia – która zstąpiła do nas jako niejasna chrześcijańska obietnica „Nieba” – oraz *Kenoma*, czyli próżnia – ból, iluzja i pustka życia, które musimy wieść. Kiedyś twierdzono, że pomiędzy nimi znajduje się paradoks albo stan graniczny zwany *horos*. Ale wielkim odkryciem tego wieku było zapukanie do drzwi *horosu* i odkrycie, że nikogo tam nie ma. *Horos* to tylko marzenie, zdrada zwierciadła...”

W końcu zebrałem to wszystko w cuchnącej sypialni. Dalsze instrukcje okazały się trudniejsze do wypełnienia. Musiałem ustawić konkretne niewielkie przedmioty – między innymi zakorkowaną butelkę do połowy wypełnioną wodą różaną oraz wykonane polaroidem zdjęcie czyjejś lewej dłoni – w dokładnie określonej relacji względem siebie na drewnianym stoliku, mniej więcej pięć stóp przed trupem. Sam stolik musiał stać na wierzchołku trójkąta równobocznego, którego pozostałe dwa wierzchołki stanowiły spalony elektryczny czajnik przywieziony z wynajętego mieszkania przy Tuffnell Park oraz dwukomorowe wiadro z tworzywa sztucznego. Musiałem włączyć stary adapter schowany w łuszczącym się skórzanym futerale, puścić konkretną płytę, a następnie rozebrać się i onaniżować. Na tym polegał problem. Wtedy rzadko potrzebowałem własnoręcznego zaspokojenia. Jeśli tak się działo, automatycznie myślałem o Katherine i jednym z jej ulubionych sposobów uprawiania seksu...

O tym, jak kładła się na boku z lekko podciągniętymi nogami i zachęcała mnie, żebym wszedł w nią od tyłu, a potem delikatnie i rytmicznie poruszała jedną nogą, tak że jej ciało się kołysało, podczas gdy ja trwałem w bezruchu. Po jakiejś minucie zaczynała jęczeć i nieruchomieć – co stanowiło sygnał, że powinienem zacząć się w niej poruszać, dopóki jej oddech nie stanie się urywany i chrapliwy; wtedy wzdychała i znów pocierała jedną nogą o drugą, a jej ciało kołysało się na biodrze.

– Tak dobrze? Tak dobrze? – pytała, odwracając głowę, żeby na mnie popatrzeć, a czasami przyciągała moją twarz i mnie całowała.

– Tak dobrze?

– Tak.

Po kolejnych kilku minutach sięgałem do miejsca, w którym nasada mojego penisa się z niej wyrzucała, i dotykałem jej, dopóki moje dłonie nie stały się wilgotne. Następnie, wykorzystując to nawilżenie, delikatnie wsuwałem środkowy palec prawej dłoni do jej odbytu, poruszając nim w kontrze do jej rytmu. To szybko doprowadzało ją do orgazmu, przed którym szeptała:

– Chcesz mnie zerznąć?

– Tak.

– Chcesz mnie zerznąć?

– Tak.

– Rzniesz mnie?

– Tak.

– Właśnie tak, rznij mnie, skończ we mnie. Rznij mnie, skończ we mnie. Rznij mnie, skończ we mnie. Rznij mnie, skończ we mnie... – powtarzała, dopóki jej słowa nie straciły znaczenia i stały się tylko intensywnym, jęczącym, rytmicznym zaklęciem. Jej łopatki oblewały się różem.

Tuż przed jej orgazmem obejmowałem ją prawą nogą i przyciskałem do podłoża, a ona stękała niecierpliwie i odpychała moją dłoń od swojego odbytu.

– O Boże o Boże o Boże. Tak. O tak. O Boże rznij mnie tak zaraz dojdę zaraz dojdę o tak rznij mnie.

Ściskając jej pierś albo biodro, wbijałem się w nią najmocniej jak potrafiłem, aż w końcu oboje krzyczeliśmy, sztywnieliśmy i stękaliśmy, a następnie dyszeliliśmy odprężeni, uśmiechaliśmy się i parskaliśmy śmiechem...

Wszyscy mężczyźni noszą w sobie taki obraz miłości, podniecający, ale zarazem drogocenny i sentymentalny, nawet jeśli to tylko wspomnienie słów „Spraw, żebym się zrobiła wilgotna” rozpoczynających noc. Ale kiedy w Putney starałem się przywołać swoje wspomnienie, niczego nie widziałem. Zdjąłem ubranie, poskładałem je i położyłem w kącie pokoju. Uklęknąłem przed stołem uginającym się pod brzemieniem bezsensownych albo złowrogich przedmiotów. Pobudzałem się bez zapału ani radości przez jakieś dziesięć minut, ale za każdym razem, gdy zbliżał się orgazm, gwałtownie wracałem do rzeczywistości i czułem na sobie rozbawiony i beznamiętny wzrok martwego magika.

„Rznij mnie, skończ we mnie... – szeptała Katherine. – Yaxley nigdy nic nikomu nie zrobił – przypominała Pam Stuyvesant. – Zawsze zachęcał nas, żebyśmy sami to robili”.

Z zakrytego materiałem głośnika adaptera, przy wtórce trzasków i odległej muzyki, dobiegał dziarski śpiew jakiegoś przedwojennego artysty:

*Kim jest ta, co czyści słońce*

*I ożywia szarość chmur?*

*Czy wie, że to bardzo lubię?*

*Może kiedyś przyjdzie tu!*

Nagle poczułem się wyczerpany i chory. Dałem za wygraną i gwałtownie zwymiotowałem do plastikowego wiadra. Możliwe, że Yaxley brał to pod uwagę. Trudno ocenić, czy ten akt miał go uwolnić albo odkupić, czy raczej stanowił ostatnią kpinę pozbawioną znaczenia. W każdym razie nic się nie wydarzyło, więc wkrótce wyszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi, a potem rzuciłem klucz i notatniki z mostu Putney do rzeki.

Niewykluczone, że zwłoki Yaxleya wciąż tam leżą.

\*\*\*

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, znalazłem listy od Pam i Lucasa. Napisali do mnie osobno: za-

mierzali się rozwieść. Nie potrafili wytłumaczyć, jak do tego doszło.

Lucas utrzymywał, że wyrosli z siebie nawzajem, i szalał z poczucia winy:

„Zawsze wiedziałem, że nie da się wyleczyć innych ludzi z ich charakteru. Teraz rozumiem, że nie da się nawet zmienić siebie. Wszelkie działania w tym kierunku to tylko miotanie się w panice. Wspi-nasz się na mur i widzisz nową krainę: dobrze! Już nie możesz być tym kim poprzednio! Kiedy z za-dowoleniem poklepujesz się po plecach, widzisz, że do nogi masz przywiązany sznur rzeczy, jak ogon latawca. To wszystkie jebane kartki świąteczne, które wysłałeś. Wszystkie rachunki za gaz, któ-re opłaciłeś. Wszystkie rodzinne zdjęcia, które nigdy, przenigdy nie pozwolą ci zostać kimś innym: oto ty, z wytrzeszczonymi oczami i nosem przyciśniętym do szyby – twoja własna akwariowa rybka”.

Przeprowadził się do mieszkania w Manchesterze. „Mam dużo pracy”. Prosił mnie, żebym sprawd-ził, czy u Pam wszystko w porządku.

Pam napisała:

„Czuję, że Lucas nie wie, czego chce”. Najbardziej ją denerwowało, że zostawił u niej większość rzeczy. „Stwierdził, że ma dosyć rupieci, ale nie obędzie się bez swoich książek”. Prosiła, żebym sprawdził, czy u Lucasa wszystko w porządku. „Sama nie wiem, co poszło nie tak”, dodała zaskoczona.

Żadne z nich nie wiedziało.

„To dlatego zachowujecie się tak głupio”, odpowiedziałem. Ale Lucas tylko powtarzał, że nagle poczuł się przytłoczony ciężarem przedmiotów, których nigdy nie chciał posiadać, a Pam, chociaż sprawiała wrażenie zrozpaczonej i zawodziła: „Tak bardzo się od siebie oddaliliśmy”, jednocześnie utrzymywała, że Lucas musi robić to, co uznaje za stosowne, ponieważ ona chce tylko, żeby był szczęśliwy, a także twierdziła, że często zastanawiała się, jak by sobie poradziła sama. Tak więc jesz-cze w tym samym roku wszystko sfinalizowali.

Po fakcie sprawiali wrażenie oszołomionych, że już nie są razem. Lucas próbował wytłumaczyć swoją wściekłość, która ostatecznie nie była wymierzona w Pam – ani nawet w siebie samego – tylko w nieuleczalny stan świata. „Trzydziestopięcioletnia kobieta przytula lalkę, którą od dzieciństwa trzy-ma w tekturowym pudełku pod łóżkiem”, pisał do mnie tamtej zimy. „Dotyka jej ubrań, które rozpa-dają się na kawałki, czule porusza jej obluźowaną ręką. Jej drżące usta i rozluźnione mięśnie szczęki zwiastują nadciągający nieopisany smutek. Jak masz jej wytłumaczyć, że niczego nie straciła przez kolejne lata swojego życia? Jak ona ma ci to wytłumaczyć?”. Tymczasem Pam z każdą godziną coraz bardziej zamykała się w sobie i bezustannie cierpiała. „On zawsze kochał północ. To dlatego tutaj przyjechaliśmy”.

Dziś podejrzewam, że byli nie tyle rozwiedzeni, ile oderwani od siebie za sprawą jakiegoś metafizycznego wydarzenia, którego żadne z nas nie potrafiło sobie wyobrazić, a które wywołała śmierć Yaxleya. Niezależnie od znaczenia jego wtargnięcia do Pleromy – od tego, jak bardzo on ją znie-kształcił, a ona zwymiotowała samą siebie – jednym ze skutków były podobne konwulsje w życiu nas wszystkich. Pam i Lucas coraz bardziej się obwiniali o to, że żyją osobno. Byli zakłopotani. Ostatecz-nie jednak sama niewytłumaczalność tego doświadczenia stała się czymś, czym mogli się dzielić. Na-wet jeśli nie mieli niczego więcej, pozostała im fikcja Coeur, do której wkrótce powrócili, rozwijając ją w listach.

\*\*\*

Śmierć Yaxleya, która, jak wierzyłem, miała nas wyzwolić, napełniła mnie podekscytowaniem, które rozwód tylko wzmocnił. Nie byłem w stanie zasnąć na dłużej niż godzinę albo dwie, więc każdego ranka, gdy wszyscy jeszcze spali, ruszałem nad kanał i wiosłowałem po basenie śluzy w starej łódce pokrytej łuszczącą się niebieską farbą. Katherine znalazła tę łódkę w ogrodzie w dniu, w którym za-



mieszkała w St. Mark's Crescent. Czekał na mnie akwaryjny świat w chłodnym blasku słońca. Było bardzo spokojnie. Po stronie ścieżki holowniczej stał półksiężyc edwardiańskich domów, z których każdy posiadał długi i wąski zarośnięty ogród. Dzika róża, wierzbowka i jakiś ozdobny bluszcz o czerwonych liściach przelewały się ponad murami i zbliżały na kilka stóp do kanału. Na drugim brzegu wraki samochodów lśniły na dziedzińcu warsztatu; dalej wznosiły się milczące łuki kolejowego mostu.

Katherine często mawiała, że to było najdłuższe lato, jakie ktokolwiek pamiętał.

Pewnego ranka leżałem na plecach na dnie łodzi z oczami na wpół przymkniętymi pod wpływem refleksów światła bijących od wody, zastanawiając się, czy potrafiłbym obsługiwać śluzę. Nigdy nie czułem się w tym mocny. Od razu przypominało mi się pewne popołudnie z czasów mojego dzieciństwa, kiedy, obserwując na kolanach ławicę rybek pływających w wąskiej szczelinie osiem albo dziewięć stóp poniżej, po raz pierwszy zrozumiałem, jak głęboka jest woda. Doszedłem do wniosku, że jeśli chcę popłynąć dalej, będę musiał wywlec łódkę na brzeg. Puściłem wiosła. Pies czekał monotonnie na ogrodzonym wybiegu przed warsztatem. Samochód rozwożący mleko przejechał z grzechotem główną ulicą. Czernice nurkowały w zbiorniku, bezpretensjonalnie znikając pod powierzchnią i ukazując się po kilku sekundach jak korkowe zabawki o błyszczących oczach, przez chwilę pokryte kropelkami wody.

Słaby podmuch poruszał wierzbowkami.

Usłyszałem cichy, ale wyraźny głos: „Dorodna kobieta, nie zwyczajna, ale taka, którą można hodować i zbierać bez końca”.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że patrzy na mnie ze ścieżki holowniczej. Jej sylwetkę wypełniały liście i łodygi róż, a oczy miała ślepe, skupione i niebieskie jak przetacznik. Uniosła rękę. Ktoś w jednym z domów za jej plecami obudził się i otworzył okno. Słońce odbiło się w szybie, wypełniając moje oczy światłem.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

## **DROGA**

# DZIESIĘĆ

## TO ZAWSZE PRZYTRAFIA SIĘ

### KOMUŚ INNEMU

Miałem wrażenie, że potem moje życie znów trafiło na właściwe tory. Branża wydawnicza chciwie się rozwijała, żeby sprostać latom osiemdziesiątym. Jako że nigdy nie lubiłem kontaktów z pisarzami, zająłem się produkcją. Katherine tymczasem wystawiała obrazy w Londynie, a następnie w Nowym Jorku. Odnowiła członkostwo w Klubie Sztuki w Chelsea i czasem widywałem ją tam wieczorami; obserwowała bilardzistów krążących w milczeniu wokół stołów jak ryby w podświetlonym akwarium. Urodziła się nam córka, którą nazwaliśmy Kit. Wcześniej nauczyła się mówić i prosiła nas, żebyśmy sadzali ją pod wierzba w ogrodzie przy St. Marks Crescent, gdzie mogła szeptać do niewyraźnych odbić wody na liściach drzewa. Uwielbiała morze. W Fowey albo zatoce Caswell spędzała każde upalne popołudnie w miejscu, do którego sięgały wody przyływu, oddzielając kawałki macicy perłowej od małych kolorowych kamyków i szkła wypolerowanego przez fale. Kiedyś zawołała przez sen: „Światła w muszelkach. Tatusiu! Światła w muszelkach!”. Wyrosła na spokojną małą marzycielkę, wrażliwą, cierpliwą i zadowoloną ze wszystkiego, co znajdowała. Jakby dla równowagi, Pam i Lucas byli wymagający jak dzieci. Pam ciągle pisała listy pełne niejasnych pretensji, a Lucas wydzwaniał do mnie w środku nocy.

– Nie podoba mi się brzmienie jej głosu – mówił. – Ty z nią porozmawiaj. – Wzdychałem, wrzuciłem ramionami i rano łapałem pociąg do Huddersfield, żeby odwiedzić kolejną nieciekawą wioskę, do której się przeniosła. – Ty z nią porozmawiaj. Sprawdź, co powie.

Zawsze mówiła to samo. Czuła się samotna i chora. Pleroma nas wyczuwała, pomimo upływu lat. Lucas Medlar już jej nie kochał. Przytulałem ją – chociaż tylko ten jeden raz poszedłem z nią do łóżka – a następnie dzwoniłem do Lucasa.

– Powinniście częściej się widywać – mówiłem im.

– To ciebie za rzadko widzujemy – odpowiadali, a ja obiecywałem, że będę częściej pisał. Mogłem wrócić do domu dopiero, gdy osiągnęliśmy coś w rodzaju równowagi lęków. Mimo wszystko taki układ nam odpowiadał, dopóki nie zobaczyliśmy Białej Pary na śniegu za kuchennym oknem Pam w trzecią rocznicę śmierci Yaxleya. Jeszcze wtedy coś można było ocalić. Przyznaję, że Biała Para mnie przeraziła. Jak mogłoby być inaczej po wszystkim, co się wydarzyło? Z obrzydzeniem patrzyłem na wyraz ich twarzy, gdy wisieli w powietrzu za oknem. Byłem wściekły na Lucasa i rozczarowany jego żalosną próbą unikania tego tematu. Ale niezależnie od tego, co mu powiedziałem następnego dnia w kawiarni Kardomah w Manchesterze, którego zatłoczone handlowe ulice tonęły w strugach deszczu, nadal byłem gotów im pomóc (nie z poczucia winy, jak zakładał Lucas, a przynajmniej nie z poczucia winy, z którego on zdawał sobie sprawę). Wszystko dalej toczyłoby się w ten sam sposób, gdyby nie gwałtowne nasilenie choroby Pam następnej wiosny.

Nikt nie wiedział, co jej jest. Paraliżowały ją migreny. Ataki padaczki były coraz częstsze i silniejsze. Czasami zasypiała na całą dobę albo dwie, a potem przez tydzień niespokojnie krążyła po domu, czytając, paląc i nocami pokrzykując na koty, dręczona bezsennością. Waga jej ciała ulegała gwałtownym wahaniom. Do tych zaburzeń metabolizmu doszły wrzody, grzybica, zapalenie okrężnicy, ropiejące zęby. Miała alergię na coraz bardziej egzotyczne odmiany penicyliny. W końcu jej skórę pokryły jaskrawoczerwone plamy typowe dla róży, czasami nazywanej Płomieniem Świętego Antoniego. (Później bez trudu można było dostrzec w tych dolegliwościach objawy fazy przejściowej. Zupełnie jakby choroba szukała jak najlepszej formy ekspresji. Pierwotne objawy były tak histeryczne – ataki, bóle głowy, halucynacja w kuchni – że trzeba je uznać za rodzaj mowy, języka jakiegoś pospo-

litego zaburzenia psychicznego. Nawet dzisiaj temu nie zaprzeczam).

W kwietniu Lucas zadzwonił do mnie z Manchesteru. Był spanikowany i zagubiony, nie wiedział, co robić. Pam zabrano do szpitala w Huddersfield.

– Musi mieć wstawione bypassy – oznajmił.

– Lucas, jeszcze tydzień temu miała mocniejsze serce niż ja. To na pewno pomyłka. Co powiedzeli?

– Nie wiedzą, co jej jest!

– Spróbuj się uspokoić – poradziłem.

– Łatwo ci mówić. Ona nie rozpada się na twoich oczach.

– Przyjadę, kiedy tylko będę mógł.

Ale wiosna to trudna pora roku. Ledwie nadążaliśmy z wydawaniem książek. Kiedy wreszcie mogłem się wyrwać, Pam już wracała do zdrowia. Zastałem ją na łóżku w salonie, gdzie siedziała ubrana w bawełnianą nocną koszulkę od Marksa i Spencera oraz niebieską wełnianą lizeskę o krótkich bufiastych rękawach. Miała dłuższe włosy związane z tyłu kawałkiem tasiemki. Jej twarz i ręce wyraźnie zbieleły. Skóra wokół ust i oczu była miękka, przykurzona i opuchnięta; cera poddała się kurzym łapkcom i głębokim zmarszczkom wywołanym stresem. Wydawało się, że w szpitalu przytyła zamiast stracić na wadze, a jednak wyczuwałem obecność kości pod skórą.

– Jak się czujesz?

– Obolała!

Lucas zniósł łóżko na dół i ustawił je obok okna, żeby mogła wyglądać na zielone pasy słońca i cienia, które przez cały dzień ścigały się przez wrzosowiska, zmierzając ku Holme. W pokoju było więcej światła niż podczas mojej ostatniej wizyty. Blask rozświetlał jaskrawy czerwono-czarny wzór na kołdrze, na której leżał zestaw inwalidy: chusteczki higieniczne, egzemplarz „Guardiana”, poskładany tak, że na górze widniała do połowy rozwiązana krzyżówka z poprzedniego dnia, etui na okulary, dwie albo trzy książki w miękkiej oprawie o różowo-lawendowych okładkach i tytułach w stylu „Słodki świt pożądania”.

– Chyba żartujesz. – Skrzywiłem się. Znając jej gust, przyniosłem jej „A Lost Lady” Willi Cather.

– Należą do mojej sąsiadki – odrzekła. – Miło z jej strony, że o mnie pomyślała. No i popatrz na te kwiaty! Nawet się nie domyślamy, jak mili są ludzie, dopóki nie zachorujemy. – Wszyscy byli bardziej życzliwi niż miała prawo się spodziewać: karmili koty, wykonywali drobne prace, mimo że dwa razy w tygodniu przychodziła pomoc domowa, robili zakupy. – Staruszek, który mieszka dwa domy dalej, zaproponował, że pożyczy mi telewizor. – Roześmiała się. – Tu jest czyściej niż kiedykolwiek. Więc zachowaj dla siebie swoje literackie wyrzuty! Chodź, niech cię uściskam. Jak dobrze cię widzieć! – Zamrugnęła i wydmuchała nos. – Łatwo się teraz wzruszam. Zaparzysz nam kawę?

– Nie wiem, czy chcę wchodzić do tej kuchni – odparłem, starając się obrócić to w żart. – Wciąż pamiętam ostatni raz.

Zapadła cisza. Żeby jakąś ją wypełnić, Pam zajęła się układaniem książek; wygładzała kołdrę szybkimi ruchami dłoni.

– Wciąż się pojawiają, Pam?

– Koty?

– Biała Para.

Oparła się o poduszki i odwróciła głowę.

– A jak ci się wydaje? Czego się spodziewałeś? Że to wszystko w czarodziejski sposób zniknie, kiedy tylko się zaangażujesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Nie przejmuj się – zapewniła mnie zmęczonym głosem. – Teraz ich tam nie ma. Wiedziałabym, gdyby tak było. – Milczenie znów się przeciągało. Zapytała, jakby mnie przy niej nie było. – Pamięć

tasz morderstwa z wrzosowisk? Martwe dzieci pogrzebane za Saddleworth? Nie były jedyne.

– Wrzosowisko to tylko wrzosowisko – odparłem.

Ponownie otarła oczy.

– Wiem, wiem. – Nagle usiadła i chwyciła mnie obiema dłońmi za rękę. – Idź do kuchni i zaparz kawę. Zmieniło się tylko to, że do czegoś się przed sobą przyznaliśmy.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Na oknie na wszelki wypadek założono żółtą roletę.

– Nie widziałem tego wcześniej! – zawołałem.

Sąsiadki Pam, kobiety z Yorkshire o zdecydowanych poglądach, wyszorowały laminatowe powierzchnie i sosnowe półki. Ceniły porządek i optymizm; lubiły czyste miejsca. Nowe kubki do kawy, z tandetnymi, wesołymi rysunkami i optymistycznymi hasłami, zastąpiły dawne wyszczerbione ulubione naczynia. Wszystkie ściereczki były świeżo uprane. Nawet kocie miski za stali nierdzewnej wypolerowano do połysku. Kuchnia była zwyczajną kuchnią. Napełniłem czajnik. Nic mi się nie przydarzyło.

– Widzisz?

Wypiliśmy kawę. Porozmawialiśmy o tym i owym. Próbowaliśmy dokończyć krzyżówkę. Popołudnie pociemniało, chyląc się ku wieczorowi. W końcu ją spytałem:

– Często widzisz Lucasa?

Miałem na myśli coś w rodzaju: czy Lucas wypełnia swoje obowiązki wobec ciebie? Nie odpowiedziała, tylko pokazała mi wisiorek, który kupił jej prawie dwadzieścia lat wcześniej. To była łezka z irańskiej macicy perłowej, cal na półtora, osadzona w srebrze ozdobionym filigranem z malutkich różyczek, z wzorem przedstawiającym pawie i kwiaty w kolorach niebieskim, pomarańczowym oraz zielonym, które lśniły w ciemniejącym pokoju jak farba z Bizancjum. Bóg jeden wie, gdzie Lucas znalazł to cacko i ile za nie zapłacił.

– Jest piękny, Pam.

– Prawda? Kupił mi go, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Londynu.

– Lucas?

– O tak. Często tam bywał przez pierwsze kilka lat. Chciał znaleźć Yaxleya i nakłonić go, żeby nam pomógł. Biedny Lucas! Był przerażony: nie wiedział, gdzie szukać. Włóczył się bezradnie, a potem po prostu wracał do domu.

– Nie miałem pojęcia.

Posłała mi zaspány uśmiech.

– Lucas robi, co może. To nieprawda, że ci nie ufaliśmy. Zawiodły nas własne uczucia.

Widziałem, że jest zmęczona. Wstałem, zbierając się do wyjścia.

– Trzymaj się, Pam. Niedługo znów wpadnę.

– Wiesz, czego najbardziej bym chciała?

– Czego?

Ale już zasnęła.

\*\*\*

Porozmawiałem z Lucasem kilka dni później.

– Czuje się znacznie lepiej – zapewnialiśmy się nawzajem. – Czyż nie? O wiele lepiej.

Po kilku tygodniach wróciła do szpitala. Nieprzyjemne doznanie w lewym biodrze przeniosło się do klatki piersiowej i utrzymywało w okolicy żeber, które wcześniej połamano, aby wykonać operację serca. Lekarz stwierdził, że to „artretyzm”, ale zatrzymał Pam na obserwację.

Lucas był zrozpaczony.

– Oni coś ukrywają. Pam wie, że dolega jej coś jeszcze.

Pam płynęła z prądem, poddając się nieokreślonej chorobie, łagodząc lęki „Burzliwymi wyżynami miłości” i „Mroczną muzyką radości”: niespodziewanie zdiagnozowano nowotwór piersi i na początku lipca przeprowadzono mastektomię.

– Wykryliśmy chorobę wystarczająco wcześnie – zapewniał lekarz. Ale kiedy następnego dnia Lucas odwiedził Pam, tylko pokręciła głową i stwierdziła:

– Coś nadal jest nie w porządku.

Pojawiał się w szpitalu tak często, jak pozwalała mu na to praca, czyli zapewne częściej niż na prawdę mógł. Wciąż mam jego listy z tamtych czasów, które pisał bardziej do siebie niż do mnie, arkusze papieru listowego nocami wściekle wypełniane za pomocą starej przenośnej maszyny do pisania „Lettera”, którą wniósł do małżeństwa jak deklarację woli. Pożółkłe ze starości, rozpadają się na zgięciach, gdy próbuje się je rozłożyć; ale wewnątrz kryją się Pam i Lucas, równie widoczni – i równie dalecy – jak postacie w szklanym przycisku do papieru. On waha się pomiędzy przerażeniem i uzalaniem się nad sobą. Ona jest schorowana, odurzona morfiną (choć na razie otrzymuje ją w niewielkich dawkach), niepewna przyszłości. Za każdym razem, gdy ją widzi, jest coraz chudsza. Godzina odwiedzin burzy jej izolację; jego widok zawsze stanowi ulgę. Ścisła jego dłoń tak mocno, że sprawia mu ból, ale biada mu, jeśli poda jej niewłaściwy napój ze stolika przy łóżku! Albo jeśli trzeba jej poprawić oparcie, a Lucas, nie chcąc oglądać blizny po amputacji, gdy Pam się pochyła, wykazuje się niezdarnością...

– Na litość boską, Lucasie, zostaw mnie w spokoju. Nigdy się do niczego nie nadawałeś!

Lucas powtarza sobie, że stała się bardziej wymagająca „tylko dlatego, żeby powiedzieć, że już nie mamy na to czasu. Nie tylko dlatego, że cierpi, ale także dlatego, że te czynności stanowią teraz miarę naszej wzajemnej miłości, naszego człowieczeństwa”.

Doprowadza ją do pasji, a na niego tak samo działają lekarze.

„Żaden z nich nie przyzna, jak bardzo Pam jest chora”, pisze po kolejnym nieskutecznym, niekończącym się cyklu chemioterapii. „Ciągłe każą próbować czegoś nowego. Zawsze mówią, że jest nadzieja, ale nie czynią żadnych postępów!”.

Nikt jej o niczym nie informuje. Nikt nie informuje Lucasa. „Co gorsza, nawet nie zapewniają jej właściwej opieki. Dzisiaj rano upadła, gdy próbowała samodzielnie skorzystać z toalety. Podczas odwiedzin powiedziała mi tylko: »Kołano mi szcerwieniło. Później przyjdzie lekarz i je pomaluje«. Czasami nie ma pojęcia, co mówi. Ale tym razem była przytomna. Nie chciała puścić mojej dłoni. »Nie odchodź jeszcze, Lucasie. Nie odchodź«. Ci dranie naprawdę pozwolili, żeby upadła i zrobiła sobie krzywdę!”.

„Dlaczego do tego dopuszczają?”, pyta, po czym wyciąga szalony wniosek: „Lekarze potrzebują choroby. To źródło ich władzy”.

Szpital był labiryntem, a każde wyjście oznaczono tabliczką „Onkologia”. Oboje byli w nim uwięzieni. Na skutek tego zbliżyli się do siebie bardziej niż kiedykolwiek. Niezależnie od swojego źródła, cierpienie Pam dręczyło także Lucasa. Ranił go jej ból. Napływały kolejne listy, pełne oburzenia, goryczy i niepewności, coraz bardziej przejawione. Ale nie wyjaśniały, jak Lucas starał się opatrzyć tę ranę. Każdego wieczoru po zakończeniu pracy w Manchesterze odpalał renaulta i ostrożnie włączał się do ruchu na prowadzącej na wschód autostradzie M62, nerwowo pochylając się nad kierownicą, żeby poprzez ulewny deszcz wypatrywać zjazdu numer 23. Godzinę później Pam mocno ścisnęła jego dłoń, a on przypominał jej cichym, przekonującym głosem:

– Zawsze pamiętaj: kiedy rozmawiamy o Sercu, wiemy, że to prawdziwe miejsce.

Wiedział, że nie wolno mu przestać.

Tutaj trudniej było mu ją zaciekawić niż w Dunford Bridge, gdzie światło powoli wypływało z ciężkich starych mebli, a cętkowany kot snuł się po drewnianej posadzce. Tam wystarczyło zapytać:

„Na co masz dzisiaj ochotę?”, a ona odpowiadała: „Na »Pięknych pływaków«!”. W szpitalu była nerwowa i pobudzona, nie potrafiła się skupić, niespokojnie odwracała wzrok, zerkając na zegar, innych odwiedzających, którzy wchodzili i wychodzili z pokoju, albo na oddziałowy telewizor, na którego ekranie kolejne odcinki „Emmerdale Farm” i „Wszystkie zwierzęta duże i małe” bezgłośnie przedstawiały historie przebiegłych, ale sympatycznych miejscowych o twarzach przebarwionych do fioletowej czerwieni za sprawą niewłaściwego ustawienia kolorów. W końcu, poruszona jakimś zwrotem – „rozczarowany tym, co rzeczywiście”; „oprawiony w drewno i aksamit” – spoglądała na Lucasa, jakby dopiero zaczął mówić. Udręczenie stopniowo znikało z jej oblicza, a kiedy pielęgniarka wesoło wołała: „Wystarczy. Już dziewiąta. Muszę pana wyrzucić”, Pam uśmiechała się znużona, gotowa zasnąć z myślą o obietnicach, które Lucas zaczął jej składać...

– Pod koniec życia Michael Ashman najwyraźniej się zagubił. Trudno zrozumieć dlaczego. Jego własne wytłumaczenie wywołuje w nas frustrację i podejrzenia, że rozmyślnie coś zataił: „Jako dziecko często spędzałem Boże Narodzenie ze swoją babcią, która mieszkała niedaleko Catesby w sporym wiktoriańskim domu z ciepłej pomarańczowej cegły, któremu pseudobarokowe kominy oraz zarośnięty ogród dodawały aury historyczności, którą tak uwielbiałem...”.

\*\*\*

W tej części Northamptonshire (czytał dalej Lucas) zimowe zagajniki wyglądają, jakby wiecznie ciemniały na tle bladobłękitnego nieba – jakby noc miała nigdy nie zapaść – w sposób tak idealny, że nigdy nie będzie potrzebny kolejny dzień. Średniowieczne poletka, słupki bram w stylu Tudorów, wąskie dróżki i skarpy porośnięte bluszczem skąpanym w poziomo padającym świetle, jagody cisu, woskowane i rurkowane, jakimś cudem rozświetlone od środka, tak że przypominają choinkowe lampki w gęstniejącym mroku: nawet bez śniegu jest to krajobraz żywcem wyjęty ze świątecznej kartki. Nawet teraz przypadkowy układ domków i bezlistnych wiązów przypomina mi, jak brnąłem do domu przez lodowate zaorane pola późnymi popołudniami pod koniec grudnia: miałem wtedy trzynaście albo czternaście lat i składałem się tylko z chwilowych pragnień, które dotyczyły ciepłego pokoju ze świecidełkami i sznurami błyskotek na choince oraz zapachu tostów.

Uwielbiałem jemiołę, która rosła obok drzwi mojej babci. Każdej wiosny pośród nowych listków znajdowało się skupiska małych kwiatków, złożone jak szyfry, cztery płatki i cztery białe pręciki ułożone w gwiazdę o ośmiu wierzchołkach. Końcówki płatków znaczyła nutka fioletu, nieuchwytna jak złudzenie. Męskie i żeńskie kwiaty jemioły rosną na osobnych drzewach; tylko te drugie dają owoce. Zimą jemioła mojej babci wydawała „jagody jaskrawe jak rana”.

Jemioła i bluszcz! Opowiada o nich kołęda, która, niezależnie od swojego pochodzenia, za każdym razem zanurza cię w Średniowieczu, które było jak czasy dzieciństwa. Dla tamtych ludzi słowa były tajemnicze i drogocenne; jagody lśniły na de ciemnych liści drzewa! Ale owoce jarzębiny i cisu są równie jaskrawe. Podobnie głóg, zwłaszcza świeży, a także dzika róża. Wszystkie one odgrywają znaczącą rolę i mają magiczne oraz symboliczne znaczenie, jednakże nie może się ono równać z mrocznym i dziecinnym mitem o świadomej ofierze, która dokonuje się i wyraża jako osnowa całej kultury!

Kiedy wróciłem do tego domu, żeby w nim zamieszkać, miałem czterdzieści pięć lat. „Nie da się zrozumieć Średniowiecza, dopóki nie poczuje się śmierci depreczającej po piętach”, napisałem do przyjaciela. Co zaś dotyczy „elastyczności granic”, którą niegdyś uważałem za nieodzowny wstęp do powrotu Coeur: szybko się skończyła. Kennedy był w Berlinie. Europa zastygła w pozach Zimnej Wojny. „*Ich bin ein Berliner*”! Powtarzałem sobie, że urodziłem się w świecie, który, pomimo obecnych w nim koszmarów, zawsze lepiej się zapowiadał.

– Co za biedak!

Wbrew sobie Pam zaczęła z utęsknieniem czekać na odwiedzinę Lucasa.

– Nie mógłbyś przychodzić także popołudniami? – spytała.

Nie widział takiej możliwości.

– Strasznie się tutaj nudzę.

Poprawnie odczytując „Średniowiecze” jako „wiek średni”, rozpoznała w rozpaczy Ashmana odciśnięcie swojego stanu. Ale tam, gdzie Pam widziała melancholię, strach, oszołomienie (w jakimś archaicznym znaczeniu tego słowa, które kojarzyło się jej ze zgubioną drogą, nocą, leśną gęstwina), Lucas dostrzegał tylko porażkę wyobraźni.

– Wtedy Ashman był już w stanie wyczytać piętnasty wiek z wilgotnego kartonowego pudła na placu budowy. Stworzył jeden z najpotężniejszych metafizycznych instrumentów w historii europejskiej myśli, ale nie wiedział, co z nim dalej zrobić.

– Mimo wszystko poczytaj mi jeszcze trochę – prosiła Pam.

– Więc posłuchaj...

Personel oddziałowy, bogata mieszanka pielęgniarek, stażystek i niewykwalifikowanych „pomocnic” w zielonych fartuchach – ciężkich kobiet z dużymi stopami i dorosłymi rodzinami, dojeżdżających autobusami nawet z Bradfordu, dla których dźwiganie ciężarów stanowiło chleb powszedni – wkrótce zaczął okazywać zaintrygowanie. Godzina dziewiętnasta: Lucas wchodził na oddział z plastikową teczką i reklamówką z Salisbury’s, siadał na skraju łóżka i wyjmował okrągłe okulary do czytania w stalowych oprawkach. W nich sprawiał wrażenie bezbronnego albo, jak ujęła to jedna z kobiet, „zbyt młodego na swój wiek”. Wszyscy i tak go lubili. Pam zmieniła się w samą skórę i kości: imponował im troską, jaką ją otaczał. Poza tym przywykli do jego niskiego, jednostajnego głosu.

– Te wasze opowieści! Za każdym razem, gdy pan przychodzi, opowiada jej pan jakąś historię! Czy tym razem będą jakieś momenty?

Lucas tylko uśmiechał się nieśmiało.

– Obawiam się, że nie.

– Szkoda!

Odprawiał pielęgniarki, a potem mówił dalej:

– Ashman kontynuował swoje badania z ograniczonym entuzjazmem. W końcu odzwierciedlały one lata, które upłynęły od czasu tamtej kształtującej europejskiej podróży i niekiedy przywoływały – wraz z dreszczem radości, który był tylko wspomnieniem wspomnienia – obrazy tańczącego niedźwiedzia, zamrożonego rozlewiska na Dunaju, nóg czeskich dziewcząt rozkładających kilkuwarstwowe spódnice jak wachlarz z kart tarota. Zaczął wierzyć, że historyczna przeszłość Coeur to jedynie zawilgość jego własnego życia, skutek przekręcania albo zaginania powierzchni doświadczeń w taki sposób, żeby nadać im głębsze znaczenie.

Lucas przez chwilę się zastanawiał.

– Nie wiemy dokładnie, co spowodowało tę zmianę. – Zdjął okulary i potarł oczy.

– Nie drocz się ze mną – ostrzegła go Pam.

– Pewnego kwietniowego ranka Ashman złapał pociąg z dworca głównego w Birmingham i ruszył najpierw do Bath, a następnie do Weston-super-Mare nad Kanałem Bristolskim. Stamtąd pojechał dziesięć albo piętnaście mil w głąb lądu do niewielkiej wioski niedaleko Burrington na północnym skraju wzgórz Mendip. To, co znalazł w tamtejszym kościele parafialnym, ma dla nas duże znaczenie i jest łatwe do zrozumienia. Reszta jest bardziej skomplikowana...

– Lucasie!

Lucas zrozumiał i zaczął czytać dalej...



Szybko wyszedłem z kościoła.

Znalazłem dwa cmentarze parafialne; wewnętrzny był dobrze utrzymany i przytulny, ze starannie przystrzyżonym kanciastym żywopłotem, niewielkimi zakręcającymi trawnikami i ścieżkami. Otaczały go cisy i wiązy; pszonki rosły wzdłuż każdej dróżki; stokrotki i mniszki lekarskie już zakwitły pośród traw. Siedziałem tam kilka minut, słuchając śpiewu drozda, który kształtował i definiował swoje wiosenne terytorium między ozdobnymi krzewami. Kościół, wzniesiony w stylu normańskim, był mały, ale masywny: nawę, chór i prezbiterium wybudowano z niezwykłą energią typową dla tamtych czasów, wykorzystując różowy wapień, który przypominał mi Tintern i dolinę Wye. Słabe cienie okolicznych drzew oświetlanych od południa przypominały cienie widoczne na białym urwisku w ciepły zimowy dzień. To wszystko przepełniało mnie radością. Kiedy wstałem, zbierając się do odejścia, podekscytowanie wywołane odkryciem częściowo mnie opuściło, wnikając w pieśń drozda i blady, ale ciepły blask słońca na trawie, i zastąpiło je niezwykle poczucie szczęścia.

Zewnętrzny cmentarz był mniej osłonięty. Na zaniedbanym terenie o powierzchni akra, pośród kolonii rododendronów, skupisk ciernistych krzewów oraz gęstwiny młodych drzewek, obsługiwano mniej uprzywilejowanych klientów. Wypatrywałem ich, idąc w stronę bramy. Niektórzy leżeli całkowicie ukryci pod nierówną, splątaną trawą. Rzadko trafiały się nagrobki. Zamiast nich na grobach umieszczano zardzewiałe ozdobne łańcuchy, a nad nimi coś w rodzaju żelaznej klatki, jakby zmarłych trzeba było przytrzymać na miejscu. Z trzech albo czterech nagrobków, które udało mi się znaleźć – zielonkawych, z bocznymi rzeźbieniami mającymi odzwierciedlać zwój – odczytałem napisy: niekompletne, zwyczajne, dziwne.

„...także jego Ukochana Żona”.

Niedaleko bramy ktoś próbował usunąć roślinność. Tutaj groby z jakiegoś powodu miały postać zwykłych kopczyków ziemi, w które wetknięto niemalowane drewniane krzyże: niespotykany widok, szokujący, a zarazem nieco podniecający, obnażał bowiem proces, który zazwyczaj jest dobrze ukryty pod marmurem, urnami i aniołami stojącymi na olbrzymich filarach. Za tym surowym terenem rozciągało się spadziste pole, gdzie, w pobliżu cmentarnego muru, jacyś mężczyźni palili ognisko, wpatrując się w nie bez celu, ale z wyraźną satysfakcją. Jeden z nich grzebał w płomieniach grabiami. Wychodząc przez bramę na drogę, zastanawiałem się, co też mogą palić w sobotnie kwietniowe popołudnie.

W wiosce unosił się zapach środka do czyszczenia mebli. Tłusta kobieta o czerwonych rękach siedziała w swoim ogródku i jadła jabłko. Z wnętrza jej domu dobiegał odgłos odkurzacza.

Przywykli do gości. Ktoś przekształcił starą komorę celną w księgarnię. Na placu, na którym rosły kasztany i stał wapienny krzyż, znalazłem trzy połączone domki bielone wapnem, w których mieściła się kawiarnia „Nagus”, popularne miejsce spotkań uczestników wycieczek parafialnych do Burrington Combe, gdzie niemal dwieście lat wcześniej Augustus Toplady schronił się przed deszczem w słynnej jaskini, w której spłynęło na niego natchnienie, dzięki któremu napisał swój hymn „Skało Wieków, pęknij dla mnie”. Tamtego ranka przyjechało z Bristolu mnóstwo starszych ludzi: wåtli, ale energiczni mężczyźni w szelkach, flanelowych koszulach i słomkowych kapeluszach z czarnymi wstążkami, którzy tłumnie wchodzili i wychodzili z publicznych toalet, oraz kobiety o twarzach jak bułeczki, żeglujące w swoich bawełnianych sukienkach i zatrzymujące się tylko po to, żeby zachwyć się czymś niemowlęciem, jakby właśnie je znalazły. Wszyscy czekali na autobus powrotny, który miał się pojawić za godzinę. Tymczasem szczerze wypełnili „Nagusa”, gdzie pod niskimi krokwiakami i przed kominkiem zdobionym papierowymi kwiatami oraz kłosami kukurydzy zabarwionymi transparentną farbą przyglądali się wykonanemu w sepii zdjęciu zatytułowanemu „Dzień prania ok. 1900” (na którym trzy albo cztery ponure kobiety stały przed kamiennym budynkiem) i pytali się na-

wzajem:

– Lubisz owoce morza? Bo mają tutaj bardzo dobry półmisek owoców morza, moja droga...

– Półmisek owoców morza? Półmisek owoców morza?

– Och nie, to nie dla mnie, moja droga!

Kiedy przyniesiono jedzenie, energicznie pakowali je do ust, a następnie żuli z refleksyjnym wyrazem twarzy, jakby nie byli pewni, co jedzą. Minęły trzy kwadransy. Niebo pociemniało, kilka kropel deszczu uderzyło o szyby. Mężczyźni zaczęli spoglądać na zegarki, a ich żony uśmiechały się pobłaźliwie do jakiegoś dziecka. (Zjadło kremówkę, po czym zaczęło raz za razem uderzać niebieskim plastikowym kubeczkiem o stół). Mniej przypadła im do gustu jego matka, która nałogowo paliła papierosy „Player’s No 6”.

– Nigdy nic mi się nie podoba – powtarzała, na co jej towarzyszka, czterdziestolatka o głębokim, wyważonym głosie i mocno ściągniętych włosach, które upodabniały jej twarz do kości wyrzuconej na brzeg, odpowiadała:

– Powinnaś poczekać, aż znajdziesz coś, co naprawdę cię zachwyci, i dopiero wtedy kupować. Nie możesz ciągle rzucać się na coś, co nie do końca ci odpowiada. Możesz darować sobie rzeczy, które ci się znudziły.

Nagle pociągnęła nosem.

– Czujesz? – dodała.

Dziecko przestało bębnić kubeczkiem i popatrzyło na obie kobiety. Nagle wszyscy zaczęli wstać z miejsc.

– Co to za zapach?

– Czy to autobus? To autobus!

– Niczego nie czuję.

– Co to jest?

Staruszkowie zgromadzili się na placu wokół pomnika upamiętniającego wojnę i spoglądali na olbrzymi obłok ciemnoszarego dymu, który unosił się – zaskakująco duży jak na wszelkie możliwe źródła – za domami. Deszcz spływał po ich przekrzywionych twarzach i barwił im na ciemno ramiona kurtek.

– Ojej, ojej, co się dzieje?! – Kobiety wołały nerwowo z progu kawiarni, a na ich obliczach gościły niepewność, niezdecydowanie i wyczekiwanie.

Wszyscy pobiegliśmy w stronę kościoła. Przy bramie powitała nas intensywna fala żaru. Cementarz się palił.

Na sąsiednim pustym polu leżały porzucone grabie, a kilka postaci biegało na granicy dymu. Słyszałem, jak się nawołują, ale ich spanikowane głosy z trudem przebijały się przez ryk i trzask płomieni. Jedna z postaci się przewróciła; pozostali, zaskoczeni, chwycili ją za nogi i zaczęli ciągnąć w stronę kościoła.

– Tędy! – wołali staruszkowie. Zaczęli zdejmować płaszcze, ale nic nie mogli zrobić. – Tutaj!

Za późno. Nie wiadomo, jak pożar się zaczął, ale wkrótce objął cały teren, skwiercząc i sycząc pośród młodych drzewek, pochłaniając trawę pomiędzy ogrodzonymi i zamkniętymi w klatkach grobami. (W powietrzu drżącym od gorąca podskakiwały jak łódki na płonącym morzu, a ich żelazne elementy świeciły na śliwkowo. Niespodziewanie utrzymywały się na powierzchni). Kolejne skupiska krzewów drżały jak rozpalony do czerwoności drut kolczasty i obracały się w popiół. Wiązy rosnące najbliżej kościoła zajęły się ogniem jak kępy słomy: stałem w odległości trzydziestu albo czterdziestu jardów, ale czułem żar na skórze.

Kobieta z dzieckiem podniosła je, żeby mogło popatrzeć na płomienie.

– Patrz – zachęciła. – Patrz, Timmy!

Jej przyjaciółka, zajęta przypalaniem papierosa, odezwała się obojętnie:

– Następny będzie kościół.

To powstrzymało staruszków. Kiedy się zastanawiali, wiatr zmienił kierunek i pchnął płomień w naszą stronę. Dym kłębił się i wirował, pełen iskier. Czując, że łzawią mi oczy, cofnąłem się, oczekując ostrej, pylistej, ale przyjemnej woni, jaka towarzyszy paleniu ogniska w ogrodzie w wilgotny dzień. Zamiast tego poczułem smród chloru i rozkładających się zwłok, a następnie odór jak z komina krematorium. Usłyszałem głos, który przemawiał jakby z bardzo daleka z tak silnym środkowo-europejskim akcentem, że rozumiałem tylko niektóre zwroty i zdania.

– Lód – wyszeptał, a potem dodał coś, co brzmiało jak: – Nasze ubrania. – Następnie, dosyć wyraźnie: – Zabrali nas z Theresienstadt w środku nocy bez ostrzeżenia. – Byłem w Birkenau. Był paździenik. Słyszałem psy szczekające gdzieś w oddali na drugim brzegu Soły, która wcześniej zamarzała. W chatach panowała ciemność i unosiła się woń wyczerpanych kobiet. – Wszyscy zabici. Zabici zastrzykami.

Birkenau. Jak mogę to wytłumaczyć? Zamiast dymu otoczyła mnie historia. Osłabiony i dręczony mdłościami, chwiejnym krokiem przeszedłem na przeciwną stronę drogi, oddalając się od kościelnej bramy, po czym uklęknąłem i obficie zwymiotowałem na trawiaste pobocze. Kiedy odzyskałem siły na tyle, żeby wstać, ogień na cmentarzu już się wypalił. Pomyślałem: „Masz już prawie pięćdziesiąt lat”.

To był rok praskiej wiosny. Dubček jeszcze nie przegrał; Jan Palach jeszcze nie wykonał swojego przerażającego gestu nadziei i rozpacz na placu Wacława.

Czy granice znów zaczęły się przesuwać?

Zmarli z nami pozostają, przekazywani kolejnym pokoleniom jak rzeczy, które ich dotyczyły, gdy jeszcze żyli. Przypomniałem sobie, nagle i w chronologicznym porządku: prostytutkę w budce nad Dunajem, światło gromadzące się w zagłębieniu obojczyka, orgazm osiemnastolatka, smutny jak wydech, pożółkłą fotografię jakiegoś starego męża stanu, który tak wiele dla niej znaczył. Czy zginęła w Birkenau?

– Wiem, że tutaj jesteś! – wykrzyknąłem. Wiedziałem, że to nieprawda.

Otarłem usta, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że dziecko patrzy na mnie z rąk matki, oszołomione. Deszcz padał na nas oboje.

\*\*\*

Lucas zamknął teczkę. Na oddziale panowała cisza.

– Co się stało z Ashmanem tamtego popołudnia? Mógł tylko odpowiedzieć: „Nie jestem pewien”. Zupełnie jakby chciał, żebyśmy zdecydowali za niego...

Pam zmęczonym gestem dotknęła ręki Lucasa.

– Lucasie, co on znalazł z kościele?

– Kielich, mapę, zwierciadło. Różę. Prawdziwe dziedzictwo cesarzowej. Prawdziwą wskazówkę prowadzącą do Serca.

– Lucasie...

– Znalazł pewien akt ślubu.

– Będziesz mnie odwiedzał popołudniami?

– Postaram się.

# JEDENAŚCIE

## BOŻA NIEWOLNICA

Niezależnie od tego, jak Pam opisywała Lucasa i co o nim myślała podczas ich wspólnego życia – jako o wymagającym, ale idealnym dziecku, zwierciadle jej własnego nadprzyrodzonego poczucia winy, autorze „Michaela Ashmana” – zawsze był on w stanie ją pocieszyć i przekonać. Jego najnowsze osiągnięcia w tej dziedzinie były równie niezwykle jak sukces, który pierwotnie odniósł dzięki idei Coeur. Stopniowo poskładał jej ból, aż ten stał się na tyle mały, że jej nie dokuczał, a następnie umieścił go w samym sercu Serca (w tym romańskim klasztorze, w którym niezależnie od naszych lęków zawsze możemy słuchać fontanny grającej w ciszy). Tam, chociaż znów go czuła, stał się czymś dalekim, może nawet błogosławieństwem.

– Pierwsze silne echa ucichły – zaczął. – Ale wizje i objawienia wciąż były możliwe. Przyłóż ucho do zagłębienia w historii, a je wykryjesz: westchnienia, pogmatwane harmonie, zmarszczki zmarszczek, które przecinają się na całej powierzchni jeziora po tym, jak zanurzył się w nim jakiś niezwykle istotny obiekt!

Rok 1983: William Perm założył Filadelfię. W Brytanii Christopher Wren porzucił astronomię na rzecz rewitalizacji centrów miejskich. Wydawało się, że króluje ożywczy pragmatyzm. Ale gdy współczesny świat stracił czujność, Imperium Osmańskie przypuściło szturm na Wiedeń, z bułatami, wypolerowanymi mosiężnymi kolubrynami, sztandarami z końskiego włosa w olśniewających czerwieniach i żółciach, oraz wielbładami, których siodła z tulipanowca świeciły w słońcu nie jak ziemskie drewno, lecz jak idealny platoński materiał. Z kolei w Niderlandach intuicja wiodła Christiaana Huygensa ku falowej teorii światła! Być może sny popadły w niełaskę jako metoda objaśniania świata, jednakże wielki europejski bestseller „Oneirocritica” doczekał się swojego piętnastego wydania od 1518 roku. Nicholas Coleman z Norwich miał wizje przedstawiające „ludzką armię” w żebraczych łachmanach skrywających wytworne szaty, która „nocą podpałała targowe miasteczka Anglii”. Pewien krawiec ze Stamfordu za sprawą snów postanowił spróbować „cudownego uzdrawiania głuchych i ślepych”. Potem zaś, doznając nagłej halucynacji, w której kwiat róży otworzył się „nie we śnie, ale gdzieś głębiej”, pewna kobieta z Bristolu, ochrzczona w roku Wielkiego Pożaru niezwykłym imieniem Godscall St. Ives, wyrzekła się swojej wiary, by poślubić ogrodnika nazwiskiem Joseph Winthrop.

Winthrop był człowiekiem swoich czasów. W równym stopniu zachwycały go komercyjna i naukowa botanika. Korespondował z Tradescantem młodszym i współpracował z Philipem Millerem nad wyhodowaniem nowej róży stulistnej. Oprócz holenderskich kontaktów mógł się także poszczycić dalekimi związkami z gubernatorem Massachusetts: potrafił wykorzystać je do cna.

Troje z ich dzieci wybrało Nowy Świat. Niczego o nich nie wiemy. Kolejna córka, Liselotte, od wczesnego wieku podatna na błędnicę i melancholię, wyszła za mąż za inżyniera od pomp nazwiskiem Boerhaave. Wtedy Godscall, być może zasmucona farsą Oświecenia, niespodziewanie padła ofiarą czwartaczki – o czym Winthrop, który akurat zbierał rośliny w Holandii, dowiedział się dopiero po powrocie – i zmarła. „Coś we mnie płonie, ale nigdy mnie nie spala”, napisała w swoim dzienniczku w 1695 roku – zakończył Lucas.

Pam była zachwycona.

Lucasa cieszyła jej radość. Niezależnie od mojej opinii, byłoby zbyt prostym uproszczeniem twierdzić, że życie po rozwodzie go rozczarowało. Jednakże teraz, za każdym razem, gdy o niej myślał, wypełniało go nieznanym podniecenie. Początkowo, zaskoczony tym, że po lunchu śni na jawie w pokoju nauczycielskim, kręcił głową i wracał do sprawdzania zadań. Ale wkrótce praca zaczęła go nudzić.

Dzieci sprawiały wrażenie rozmyślnie ociężałych umysłowo i nieskłonnych do współpracy, a to, czego próbował je nauczać, wydawało mu się pozbawione znaczenia. Najwyraźniej docierał do punktu przełomowego. Razem z Pam opowiadali sobie historię Coeur już od dwudziestu lat; jej wartość jako wymysł – a także źródło ukojenia – obecnie zależała w równej mierze od jego zdolności przekonywania, jak od jej chęci bycia przekonaną. To była chwila największego zagrożenia. Mimo wszystko Lucas chciał jak najczęściej pojawiać się w szpitalu. Pragnął trwać przy jej boku. W sali lekcyjnej ziewał z nudów. Powiedział jakiemuś dwunastolatкови: „No to idź, na miłość boską. Ale nie proś mnie ponownie po południu”, po czym wyrzwał przez okno.

Widział Pam, która siedziała na łóżku i czytała książkę!

Godzina szesnasta. Czas się zbierać. Przeżywał chwilową ulgę, gdy rzucał swoje rzeczy na tylne siedzenie renaulta, zatrząskiwiał drzwi i uruchamiał silnik: nie mógł jednak oprzeć na tym geście całego dnia. Godzinę później już trawiło go zniecierpliwienie.

Nienawidził jeździć przez Rochdale, pełne zniszczonych budynków użyteczności publicznej i siedzib małych firm. „Bar i kawiarnia pod Sosną” zastąpiły „Wyroby wełniane u Carol”, by wkrótce ustąpić miejsca „Labiryntowi Sosen i Róż”. Te fantazje przemian i ucieczek – coraz bardziej rozpaczliwych, im bardziej się zbliżał do ponurych przedmieść – sprawiały, że mylnie odczytywał znajome drogowskazy i przegapiał właściwy skręt. Albo nagle hamował przed nieistniejącym psem bądź dzieckiem. Dalej na wschód znajdowały się tylko wrzosowiska, kolejne łuki zalanego wodą torfu, eleganckie betonowe wiadukty nad autostradą, które łączyły pustkę z pustką. Już po południu zapadał tam mrok i zawsze panował duży ruch. Agresja innych kierowców, którzy mknęli przez to pustkowie zderzak przy zderzaku z prędkością osiemdziesięciu albo dziewięćdziesięciu mil na godzinę, denerwowała go, a zarazem napełniała pogardą.

„Sprawiają wrażenie tak idiotycznie chciwych, że dziwisz się, jak zdołali się nauczyć jeździć”, pisał do mnie. „Podejrzewam, że żadne z nas nie robi więcej od wymaganego minimum, żeby osiągnąć to, na czym nam zależy”.

Docierał do szpitala Huddersfield w nastroju, którego sam nie potrafił opisać, chociaż próbował, a ja nie miałem kłopotów z diagnozą – „Zniecierpliwienie, wściekłość, uniesienie, wszystko naraz: czasami tak intensywne, że czuję, jakbym wypływał z własnego ciała, jak woda”. Nie zwracał uwagi na pielęgniarki, a szpitalnej kwiaciarce, która zawsze miała kłopot z obliczeniem reszty z pięciofunтового banknotu, rzucał: „Reszty nie trzeba!”. Windy tak często bywały zatłoczone, że od razu ruszał na schody i pokonywał po trzy stopnie naraz. Każdego wieczoru miał wrażenie, że coraz więcej ludzi staje mu na drodze. Nowi pacjenci z plikami dokumentów zmierzający na oddział hematologii, nowe odwiedzające nieśmiało szukające mężów na oddziale kardiologii albo córek na porodówce – wszyscy łatwo wpadali w sidła kolorowych linii wymalowanych na podłodze korytarzy, gdzie Lucas ich spotykał.

– Przepraszam. Szukamy...

Wbijał w nich wzrok, jakby byli obłąkani.

– ...rentgena.

– Przykro mi, ale nie mogę państwu pomóc.

W końcu otworzył drzwi prowadzące na oddział „Pierwiosnek”.

– Lucasie! – zawołała Pam. – Tutaj.

Znów przestawili jej łóżko! Przez chwilę stał zagubiony na środku wypolerowanej posadzki; potem Pam do niego pomachała, a on się odprężył. Wzięła od niego kwiaty. Serce tłukło mu się w pierś. Szedł tak szybko, że brakowało mu tchu.

– Lucasie, są piękne!

– Posłuchaj... – zaczął.

– „Coś we mnie płonie, ale nigdy mnie nie spala!”. Cokolwiek to było, najwyraźniej nie chciało

rozgorzeć w córce Godscall. Boerhaave osiadł w Anglii Wschodniej, gdzie – rozochociony sukcesem projektu Haddenhama z tysiąc siedemset dwudziestego siódmego roku – zamierzał odwadniać tereny i wykorzystywać je pod uprawy. Okazało się jednak, że dysponuje niewystarczającym kapitałem, Liselotte wkrótce zmarła na ospę, a zubożona rodzina, w której nie było synów, rychło popadła w zapomnienie. Od tamtej pory pojawiają się tylko drobne wzmianki na ich temat.

Lucas utrzymywał, że córki Liselotte wyszły za mąż za przedstawicieli branży tkackiej, która rozwinęła się w okolicach Norwich. Co zaś dotyczy ich potomków:

– Przez prawie sto lat dryfowali na północ. Z Norwich do Nottingham, a następnie do Manchesteru; od czółenek do przedzerek, od wzorzystych tkanin do pończoch i koronek. Ich imiona nie przetrwały głodu, cięć płac i migracji, powolnego upadku osiemnastowiecznego chałupnictwa. Pojawiają się ponownie wraz z wynalezieniem krosna mechanicznego i śmiercią Paula Sturtevanta, podstarzałego rzemieślnika z fabryki Horrocksa w Stockport, który pewnego sierpniowego dnia w 1819 roku udał się piechotą aż do Manchesteru, żeby posłuchać przemowy radykała Henry’ego Hunta na St. Peters Fields.

Sturtevant wpadł pod kopyta kawalerii, która zaszarżowała na „Peterloo”, żeby przerwać wiec. Przeżył pomimo straszliwych obrażeń głowy, ale zmarł z powodu zakażenia dwanaście dni później.

– Majaczył o „idealnym czasie, który nastanie dla nas wszystkich” – wyjaśnił Lucas Pam. – Potrafił go opisać, nie miał on jednak przypominać naszego obecnego życia. Sześć córek zebrało się przy jego łożu śmierci. Najmłodsza z nich, Alice, która miała wtedy ledwie siedem lat, tak to wspomina: „Zanim umarł, wykrzyknął: »Cóż mnie obchodzi, że umrę, skoro robię to, czego pragnę?«”. Nasze rozumienie tej wizji zależy od naszej intuicji. Czy Serce na coś czekało? (Na pewno nie na coś, co mogłoby się wydarzyć w Manchesterze!). Możemy tylko stwierdzić, że ponownie czujemy jego bicie, nim zapadnie cisza. W ostatniej ćwiartce wieku jego spadkobiercy przeszli przez Rewolucję Przemysłową jak przez ogień. Nigdy nie udzieli im się poczucie Godscall, że istnieje coś poza tym światem, a zarazem w jej wnętrzu. Nigdy nie będą prorokować jak Sturtevant. Nie będą sobie pozwalać na gniew. Stłumią lęk, popęd, marzenia. Ich zdolność do przeżywania emocji została wypalona. Mogą tylko gonić za postępem. Zostają sprzedawcami.

Po każdych odwiedzinach na korytarzu Lucas zdejmował okulary i pocierał oczy.

– Jestem wykończony – mówił pielęgniarkom.

– Bardzo jej pan pomaga – zapewniały. Wiedział, że to zbyt prosta relacja. Pewnego dnia popołudnie zmieniło się w czternastą. Wtedy Rochdale już nie stanowiło dla niego takiej nieprzebytej gęstwiny. Zatrzymywał się w „Labiryncie Sosen i Róż”, żeby kupić dla niej wzorzystą srebrną bransoletkę z Nepalu albo zdjęcie czyichś wiktoriańskich przodków, które kobieta za ladą naiwnie umieściła w małej ramce w stylu art deco, gdyż według niej tak ładnie razem wyglądali.

Pam zareagowała na to lekką poprawą stanu fizycznego, która stanowiła jej własny nieśmiały dar. Budziła się wcześniej i częściej siadała na łóżku, okrywając ramiona niebieską kamizelką. Dzięki temu lepiej sypiała nocami. Chociaż jej skóra wciąż była bardzo blada, straciła mączny wygląd, który tak przerażał Lucasa na początku choroby. Ból oczywiście nie zniknął, ale łatwiej było go ignorować. Zaczęła angażować się w życie oddziału. Czasami ograniczało się to do rozmowy o wydarzeniach z „Emmerdale Farm”, ale nawet to jej pomagało: wcześniej wpatrywała się bezmyślnie w ekran, podczas gdy mydlane opery obmywały ją jak gładki kamyk w strumieniu, a teraz śledziła ich fabułę z chciwym rozbawieniem. Przeciwnieństwem niewinności nie jest ironia, tylko pustka. Gdy była w połowie „Złotego snu miłości”, pożyczyła go jednej z pielęgniarek, a ta zapomniała oddać książkę.

– Jak wyglądam z takimi włosami? – niepewnie pytała innych kobiet.

Przybrała na wadze. Malowała się.

Łatwo było dostrzec, że Lucas zrobiłby wszystko, by ocalić zachwyty, który dostrzegał na jej twa-

rzy, gdy wchodził na oddział. Na nowo odkrył, jak podniecające jest decydowanie o czyimś szczęściu, i czuł, że może to uleczyć wszystkie jego rany. Jednak to, co na nowo odkryła Pam, można było wyczytać tylko z jej wyraźnej chęci powrotu do zdrowia. Pielęgniarkom wydawało się, że wiedzą. Błędnie odczytując jej uśmiech, energię oraz uwagę, z jaką spoglądała na Lucasa, często spiskowały, żeby pozostawić go u niej na pół godziny po wyjściu pozostałych gości. Wiedziały, że po wyjściu od razu wróci do poczekalni i będzie wściekle coś pisał tanim czerwonym długopisem aż do siódmej, gdy rozpoczynają się odwiedziny.

– Wystarczy na nią popatrzeć – powtarzały sobie stażystki radośnie.

– Mnie on się nie podoba.

– Daj spokój!

Było za wcześnie, żeby wspominać o remisji, i uważały, żeby nie używać przy niej tego słowa. Czy Pam by je usłyszała? Lucas stale był przy niej i wręczał jej kamizelkę ratunkową, więc przynajmniej część jej umysłu mogła opuszczać szpital, tak jak się opuszcza okręt. Robiła to z ulgą. Nocami, obmywana delikatnym, fałszywym blaskiem morfiny, wspominała, jak, będąc małą dziewczynką, tańczyła na niskim murku (choć nie pamiętała, czyje ręce łapały ją raz za razem, gdy zeskakiwała). Wciąż spadając, za każdym razem ratowana, słyszała, jak Lucas mówi...

– Gdy Alice Sturtevant dorastała, była krucha i ładna, ale zaskakująco uparta. Na zdjęciu zrobionym, gdy była w średnim wieku, widzimy ją w niesamowitej czarnej jedwabnej sukni. Jeśli nawet ma sińce pod oczami jak wszyscy w jej rodzinie, to nie z powodu lęku, a determinacji. W 1835 roku wyszła za mleczarza nazwiskiem John Duck. To nazwisko, które po angielsku oznaczało kaczkę, bardzo ją bawiło, ale pragnęli tego samego, a on obiecywał życie pozbawione wizji.

Pochodził z Mottram, wioski położonej na wschód od Manchesteru w głębi doliny Longdendale, a gdy się pobierali, miał właśnie zainwestować swoje zyski z handlu mlekiem w niewielki sklepik przy starym szlaku solnym, niedaleko Packhorse Inn. Tam, w cieniu piętnastowiecznego kościoła, „katedry wschodniego Cheshire”, Alice pomagała mu sprzedawać warzywa na wagę (kawałek boczku przyklejono za pomocą własnego tłuszczu do podstawy szalek, żeby je „uregulować”), lekarstwa na kaszel pełne opium, które sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, oraz sznurowadła z gręplarki.

Alice miała siedmioro dzieci. Z pięciu dziewczynek jedna zmarła zaraz po urodzeniu, kolejna, w wieku trzech lat, na błonicę. Chłopcy przeżyli, co stanowiło prawdziwe błogosławieństwo. Była szczęśliwa, i nawet jeśli nie podobała jej się mroczna otchłań Longdendale, to zawsze mogła wspominać zachody słońca płonące ponad kominami Altdorfer.

John Duck tymczasem spoglądał na wschód. Dziesięć mil w górę doliny budowano linię kolejową, tunele oraz ciąg tam i zbiorników, które miały nawadniać przemysł Manchesteru. Od 1838 roku do końca wieku te obsesyjne prace ściągały potężne rzesze robotników do podupadłych wiosek Rhodewood, Woodhouse i Dunford Bridge. Warunki były fatalne. Mężczyźni, kobiety i dzieci ginęli w wyniku osiadania gruntu, przedwczesnych wybuchów i złych warunków mieszkaniowych, z niedostatku, przepracowania, zagubienia oraz smutku, i często grzebano ich na wrzosowiskach bez żadnych ceremonii, podobnie jak ofiary Iana Brady’ego i Myry Hindley sto lat później. Zdjęcia z tamtych czasów ukazują ich zgromadzonych przed „domami” w New Yarmouth – rozmazane twarze na pierwszym planie, za nimi niewyraźne dębowe lasy, a dalej wysoki czarny skraj wrzosowiska.

John dostarczał produkty spożywcze ocalałym. To był dobry interes i wszystkie dzieci się w niego włączyły, nie licząc młodszego syna, który w wieku trzynastu lat najwyraźniej zgłosił się do pracy jako robotnik w kamieniołomie.

W 1880 roku najstarszy William był już gotowy, żeby się usamodzielnic. John kupił dla niego trasę dystrybucji mleka w Salford i nauczył go, jak utrzymywać produkt w świeżości poprzez dodawanie formaliny. Po śmierci rodziców, który umarł w odstępnie dwóch miesięcy w 1900 roku, William sprowadził swoje siostry do Manchesteru i zlikwidował wszystkie trzy przedsięwzięcia, a także jeden

z pubów w Salford – „Rozdroże” – który zdążył kupić. To mu pozwoliło na zakup skromnego, ale dochodowego domu towarowego przy Victoria Street.

Zaczął od współpracy z trzema partnerami. Dwadzieścia lat później spłacił ostatniego z nich i postanowił ochrzcić sklep swoim nazwiskiem. Wtedy był to już największy dom towarowy w Manchesterze, a żona Williama – córka właściciela pubu z Burnley – przekonała go, że nazwa „Duck’s” nie brzmi dobrze. Badając historię rodziny, ostatecznie zdecydowali się na nazwisko panińskie jego matki, po namyśle zmieniając je ze Sturtevant na Stuyvesant. Stuyvesant! Europejsko, a zarazem transatlantycko; amerykańsko, a jednak arystokratycznie. William był zachwycony. Zmienił swoje nazwisko na drodze jednostronnego zobowiązania.

St. Ives na Sturtevant. Sturtevant na Stuyvesant. Potomkowie Godscall znaleźli drogę do nas. Serce ma swojego Spadkobiercę – zakończył Lucas.

\*\*\*

Czwartkowe popołudnie, oddział „Pierwiosnek”.

Pacjenci i odwiedzający prowadzą zdawkowe rozmowy.

– Rano jedliśmy tosty.

– Przesuń się, Nino, żeby babcia mogła usiąść. Ostatnio nie czuje się najlepiej.

– Dziękuję, kwiatuszk. Jak bóle głowy?

– W Ashton wszyscy marzyli o tostach. Nie myśleli o niczym innym.

– Jeszcze nie pora, prawda? Jeszcze nie pora. Przychodzą, żeby sprawdzić, czy odwiedzający sobie poszli?

– Trzeba było mieć operację, żeby dostać tosty. Albo leżeć na porodówce...

Śmiech.

– Nino, kochanie, jeszcze nie pora.

Tylko Pam i Lucas milczą. Opowiedziawszy swoją historię, Lucas odwraca się na kilka minut, jakby zawstydzony. Mając chwilę dla siebie, Pam patrzy na niego z namysłem. Popołudnie, wirując wokół swojej osi, wyodrębnia w bladym świetle kolejne wazony z kwiatami: tulipany, astry, lilie, „jak w buduarze jakiejś dziwki”. Na ekranie telewizora pies biegnie pośród śmieci w dokach pod rufą statku. Staruszka śpiewa kilka drżących nut.

– Ładnie, prawda? – pyta, po czym rzuca do przechodzącej pielęgniarki: – Ja śpiewam. Ha, ha.

Deszcz skrobie w szyby. W końcu Pam przerywa milczenie:

– Z jakiegoś powodu to mnie jeszcze bardziej smuci.

– Och, Pam!

Lucas się śmieje. Obejmują się.

– Pam, Pam, przypomnij sobie Walentyna: „Nie lękaj się. W śmierci nie umrzesz”. Od początku byłaś w Pleromie, tylko o tym nie wiedziałaś!

– Wystarczy tego dobrego, wy dwoje – nakazuje siostra oddziałowa, energicznie poprawiając pościel na pustym łóżku. – Czas się wynosić. No dalej, już szesnasta, zdążyliście się nagadać.

\*\*\*

Przez lata Lucas również starał się czerpać z tego mitu jak najwięcej pociechy. „Michael Ashman” pozwalał mu doświadczać idei Coeur tak, jakby pochodziła z zewnątrz, uwalniając go od odpowiedzialności i ocalając w nim intelektualne poczucie winy. Co zaś ważniejsze, „Ashman” ukrywał – a przynajmniej maskował – przecucie, którego Lucas lękał się w niemal komiczny sposób. Pam do-



skonale go rozumiała, w końcu był to ich wspólny sen. Ale chociaż akceptowała potrzeby Lucasa, zawsze ją one drażniły. Gdy tylko potwierdziło się to, co od dawna podejrzewała – że cała opowieść powstaje ze względu na nią – straciła zainteresowanie. Zwyciężył w niej pośpiech. Odłożyła Poszukiwanie jak krzyżówkę wypełnioną ledwo nakreślonymi propozycjami haseł i skupiła się na samym śnie.

Opowieść w coraz większym stopniu skupiała się na tajemniczej córce cesarzowej, Fenissie, o której Lucas powiedział: „Możliwe, że nie uciekła z ruin. W Pleromie wciąż słychać słaby, gasnący krzyk wściekłości i smutku, który może od niej pochodzić”.

Według Pam, sednem „umierania w świat” Fenissy była przeciwna trajektoria tego procesu niż w przypadku cesarzowej.

– Fenissa od początku pieprzyła się z generałem swojej matki, Laskarysem. Wystarczyło, że pojawił się obok niej, a wpadała w rodzaj radosnego paraliżu – czuła, że drży i wilgotnieje, gdy przechodził w odległości pięćdziesięciu jardów, nawet nie patrząc w jej stronę.

Wszystko zaczęło się sypać jeszcze na długo przed oblężeniem. Każdy to wiedział. Dwór był podzielony, cesarzowa lekceważąca. Chwasty wyrastały pomiędzy kamieniami. Studnie wysychały. Popołudniami miasto piekło się milcząco w skwarze. Laskarys i Fenissa spotykali się na niewielkich opuszczonych dziedzińcach za wewnętrznymi murami. Początkowo obchodził się z nią brutalnie. Pochylał ją nad wyschlą fontanną, wchodził w nią, gwałtownie kończył ze stęknięciem. Słońce bezlitośnie ich wtedy oświeślało: bezradnych, na wpół rozebranych z eleganckich szat, osłabionych seksem. Pod koniec, gdy dym z działa oblężniczego wisiał nad miastem jak strzępy czarnej szmaty, Laskarys wreszcie się odprężył. W jakimś pustym chłodnym pomieszczeniu, w którym na pokrytej płytami posadzce leżały porozbijane gliniane naczynia, ujmował tył jej głowy w dłonie i szeptał „Nie bój się”, z serdecznością, która w niewytłumaczalny sposób ją rozczarowywała.

Nagle wszystko się skończyło. Od dwóch nocy i jednego dnia zatoka płonęła. Zewnętrzne mury runęły, osłabione za sprawą dwudziestu dni ostrzału od strony lądu. Laskarys zginął wczesnym popołudniem, a cesarzowa dwie godziny później, niedaleko jednej z bram. Podobno głośno płakała i dzierżyła miecz, ale nie podaje się, dlaczego. Nikt nie był w stanie na nią patrzeć.

Kiedy jej matka konała, a Coeur gwałtownie wycofało się ze świata do Pleromy, Fenissa otrzymała wybór. Spędziła cały dzień w opuszczonym klasztorze, patrząc, jak powietrze wypełnia się pylistym blaskiem w kolorze płatków róży. Odgłosy bitwy ucichły. Słyszała pobliską fontannę, a także rozbrzmiewający w tle muzyczny motyw, pojedynczą frazę powtarzaną raz za razem na jakimś instrumencie strunowym. W końcu Laskarys, ubrany w swoją piękną zbroję, powoli przeszedł przez dziedziniec przed jej oczami. „Teodorze!”, załkała. W powietrzu unosiła się woń olejku kwiatowego zwanego sercem róży. „Teodorze!”. Odwrócił się do niej, a wtedy dostrzegła jego ranę; przypomniała sobie rany, które on jej zadał. Oczywiście już nie żył. Pomyliła tandetny blichtr świata z blaskiem Pleromy! Pobiegła w jego stronę; pragnienie pełni sprawiło, że wybrała świat.

Pam się roześmiała.

– Od tamtej pory się tam kurwi, przekonana, że jest w Niebie.

Lucas był zszokowany.

– Tego nie możemy wiedzieć – odparł.

– Cesarzowa wiedziała. Och, Lucasie, Lucasie! Łatwo jest mówić, że Świat i Coeur „płoną w tkance Pleromy, jak dwoje kochanków w cudownej ruinie pożądania”. Ale te słowa mogą znaczyć tylko jedno. Przed laty mówiłeś o „potężnym krzyku miłości i straty, który odbijał się echem nad Europą”.

– Ale kto najwięcej stracił?

– Jeżeli Coeur nie chciało się dłużej ujawniać, nie wolno nam za to obwiniać królów-najeźdźców i ich spisków. Wydało ostatnie tchnienie na długo zanim rozpoznano Gallikę po jej pięknej zbroi i wystawiono na widok jej zmasakrowaną głowę.

Zapadło milczenie.

W końcu przerwał je Lucas:

– Tego również nie wiemy.

Pam się uśmiechnęła.

– Nie wiemy, prawda? – odparła.

Wbijając w niego wzrok, wysunęła ręce wnętrzami dłoni skierowanymi ku górze w geście ważenia: jakby zadał niewłaściwe pytanie. Ale mimo że energia i zmysłowość jej wizji nieco wyprowadzały go z równowagi, Lucas zawsze dawał z siebie wszystko. Zdarzały się dni, gdy Pam opadała z sił.

– Jestem zmęczona, Lucasie – szeptała, mruganiem powstrzymując łzy i wpatrując się w łóżko stojące naprzeciwko. – Nie pamiętam spraw, które wydarzyły się tak dawno temu.

Żeby jej pomóc, opowiedział historię Ryszarda Lwie Serce, która miała następujący przebieg:

– Oczywiście, według tradycji Ryszard, wracając incognito do Anglii po Trzeciej Krucjacie, wpada w ręce austriackiego księcia Leopolda, który więzi go w Durnstein. Zostaje odnaleziony i uwolniony przez trubadura Blondela, który śpiewa pierwszy wers popularnej ballady przed każdą twierdzą w Europie, dopóki Ryszard nie odpowie mu drugim wersem. Tak naprawdę w 1193 roku miejsce Ryszarda zajął więzień nazwiskiem Hugh de Morville. Hugh, który na polecenie ojca Ryszarda pomógł zamordować Tomasza Becketa, podobno umarł z poczucia winy podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej. Jednakże poeta Ulrich von Zatzikhoven rozmawiał z nim w twierdzy w Durnstein. Zatem nie było Ryszarda. Czy był jakiś Blondel? Któż może wiedzieć. Ale z pewnością doszło do wymiany pieśni. Hugh de Morville przekazał von Zatzikhovenowi egzemplarz anglo-normańskiej „Legendy o Lancelocie”, której przekład autorstwa Zatzikhovena – mimo że znawcy uznają go za banalny i bezbarwny – należy uznać za jeden z późnych kwiatów niemieckiej poezji rycerskiej.

Nierozstrzygalny konflikt pomiędzy ideałem a rzeczywistością! Ryszard na rok znika z własnej historii. Dokąd się udaje, kiedy Morville podszywa się pod niego w Durnstein? Tylko kod zawarty w jego nazwisku pozwala nam to odgadnąć. Gallica nosiła w sobie krew Lwa – dodał Lucas.

– Daj spokój, Lucasie – przerwała mu nagle Pam. – Nie obchodzi mnie, kurwa, na jaki kolor krwawiła.

Po chwili znów go wyśmiała.

– „Ideał a rzeczywistość”!

W ten sposób, na zmianę tracąc i odzyskując pewność siebie, podążali Drogą Serca. Kompas Pam był ukryty, gruczołowy, trudny do odczytania: mniej romantyczny niż Lucasa. Była jednak równie zdeterminowana i ostatecznie być może lepiej wyczuwała właściwy kierunek. Stopniowo wracała do zdrowia, na co Lucas patrzył z podziwem, a pracownicy szpitala z zapartym tchem. Choroba się cofnęła. Po miesiącu Pam została wypuszczona do domu, chociaż była za słaba, żeby samodzielnie się sobą zajmować, i wciąż potrzebowała leczenia poza szpitalem.

Od tamtej pory Lucas zaczął spędzać każdą wolną chwilę w jej domu, chociaż na noc zawsze wracał do Manchesteru. Nie umiał gotować, więc po zakończeniu lekcji w Sainsbury przywoził tak zwane „szybkie dania dla klasy średniej” – nadziewany makaron i puszki z ratatouille – a wieczorami zajmował się domowymi pracami (rzadko spełniał standardy sąsiadów Pam, którzy wpadali w ciągu dnia i po nim poprawiali). Pam dużo sypiała; Lucas siadał obok łóżka i pisał listy do mnie, czerwonym długopisem na papierze w linie. „Staramy się jak najczęściej korzystać ze świeżego powietrza”. W weekendy wynosił ją do samochodu i woził po okolicy, odwiedzając kolejne piękne zakątki – gdzie mogła patrzeć na staw i las bez konieczności opuszczania auta – albo oprowadzał ją na wózku po handlowych pasażach Huddersfield. Opowiadał mi, że kiedy ją podnosił, miał wrażenie, że trzyma tylko rozgrzane kości pozbawione ciężaru.

Pewnej soboty pod koniec sierpnia przejeżdżali przez Dunford Bridge, obok ich dawnego domu.

– Patrz, Lucasie!

Zaparkował na trawiastym poboczu w miejscu, w którym droga schodziła na północ w głąb doliny porośniętej bukami i karłowatymi dębami. W dolinie było pełno mgły, która z kolei była pełna słońca. Dziwne brązowe światło padało na splątaną trawę przed domem. Zza budynku unosił się pióropusz fioletowego dymu, tak gęstego i wyraźnego, że przypominał ciało stałe.

– Opuść szybę – odezwał się Lucas. Przyglądał się domowi.

– Dobry Boże.

Znów zabrali się za niego robotnicy. Otworzyli jeden szczyt i tymczasowo go zapieczętowali wytrzymałym polietylenem. Wyjęli okna z przodu domu, a kamienie nad nimi zabezpieczyli stemplami do czasu zamontowania nadproży. Żółta koparka stała z opuszczoną łyżką pośród ubłoconych pniaków po drzewach głogu, które wyrwała z ogrodu za domem, gdzie dwaj mężczyźni palili kilkanaście metalowych krzesel. Pozostały tylko ramy, bezpowrotnie splątane i otoczone płomieniami.

Lucas przepchnął Pam na drugą stronę drogi i przez bramę.

– Rozejrzyjmy się.

– Biedny ogród! – zawołała Pam. Przyjrzała się pustym oknom. – Chyba tutaj zostanę.

– Co za labirynt!

Dom zawsze był za duży i zbyt skomplikowany; być może nie tylko dla nich, ale dla każdego. Gdy się wyprowadzili, kupiły go lokalne władze i przekształciły w dom opieki dla dzieci z zaburzeniami, coś w rodzaju instytucji przejściowej dla niepewnych młodych ludzi na progu pełnoletności. Teraz za sprawą cięć wydatków budynek wrócił w prywatne ręce i według informacji na tabliczce miał się zmienić w niewielką elegancką „posiadłość” złożoną z pięciu albo sześciu domów otaczających dziedziniec. Lucas zajrzał przez jedno z okien i spróbował sobie to wyobrazić. Widział tylko pusty pokój, kwiecistą tapetę, zapyłone powietrze przecięte ukośną smugą światła. Przez chwilę kręcił się pomiędzy zrujnowanymi budynkami gospodarczymi, zbierając kawałki połamanych listew, pochylił się nad stertą nowych żółtych rur kanalizacyjnych, po czym wrócił do ogrodu przed domem, gdzie zostawił Pam. Próbowowała uśmiechać się przez łzy. Żeby ją pocieszyć, powiedział:

– Uwielbiałem ten widok.

– Nie przepadałeś za tym domem.

– Nigdy nie był dla nas szczęśliwy – przyznał.

Dotknęła jego dłoni.

– Cieszę się, że wreszcie coś z nim robią – stwierdziła. – Ty nie?

Zaczął pchać jej wózek z powrotem do samochodu.

– Wiesz, czego najbardziej mi brakuje, Lucasie?

– Czego?

– Papierosów.

– Wytrzymaj nos.

\*\*\*

Od początku wiedzieli, że nie wolno im nigdy wypowiedzieć słowa „przerzut”. Ale we wrześnie wykryto nowotwór w drugiej piersi. Stamtąd rak rozprzestrzenił się jak pożar. Jak z goryczą mówił Lucas, w Pam nie pozostało już prawie nic, co mogłoby spłonąć. Na wypadek, gdyby coś dało się zrobić, lekarz skierował ją do Christie’s, szpitala onkologicznego w Manchesterze, gdzie Pam poddano najnowocześniejszej diagnozie, zabiegom rozpoznawczym, a następnie drugiej amputacji, po czym przysłała pora na naświetlania. Za późno. W listopadzie Pam była już bardzo chora, a w grudniu wiedzieliśmy, że umrze.

Lucas zadzwonił do mnie kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

– Lepiej przyjedź – powiedział.

Nagle zaszlochał i odłożył słuchawkę.

# DWANAŚCIE

## TRANSFIGURANTE

Następnego dnia przed dwunastą mój pociąg powoli wtoczył się na dworzec Manchester Piccadilly. Miałem ze sobą ubranie na zmianę oraz egzemplarz „Racconti romani”. Czekaając, aż pociąg się zatrzyma, odsunąłem szybę i rozejrzałem się po peronie: zobaczyłem Lucasa, który czytał plakaty biura podróży przed barem, grzejąc dłonie o styropianowy kubek. Miał na sobie rozpięty kaszmirowy płaszcz, a pod spodem cienką szarą bawełnianą koszulkę ze słowem „Technika” nadrukowanym zaokrągloną czerwoną czcionką, która przypominała napis szminką na lustrze. Wokół szyi dwukrotnie owinął długi czarny szal. Garbił się, tak że wyglądał nie tylko na zmarzniętego, ale także bezbronno. Zastanawiałem się, od jak dawna tam stoi. Pociąg dwa razy szarpnął i wreszcie się zatrzymał. Otworzyłem drzwi i wysiadłem, krzywiąc się pod wpływem zimnego powietrza. Kiedy przejeżdżałem przez południową równinę Staffordshire, zaczął padać deszcz ze śniegiem, który w Stockport zmienił się w mokry śnieg. Na Piccadilly czuć było woń turbin gazowych, acetylenu i diesla.

– Lucasie!

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Jak się masz? – spytałem.

– Ostatnio trudno mi się rozgrzać – odpowiedział. – Zwłaszcza rano. – Podał mi kubek. – Masz ochotę? To gorąca czekolada. Nie? Nie radzę sobie z tym zimnem. Pewnie się starzeję. – Przypomniałem mu, że w tym roku obaj skończyliśmy czterdzieści lat: jeśli on był stary, to ja także. Był na tyle miły, że się roześmiał. Poinformował mnie, że szpital znajduje się niedaleko, chociaż o tej porze panuje duży ruch. – Od razu tam jedźmy. Mam niedaleko samochód. – Nieśmiało dotknął mojej ręki. – Pam bardzo się ucieszy z twojej wizyty!

– Za cienko się ubierasz – zauważyłem. – To dlatego ciągle ci zimno. – Kiedy brnęliśmy przez śnieg zalegający na parkingu, ostrzegłem go: – Lucasie, nie mam dużo czasu. – To było ważne, żeby nie spodziewał się za wiele. – Najwyżej tydzień. Kit i Katherine chcą, żebym spędził święta w domu.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy zrozumiał.

– No tak – rzekł w końcu. – Czyli lepiej, żeby zawinęła się w ciągu najbliższych kilku dni.

– To nie byłoby w porządku wobec nich, Lucasie.

Z bladym i nieszczęśliwym obliczem otworzył mi przednie drzwi po stronie pasażera, a następnie obszedł renaulta, żeby wsiąść samemu.

– Przepraszam – powiedział, gdy tylko odgrodził się ode mnie samochodem. – Nie powinienem być tego mówić. Oczywiście, że musisz wrócić. – Uruchomił silnik i włączył ogrzewanie. Przednia szyba zaparowała. Wycieraczki trzepotały tam i z powrotem, z cichym łomotem spiętrzając topniejący śnieg na szkle. – Jaka jest pogoda w Londynie?

– Brzydka – odpowiedziałem. – Jak w całym kraju. – Czuję się pusty pod wpływem jego cierpienia. – Lucasie, może nas odwiedzisz, przynajmniej w pierwszy dzień świąt?

Wrzucił bieg.

– Wtedy ona zostałaby sama – odparł.

\*\*\*

Oddział trzeci był długi i wąski, z wysokimi oknami skrzydłowymi, tuzinem łóżek po obu stronach i czerwonym znakiem „Umywalnia strefy 3” na jednym końcu. Później wspominałem, że panowała tam upiornie elegancka atmosfera, która kojarzyła się z Bożym Narodzeniem w obozie koncentracyj-

nym. Naświetlenia i chemioterapia odebrały kobietom energię. Włosy im powypadały. Mimo to na oddziale panował dobry nastrój, a pod wpływem morfiny pacjentki często były wesołe i otumanione jak małe dzieci. Na każdym wychudłym nadgarstku tkwił biały plastikowy pasek, który ograniczał ryzyko podania niewłaściwych leków i zdejmował z ramion chorych część odpowiedzialności. Były wymizerowane, a zarazem dziecinne, ograniczone do nazwiska, wieku i numeru, pod którym je przyjęto. Nie potrzebowały niczego więcej, chyba że akurat chciały zwymiotować: wtedy otrzymywały przedmiot, który przypominał melonik z papier-mâché.

Twarz Pam składała się tylko z kości, żółtawobiałej skóry i oczu tkwiących w głębokich czarnych zagłębieniach niewiele większych od samych gałek. Wydawało się, że ledwie nas poznaje. Może, chcąc się chronić przed wspomnieniami, zaczęła trzymać świat na dystans. Jeśli miała żyć, to tylko poza swoją chorobą. Dlatego rozmawiała głównie o oddziale i innych pacjentkach.

– Pani Eddy jutro wychodzi – powiedziała. Nie mieliśmy pojęcia, kim jest pani Eddy. – Nazywamy ją „Mary Baker”. Każdy dostaje jakieś imię. To jej mąż – poinformowała, po czym dodała z zawadą pogardą: – Niby jak on ma się nią sam zajmować...! – Potem coś innego przyciągnęło jej uwagę.

– Widzicie tamtą staruszkę? Nie, tamtą. Właśnie idzie na naświetlanie. Kiedyś nazywaliśmy ją „Steve Ovet”.

Staruszka najwyraźniej była wyleczona, ale potrzebowała ćwiczeń, żeby odzyskać siły przed wypisaniem ze szpitala, dlatego dwa razy dziennie przez kwadrans posłusznie spacerowała po oddziale z chodzikiem, szorując nim po zniszczonej wypolerowanej podłodze i powtarzając wszystkim:

– Kiedy stąd wyjdę, wystartuję w maratonie.

– I wygrasz!

Niespodziewane problemy z krążeniem sprawiły, że trzeba jej było amputować lewą nogę tuż pod kolanem. Od tamtej pory, jak twierdziła Pam, przezwisko „Steve Ovet” stało się nietaktowne. Starsi ludzie zazwyczaj byli pogodni, „ale coś takiego każdego by zaszokowało”.

– Więc jak ją teraz nazywają?

– Długi John Silver.

Patrzyliśmy ze skupieniem, jak dwie pielęgniarki zawiązują pończochę staruszki poniżej kikuta, pomagają jej włożyć szlafrok ozdobiony kilkoma odcieniami błękitu i sadzają ją na wózku inwalidzkim.

– Muszę się sztachnąć przed wyjściem! – zawołała. – Muszę zapalić.

Pielęgniarki ją uciszyły. Rozbawione śmiałością ironii, pozostałe pacjentki zaczęły wołać: „Tarro, padnij!”, gdy odprowadzono staruszkę, „Tarro!”.

– W tym miejscu wszystko toczy się w dwóch tempach – nagle odezwała się Pam. – Powoli albo śmiertelnie nieruchomo. – Potem najwyraźniej zasnęła, ale kiedy wychodziliśmy, dotknęła mojej ręki i się uśmiechnęła. – Cieszę się, że przyjechałeś – powiedziała. – Opiekuj się Lucasem.

\*\*\*

Kiedy tkwiliśmy w korku na Oxford Road, Lucas wyglądał z samochodu na chodniki pokryte mokrym śniegiem, ludzi pośpiesznie robiących zakupy, resztki grudniowego popołudnia.

– Wszystko zniknie do jutra – rzekł. – Taki śnieg długo nie poleży.

Zajmował duże mieszkanie na ostatnim piętrze wiktoriańskiego domu.

„Całe pokolenie zniknęło w takich miejscach”, napisał do mnie tuż po rozwodzie, jakby kiedyś musiał skończyć w jakimś wynajętym pokoju ze wspólną łazienką i schodami pokrytymi linoleum. „Co teraz mają? Regał pełen nieaktualnych tekstów socjologicznych i starych zapisków. Zawsze chcieli pojechać do Budapesztu, ale jakoś im się nie udało”. Jak zwykle dostrzegał tylko to, co chciał.

Było już prawie ciemno, gdy wspięliśmy się po schodach. Na górze wydarzyło się coś dziwnego.

Kiedy Lucas stał przed drzwiami wejściowymi, szukając kluczy w pełnym pajęczyn szarym świetle, usłyszałem cichy, niewyraźny hałas wewnątrz mieszkania.

– Lucasie! Ktoś tam jest!

Lucas przez chwilę sprawiał wrażenie zaniepokojonego, ale potem roześmiał się i wyjaśnił:

– Tak się dzieje za każdym razem, gdy sąsiedzi puszczają wodę. Mamy ściany jak z kartonu. –

Otworzył drzwi. – Pójdę przodem. Niełatwo znaleźć włączniki światła.

W mieszkaniu były dwie sypialnie, wysokie sufity zdobione sztukaterią i centralne ogrzewanie. Lucas napełnił olbrzymi salon – który pełnił także funkcję pracowni – atmosferą roztargnienia, jednego dnia kupując wyposażenie w sklepach z rupieciami, a następnego w salonie Habitat. Dlatego złote brokatowe poduszki zadawały się z czarno-chromowym krzesłem, a malutka żarówka w bardzo współczesnej przekrzywionej lampce oświetlała sofę przykrytą chintzem. Wykładziny były blade i neutralne, dywany – staroświeckie i wzorzyste. Na półkach stała typowa mieszanka książek – Bruno Schultz obok Henry’ego Millera, „Rytualne maski zwierzęce” Cawte’ego, prace europejskich historyków oraz współczesnych krytyków literackich. Frontowe okna kiedyś wychodziły na ogrody przypominające londyńskie place, ale pozostało po nich tylko kilka drzew i oryginalnych płotów. Lucas zaciągnął zasłony, włączył gazowy grzejnik i zatarł ręce.

– Przepraszam za bałagan – rzekł. – Nigdy nie mam czasu posprzątać.

Całą podłogę zaścielała ciemna, torfiasta ziemia poprzetykana resztkami jakiejś rośliny doniczkowej. Sama roślina, dosyć okazały skrętnik, leżała w kącie pośród opadłych grubych białych płatków, które wyglądały jak rozsypane krakersy z krewetek.

– Wczoraj wieczorem spadła mi z kominka – wyjaśnił Lucas na odczepnego.

Podejrzywałem jednak, że cisnął nią przez pokój pod wpływem wściekłości albo żalu. Tak czy inaczej, wykładzina do niczego się nie nadawała. „Zawsze był taki nieporządny!”, mawiała Pam. To wyjaśnienie – że Lucas jest jak dziecko – nigdy całkowicie nie uwolniło jej od lęku, że kryje się w nim jakiś rdzeń gniewu, którego nie potrafiła zrozumieć ani ukoić. „Taki nieporządny i wrażliwy na zranienie”.

Lucas kiedyś był jej życiem. Teraz często w ogóle o nim zapomniała. Wyzwolona przez chorobę, która postawiła ją w centrum uwagi, godzinami o czymś opowiadała, aż w końcu zasypiała w połowie zdania, albo w ogóle nie chciała się odezwać, wycofując się, jakby obwiniła nas za swój stan. Kołyszając się na huśtawce bólu i morfiny, korygowała swoje wspomnienia, na nowo przeżywała dzieciństwo w Cheshire i Silverdale, mówiła językami: wstydliwym szeptem małej dziewczynki, grzmącym śmiechem ojca, czułym gruchaniem matki. Ten upiorny archeologiczny teatr nigdy nie był kompletny. Potrzebowała pomocy, której nie mogliśmy jej udzielić, zadawała pytania, na które nie potrafiliśmy odpowiedzieć, łkała rozpaczliwie, gdy nie udawało nam się uzupełnić szczegółów, które zapomniała.

Miała trzy latka i uciekała w stronę morza z zabawką innego dziecka. To był nadmuchiwany konik. Niebieski. Ale jaki to był odcień niebieskiego? Lucas nie pamiętał. Jak mógł jej to zrobić?

– W takim razie idź sobie! – odparła. – Idź sobie.

Jej inne relacje były równie pomieszane.

– Traktuj mnie tak wspornie, niezależnie od okoliczności – rozpływała się nad lekarzami i pielęgniarkami, by za kilka minut błagać: – Musisz mnie stąd zabrać! Niczego mi nie mówią!

Dzieliliśmy się odwiedzinami. Jako że Lucas rzadko mógł: wyjść ze szkoły przed szesnastą, przychodziłem do niej popołudniami. Lucas zmieniał mnie po pracy. Wieczorami starałem się jak najczęściej zostawiać ich samych. Chodziłem do kina, jadałem w McDonald’s, dzwoniłem do Katherine ze zniszczonej przez wandalę budki przy Oxford Road – „Halo. Kocham cię. Halo?” – a następnie wracałem do domu i próbowałem posprzątać mieszkanie Lucasa. Popołudniami Pam czuła się najlepiej. Pomiedzy dwiema dawkami morfiny czasami na pół godziny zmieniała się w Pam Stuyvesant, którą

pamiętałem.

– Czyż te mieczyki nie są piękne? – zachwyciła się. Albo pytała: – Wyglądałeś przez okno? Ten widok nigdy mi się nie nudzi.

Za falistą wiktoriańską szybą widać było, że śnieg stopniał, ukazując kilka drzew oraz chwiejące się płoty z desek, o tej porze roku pokryte ciemnozielonymi porostami. Nieco rozcieńczonego słonecznego blasku ukośnie padającego z drugiej strony ulicy, który aż się prosił o szron, jagody ostrokrzewu, jedną energiczną postać albo jedno wydarzenie, które mogłoby upodobnić całą scenę do świątecznej kartki.

Dla Pam to nie miało znaczenia.

– Poprawia mi humor, naprawdę.

Jednakże odzyskana jasność umysłu niosła ze sobą pułapki. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem Lucas wcześniej wrócił do domu.

– Przez całą moją wizytę tylko gapiała się w telewizor. Oglądała „9 Wspaniałych”. Cały, kurwa, czas! Mieści ci się to w głowie?

Później, kiedy już ochłonał, dodał:

– Sprawiała wrażenie przerażonej. Pewnie nigdy się nie dowiemy, co naprawdę widziała.

Ja wiedziałem.

\*\*\*

– Jak się czujesz?

Piętnasta trzydzieści: szpital Christies. Po drugiej stronie oddziału tłusta kobieta zajmująca łóżko oddalone o dwa miejsca od posłania Pam wstała, wzięła swoją torebkę i ponownie gwałtownie usiadła. Miała na sobie spódnice z angory i szal, a na głowie kapelusz, który wyglądał, jakby zrobiono go z wykładziny. Od pół godziny usiłowała wyjść.

– No cóż, do widzenia, kochanie – mówiła wesoło za każdym razem, gdy wstawała. – Zobaczymy się jutro o tej samej porze.

Powietrze na trzecim oddziale było brązowe i ciemne. Od czasu do czasu kolorowy blask telewizora rozświetlał je jak słońce przeświecające przez poruszające się gałęzie, odkrywał bladą twarz Pam i przesuwiał jej kości policzkowe tam i z powrotem jak ruchomą płaskorzeźbę. Miała szeroko otwarte, ale znużone oczy i głos pełen subtelnego obrzydzenia.

– Tak samo.

Wydawało się, że chce coś dodać, ale w końcu tylko ze znużeniem machnęła ręką w stronę ekranu.

– Dzisiaj to najlepsze podsumowanie.

– Co to za program?

– A jak myślisz? – odparła.

Trudno było powiedzieć. Chaotyczne twarze i kończyny filmowane z ręki pod dziwnymi kątami, ginące pośród zakłóceń, przeplatano ujęciami owiec i kóz biegających po pustym kamiennym budynku. Stopniowo oba obrazy połączyły się, tworząc coś w rodzaju wilgotnego akwarelowego pejzażu – błoto i skały oddane umbrą, niewyraźne zwierzęta, kolejna zalekniiona twarz wyglądająca na zewnątrz. Potem, przy wtórze serii rozbłysków i zaciemnień, na ekranie zaczęły się pojawiać kolejne niegeometryczne kształty, które delikatnie pulsowały jak organy w ciele. Po kilku chwilach kolory całkowicie wyblakły, jakby telewizor się rozregulował. Białe plamy rytmicznie łączyły się i rozdzielały na jednolitym szarym tle.

– Zobacz! – odezwała się Pam.

Obraz ponownie się wyostrzył. Dostrzegłem płataninę białych kończyn i jak najszybciej odwróciłem wzrok. W tej samej chwili pojawił się dźwięk. Cichy monotony głos opowiadał:



– Popołudniami było zbyt gorąco, żeby usiedzieć na miejscu. Kładła się na plecach na sofie z podciągniętą spódniczką i dłońią między nogami. Zawsze miała wilgotne majtki. Nocami kucała nad nim, wpychała w siebie jego kutasa i szybko poruszała się w dół i w górę, stękając i dysząc, dopóki nie doszła.

– Chryste!

– Spytaj innych, co oglądają – rzekła Pam. – Na pewno nie to.

– ...to – powtórzył głos z telewizora. – Jego kutas zmiażdżył i wypadł. Mieszanka spermy i soków wypłynęła pomiędzy ich włosy łonowe, by tam wystygnąć i zaschnąć.

Biedna Pam! Drżała. Kiedy próbowałem ją objąć, odsunęła się.

– Nie. Nie.

\*\*\*

– To morfina, Lucasie.

– Pewnie tak – przyznał. – Pewnie masz rację.

Morfina, ulga dla serca, zawias prawdy. Jego również zaczęły dręczyć niespokojne myśli, od których nie znajdował wytchnienia. Jeszcze bardziej by go zasmuciło, gdyby się dowiedział, że Pam potrafi przeniknąć wzrokiem teleturniej i ujrzeć białą parę, która wisi wewnątrz każdego telewizora, uśmiechając się do niej, szczepiając się, popychając, dysząc i obracając jak poczwarka w żywopłocie. Chcąc zmienić temat, spytałem:

– Co mam z tym zrobić?

Postanowiliśmy, że posprzątam w kuchni. Blacha do pieczenia, kamionkowe żaroodporne naczynia różnych rozmiarów, przypalona kuchenna rękawica w kształcie ryby: miałem wrażenie, że Lucas stale się zastanawia, czy nie położył czegoś w niewłaściwym miejscu podczas przeprowadzki przed kilku laty. Gotowanie zajmowało mu kilka godzin, a zmywanie trwało jeszcze dłużej.

– Nie wiem.

Tamtego wieczoru znów zaczął padać śnieg. Zimowa pogoda ciągnęła szerokim frontem przez północny zachód. W telewizji zapowiadano silne opady i lekkie wiatry. Położyłem się wcześniej, ale wkrótce się obudziłem, zaskoczony. Północ. Śmiech wzmocniony zimnym powietrzem. Mężczyźni i kobiety wciąż brnęli przez śnieg, trzymając się pod ręce, ze stopami skierowanymi do zewnątrz i ciemnymi, kulistymi głowami, szczelnie owiniętymi dla ochrony przed zimnem. Ludzie uwielbiają śnieg. Przez chwilę leżałem, nasłuchując, zastanawiając się, co mnie obudziło. Nagle usłyszałem łomot i cichy krzyk dobiegający z pokoju Lucasa, a zaraz potem donośny huk i łoskot, jakby ktoś łamał i rozrzucał krzesła w salonie.

– Lucasie! – zawołałem. – Wszystko w porządku? – Nigdy nie sypiał spokojnie, urządzał nocne wędrówki, walcząc z koszmarnymi snami albo udając się do toalety, gdzie hałaśliwie sikał pośród cizy. Nigdy jednak nie zapalał światła. Podejrzewałem, że w końcu o coś się potknął.

– Lucasie?

Odpowiedział coś niewyraźnego, ale uspokajającego, a potem wykrzyknął tak przerażonym głosem, że zerwałem się z łóżka i podszedłem do drzwi. Nic nie brzmi gorzej niż podniesiony głos w cudzym domu nocą. Złe sny, choroba, rozpacz przed świtem: nie wiadomo, jak się zachować. Z obu sypialni wychodziło się na wąski korytarz pomalowany na biało, na którego jednym końcu znajdowało się pozbawione zasłon okno wpuszczające blask odbity od śniegu zalegającego na ulicy. W tym zimnym, ale pogodnym świetle wyraźnie widziałem zdjęcia na ścianach po obu stronach drzwi Lucasa, fotografie w antyramach dokumentujące wizytę w jakimś egzotycznym kraju, może Turcji albo Afganistanie, gdzie jaskrawe słońce wlewało się przez głęboko osadzone okno na ozdobione szerokimi pasami dywany w kolorze pomarańczy i ochry. Stałem tam w samych majtkach, drżąc z zimna.

Kiedy zapukałem, hałas przybrał na sile. Coś ciężko uderzyło w drzwi, które aż się ugięły. Popchnąłem. Drzwi stawily opór. Znów zapadła cisza.

– Lucasie?

Żadnej odpowiedzi.

– Lucasie!

Już miałem się odwrócić, gdy nagle drzwi stanęły otworem, a Lucas tak gwałtownie wystawił głowę, że cofnąłem się pod ścianę korytarza. Trudno było stwierdzić, co mu się stało – lampka w jego pokoju migotała jak uszkodzona świetlówka – ale miał bladą i brudną twarz, a po jego policzku spływała krew z rozcięcia nad oknem.

– Czego chcesz? – spytał z irytacją, jakbym to ja wołał o pomoc w środku nocy.

– Lucasie...

– Nie musisz wchodzić – przerwał mi. – Miałem niewielki wypadek. Wracaj do łóżka. – Przytknął drzwi, tak że widziałem tylko jego lewe oko i rozcięcie ponad nim, opuchnięte i otoczone niebieskim siniakiem. Lucas dygotał. – Wracaj do łóżka – powtórzył. – Wszystko w porządku.

– Lucasie...

Drzwi gwałtownie się zamknęły.

– Lucasie!

Cisza.

Wróciłem do pokoju dla gości i przez jakiś czas stałem przy oknie z ramionami owiniętymi kołdrą, wyglądając na ulicę. Śnieg pod każdą sodową latarnią miał pomarańczowy kolor: nieco dalej zabarwiał się na delikatny, drżący róż, kolor na skraju widzialności, skromny, nieśmiały, zagrożony. Chociaż Pam wciąż żyła, Lucas już był w żałobie. Mówimy, że ludzie opuszczeni są bardziej wściekli niż zatrwożeni, a ja obawiałem się, że wściekłość Lucasa go zniszczy. Jak można chronić kogoś przed smutkiem, który skłania go do rzucania meblami w środku nocy? Może to było niewłaściwie postawione pytanie. Ulica już opustoszała. Samochody zostawione na noc przed budynkiem stały się dziwaczne i bezkształtne. Wiedziałem, że rano będą wyglądały jak wyrzeźbione ze styropianu – ślepe, obłe modele na wczesnym, nieciekawym etapie projektowania.

\*\*\*

Następnego dnia Pam przeniesiono na niewielki poboczny oddział. Siostra oddziałowa poinformowała nas, że jej ataki bólu i majaków przeszkadzały innym pacjentkom. W nowym miejscu łatwiej będzie sobie z nią poradzić.

– Poradzić sobie z jej śmiercią – rzekł z goryczą Lucas.

Pam robiła dobrą minę do złej gry.

– Jak miło mieć własny pokój – stwierdziła, ale podejrzewałem, że wolałaby się nie przenosić. – Na oddziale trzecim leżały niezłe numery, prawda? – spytała, jakbym też tam przebywał, po czym się roześmiała. – Och, Lucasie, czyż ludzie nie są dziwni?

– Nie jestem Lucasem – odrzekłem.

Ujęła mnie za rękę.

– Wiem o tym, naprawdę. Powiedz mu, że go kocham.

To była jedna z ostatnich przytomnych rzeczy, które do mnie powiedziała.

\*\*\*

Kiedy późnym popołudniem wróciłem do mieszkania Lucasa, odkryłem, że wpadł do domu w porze lunchu i wyrócił wszystko do góry nogami. Pootwierał wszystkie wewnętrzne drzwi. Wyniósł tale-

rze z kuchni i roztrzaskał je w wannie. Po kuchennej podłodze walały się kawałki stolika, który stał przy łóżku. Chociaż uznał, że korytarz przed sypialnią będzie najlepszym miejscem na wyrwanie roślin z doniczek, starannie pokrył cienką warstwą ziemi wszystkie dywany i wykładziny. Umywalkę w łazience rozbił kilkoma uderzeniami młotka. Opróżnił niektóre szafki w kuchni i rozrzucił ich zawartość w intensywnym bladym blasku świetlówek – zupa w proszku, makaron, placki kukurydziane, kawa ze sklepu Marks & Spencer, olej roślinny i węgierskie czerwone wino utworzyły zastygającą maź na podłogowych płytkach. Jednakże największe zniszczenia dotknęły salonu. Lampy straciły abażury. Krzesła zostały powywracane. Pełen nabożnego lęku patrzyłem na zdjęcia Lucasa, które leżały przełamane na pół, jakby ktoś strzaskał je na kolanie, na powywracane regały z książkami na środku pokoju i tomy rozsypane jak kamienie na piargu, oraz na pęk cienkich kolorowych kabli, które były jedyną pozostałością po telefonie. Pod wpływem smutku Lucas podarł swoje koszule. Na koniec wyciągnął wszystkie dokumenty z szafki w sypialni i rozrzucił je na wierzchu sterty. Zupełnie jakby planował rozpaścić ognisko w bawialni.

Stałem jak wryty, starając się ogarnąć skalę zniszczeń. W mieszkaniu było tak cicho, że niemal można było usłyszeć, jak włókł większe przedmioty z pokoju do pokoju, dysząc z wysiłku, może łkając, powtarzając raz za razem: „Łatwiej poradzić sobie z jej śmiercią. Łatwiej poradzić sobie z jej śmiercią”.

– Lucasie, na miłość boską.

W ciągu godziny poustawiałem regały z książkami, odkurzyłem wykładziny i umyłem podłogę w kuchni, a także wrzuciłem zdjęcia do kubła na śmieci. Większość książek była nieuszkodzona, ale umieszczenie ich na półkach zajęło mi kolejną godzinę. Do dwudziestej zgarnąłem wszystkie dokumenty na jedną stertę, zaparzyłem sobie kawę i zabrałem się za ich segregowanie. Wpychałem pogniecione kartki formatu A4 do starego niebieskiego harmonijkowego segregatora, gdy nagle mój wzrok padł na pierwsze zdanie następującego akapitu:

„Przez dwie noce i jeden dzień zatoka płonęła. Tak czy inaczej, nie ma ucieczki z głębi znaczeń. Cesarzowa Gallica XII Hierodule, siedząca w siodle i ubrana w wypolerowaną zbroję płytową, ale – w odpowiedzi, jak sądzili niektórzy, na sen, który miała jako dziecko na dworze francuskiego króla Karola VII – bezbronna, czekała razem ze swoimi kapitanami, Teodorem Laskarysem oraz dwudziestotrzyletnim angielskim łowcą przygód Michaeliem Neville’em (później znanym jako „Michael z Andegawenii”) na ostatni atak na cytadelę. Zewnętrzne mury już były osłabione po trzech tygodniach ostrzału od strony lądu. Przypominająca labirynt prochownia była niemal pusta. Dym z armaty oblężniczej unosił się w blasku słońca, czasami jak strzępy szmat, a czasami jak gęsta czarna mgła”.

Poszukałem tytułu na szczycie strony. „Piękni pływacy”.

– Co ty knujesz, Lucasie?

Byłem zafascynowany. Ułożyłem kartki we właściwej kolejności, zaparzyłem sobie kolejną kawę i zacząłem od początku...

„Wszędzie beton na betonie. Po wojnie wszystkie miasta nad Dunajem wyglądają jak Birmingham. Kiedy byłem chłopcem, wciąż można było zobaczyć, że kiedyś stanowiły one mroczny rdzeń Europy. Jeśli pojechało się na południe i wschód, nowa Austria podążała za tobą jak secesyjny stojak na ciasto pełen starych wiedeńskich kremówek, a ty błędziłeś pośród stromych brukowanych uliczek, na których unosiła się woń dymu z węglowych pieców, papryki i świeżej skóry od siodlarza”.

Maszynopis, chociaż miał sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt tysięcy słów, był niekompletny: życie „Michaela Ashmana” pomiędzy 1947 a 1968 rokiem naszkicowano za pomocą opatrzonych przypisami wycinków z „News Chronicle” oraz innych gazet z epoki. Pod nielicznymi wyblakłymi zdjęciami widniały podpisy „Ashman w ogrodzie w Catesby” albo „Ciotka Ashmana” oraz dopiski długości kilku tysięcy słów. Kreatywna rewizja historii autorstwa Ashmana została dokładnie udokumentowana, a także uzupełniona o wnioski, które z niej wysnuł, w przypisach odwołujących się do tak róż-

nnych pisarzy jak Gilbert Murray („Pięć etapów religii greckiej”, 1933) i Norman Cohn („Milenijne dążenia”, 1957). Kilka fragmentów zachowało się na oryginalnych widokówkach, które Lucas wysyłał do Pam w pierwszych latach ich małżeństwa. Większość tekstów napisano na starej maszynie „Olivetti”, z pojedynczymi odstępami i bardzo wąskimi marginesami, ale sporą część Lucas napisał odręcznie długopisem na perforowanym papierze w linie, jakiego używają uczniowie. Po opisie wydarzeń z Burrington Combe książka już dłużej nie udawała autobiografii ani pamiętnika. Zamiast tego Ashman oddał się intensywnej, bezładnej medytacji nad ideą ofiary składanej z siebie (którą pierwotnie nazwał „narcyzmem tkwiącym w centrum chrześcijaństwa”). Próbował sam się do czegoś przekonać, ale trudno było stwierdzić do czego. „Każda ofiara jest »posłaniem w przyszłość«, próbą prorokowania albo wywołania warunków sprzyjających prorocत्वu. Każda sztuka, religia, każda »historia« to tylko bolesna wskazówka przekazana przyszłości”.

Na przeczytanie „Pięknych pływaków” wystarczyły dwie godziny, może nieco więcej. Ostatni rozdział zaczynał się tak niezrozumiałym wylewem zachwyty, że nie byłem pewien, czy Ashman opisuje „Coeur”, czy świat, który już znamy...

„Tęcza jak ogień spływa z nieba. Przez jej fioletowy kraniec widać ogołoczone drzewa, przekształcone, delikatne, kruche i złożone jak morska istota w misce z wodą. Na wszystkim spoczywa złote światło. Wszystkie przedmioty i wydarzenia nagle stają się wyidealizowane, każdy żywoptot z krzaków głogu i brama w półmroku, każda fałda wzgórze, każda brzoskwiniowa bądź srebrzysta linia obłoków ponad pomarańczowym słońcem, każda roślina iglasta w ogrodzie na przedmieściu, która czerni się na tle domu o żółtych oknach oplecionych sznurami choinkowych lampek”.

Dalej jednak dopadały go wątpliwości i gniew – „Wszyscy byliśmy szaleńcami, którzy słyszeli głosy i błędnie odczytywali sny” – a kończył dziwnym i rozgoryczonym okrzykiem:

„Wierzyby pochylają się nad drogami, ich liście srebrzą się na wietrze: zrozum Serce, a nigdy go nie doświadczysz”.

\*\*\*

W mieszkaniu było chłodno, a ja nic nie jadłem od czternastej. Mimo wszystko długo siedziałem z maszynopisem na kolanie, rozbawiony i refleksyjny.

Pamiętajcie, że nic o tym nie wiedziałem. W swoich listach, pełnych smutku bądź uniesienia, które pisali do mnie przez lata po swoim ślubie, Pam i Lucas nigdy niczego nie zdradzili. Nigdy nie widziałem słowa „Coeur” zapisanego na papierze ani nie usłyszałem go przez telefon. Byłem wydawcą. Łatwo było mi uznać, że Lucas – cóż za czarny koń! – niemal ukończył całkiem zmyślną powieść. Dlatego byłem nieprzygotowany na to, co wydarzyło się później.

Wrócił z Manchesteru tuż po północy i przez kilka minut mozolnie parkował renaulta na śniegu. Potem powoli wspiął się po schodach i stanął na środku pokoju, tak jak staje się w czyimś domu, czekając, aż gospodarz zadba o twoją wygodę. Skaleczenie z poprzedniej nocy, zaczerwienione i podrażnione, otoczone pożółkłym siniakiem, czyniło jego twarz jeszcze bledszą. Stwierdził, że dotarł do szpitala tuż po moim wyjściu i siedział tam aż do teraz.

– Wieczorami na oddziale jest cholernie głośno – rzekł. – Nie słyszać własnych myśli. – Potem dodał: – Ona źle się dzisiaj czuje. – Na domiar złego po tej stronie miasta spadł świeży śnieg. – Kiepsko mi się jechało do domu. – Zamrugał i potarł opuszkami palców wewnętrzne kąciaki oczu. Zauważyłem, że spogląda na wyblakłe plamy na ścianie. Może próbował sobie przypomnieć, gdzie się podziały zdjęcia.

– Kiepsko – powtórzył.

Zdjął płaszcz i usiadł.

– Włącz grzejnik, jeśli ci zimno – poradziłem. – Zaparzę ci kawy.

Pokazałem mu maszynopis „Pięknych pływaków”.

– Co ty przede mną ukrywasz?

Wziął kartki, popatrzył na nie zaszokowany, po czym podniósł na mnie wzrok. Po jego twarzy spłynęły łzy.

– Lucasie! Co się stało?

– Przepraszam.

– Za co? Lucasie, to był żart!

– Po Cambridge nie mogliśmy uwierzyć, że to już koniec – odrzekł.

Stanąłem nad nim. Dotknąłem jego ramienia.

– Daj spokój, Lucasie. Po prostu nie wiedziałem, że napisałeś książkę.

Najwyraźniej mnie nie usłyszał.

– Zrobiliśmy wszystko, co radził Yaxley, ale bez skutku. Nic nie mogło się udać. Pam była chora. Yaxley zniknął. Ty przestałeś się nami interesować.

– To było wiele lat temu, Lucasie.

– Wysłuchaj mnie! – odparł. Musiał przekręcić głowę pod dziwnym kątem, żeby na mnie popatrzeć. – Chociaż raz mnie wysłuchaj! Pleroma nie jest tym, za co ją mieli gnostycy. Jest przerażająca. Niemożliwa do zrozumienia. Bez bufora w postaci Coeur, Niebo trudniej znieść niż... – wykonał bezradny gest – ...to wszystko. Świat. Rozumiesz? Nie mieliśmy się do kogo zwrócić. Musieliśmy w coś wierzyć.

Pozwoliłem mu się wypłakać.

– Co jej obiecałeś, Lucasie?

– Przynajmniej spróbuj zrozumieć. To nie jest zwykła książka. Ona jest Spadkobierczynią. Jest cesarzową.

– Jezu Chryste.

– Ona jest Coeur. Nigdy nie umrze. Powiedziałem jej, że nie umrze.

# TRZYNAŚCIE

## FATALITÉ INTÉRIEURE

Nie spałem porządnie przez cały tydzień. Nazajutrz musiałem wcześniej wstać, złapać pociąg do domu, kupić prezenty świąteczne i udawać, że wszystko jest w porządku, przed Kit i Katherine. A teraz jeszcze to. Podeszedłem do okna. Jeśli wyjrzę na ulicę, nie będę musiał patrzeć na Lucasa. Za drzewami wyraźnie widziałem księżyc. Kilka wysoko wiszących chmur rozpraszało jego blask, który nadawał im kolor rybiej skóry.

– Lucasie... – zacząłem, ale nie przychodziło mi do głowy nic, czego nie powiedziałem już sto razy, więc zamilkłem. Zresztą, Lucas i tak mnie nie słuchał. Podkręcił gazowy grzejnik na pełną moc i stał przy nim zgarbiony z obwisłą twarzą znaczoną śladami łez.

– Zawsze budzimy się dopiero w chwili, kiedy życie nam ucieka – rzekł.

Po chwili dodał:

– Tak uważała Pam.

Było mi gorąco, byłem zmęczony i miałem lekkie mdłości. Stałem jak najbliżej okna, delikatnie dotykając czołem szyby. Mój oddech wykwitał na szkle, ale wciąż widziałem migoczący blask księżycyca w długich, cienkich, odbarwionych soplach, które zwisały z dwuskrzydłowych okien po obu stronach ulicy, w miejscach, gdzie skroplona para wodna ściekła po wewnętrznej stronie szyb i wysączyła się na zewnątrz, żółta od tytoniowego dymu i kuchennych oparów.

– Życie jest siebie świadome, nawet wtedy, gdy spuszczasz je w odpływie – kontynuował Lucas. – Stale odbierasz jego ostatni sygnał: ignorowaną potrzebę śmiechu, pieprzenia albo oddania swoich pieniędzy.

– Lucasie, możemy zmienić zdanie.

– Za późno. Kiedy przestajesz działać spontanicznie, twoje życie zmienia się w fikcję.

Mogłem się tylko roześmiać.

– To prosta filozofia jak na parę, która wymyśliła własną Europę Środkową – zauważyłem.

Ale Lucas był już zbyt zdezorientowany, żeby zwrócić na to uwagę.

– Nie mam zamiaru żyć w kłamstwie... – rzekł.

Z domu naprzeciwko wyszła stara Bengalka i rozejrzała się po ulicy. W oświetlonym korytarzu za jej plecami widziałem dziecięcy rowerek i drabinkę. Miała na nogach tanie kalosze, a na tradycyjną suknię włożyła urzędniczy płaszcz. Dla niej śnieg był obcą, syzyfową substancją. Każdego dnia od czasu pierwszych opadów starała się go zmiatać ze schodów przed domem na niewielką czerwoną szufelkę. Rano, po południu i późnym wieczorem powłóczyła nogami po chodniku, sztywno trzymając przed sobą szufelkę, zbyt małą do tego zadania. Gdy ją opróżniała, większość zbitej zawartości pozostawała na miejscu. Miała niewyczerpaną cierpliwość. Zerwał się wiatr i otoczył ją obłokiem śniegu. Pochyliła się. Usłyszałem charakterystyczne skrobanie szufelki.

Żyć w kłamstwie – to było jedno z ulubionych powiedzeń Pam. Żyjesz w kłamstwie. Oni żyją w kłamstwie. Nie będę żyła w kłamstwie. Jak wszystkie inne powiedzenia, także to stanowiło sygnał, że potrzebuje lekarstw.

– ...i tak samo Pam.

– To był jej problem, Lucasie – odparłem z goryczą.

Bengalka na chwilę przerwała pracę i weszła do domu. Kiedy ponownie się pojawiła, jej obwisłą brązową szyję otaczał kolorowy wełniany szal. W lodowatym powietrzu widać było białe kłęby jej oddechu.

– Posłuchaj, Lucasie, świat należy do nas. Tworzymy go, minuta po minucie. Pam nigdy by się do

tego nie przyznała. Przerazało ją, że jest odpowiedzialna za swoje potrzeby. Chciała uosobić wszechświat. Widzieć w nim ojca, który będzie się o nią troszczył. Szczęśliwe wypadki. Dary. Rzeczy, które pochodziły z zewnątrz, a dzięki którym czuła się wyjątkowa. To największe kłamstwo ze wszystkich.

– Dlaczego mówisz o niej tak, jakby już nie żyła?! – wykrzyknął.

– Dorośnij, Lucasie.

Odczekałem chwilę, po czym dodałem z rozmysłem:

– Codzienne demolowanie mieszkania też ci nie pomoże.

Zapadła krótka, okropna cisza.

– Nic nie wiesz! – odparł. – Co ty, kurwa, wiesz?

– Lucasie. Daj spokój. Przepraszam. Nie...

Wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, po czym wybiegł z pokoju.

– Lucasie!

Usłyszałem jego kroki na schodach, a potem w korytarzu na dole. Trzasnęły frontowe drzwi. Przez okno widziałem, jak Lucas brnie przez plac, próbując przełamywać opór śniegu. Bengalka także na niego patrzyła. Przez chwilę stała w miejscu, a jej oddech był dobrze widoczny w surowym powietrzu, potem po raz ostatni opróżniła szufelkę, mocniej otuliła się ubraniem i weszła po schodkach do swojego domu.

– Lucasie – powiedziałem. Moja głowa przypominała puste kino.

\*\*\*

Wrócił wkrótce przed świtem. Zapomniał kluczy. Stał na progu, kruchy, spięty, zrezygnowany, nie potrafiąc wziąć się w garść. To była jego ulubiona poza i tym razem miałem ochotę mu to wytknąć, ale powiedziałem tylko:

– Wyglądasz na wykończonego.

Kiedy wszedł, przykucnął obok grzejnika, pokasłując i zacierając dłonie.

– Posłuchaj – odezwał się. – Jutro powinieneś pojechać do domu. Wróć, kiedy będziesz mógł. Naprawdę nie mam nic przeciwko.

To nie była prawda, ale coraz bardziej tracił grunt pod nogami.

– Ależ masz, Lucasie.

Pokiwał głową. Zmrużył oczy. Czułem, że coś szacuje. Okazało się, że chodzi o mnie.

– Rzeczywiście – przyznał. – Zresztą, ty także. Dobrze o tym wiesz.

– Drań z ciebie, Lucasie.

– Kochasz ją tak samo jak ja.

Namówiłem go, żeby się wykapał, a sam przygotowałem mu coś do jedzenia. Potem się położyłem i zostawiłem go samego, a rankiem złapałem InterCity 125 do Euston, żeby spędzić Boże Narodzenie z rodziną. Nawet jeśli zobaczyli, jaki jestem smutny i zamknięty w sobie, to zachowali to dla siebie, za co byłem im wdzięczny.

– Co u nich słyhać? – spytała Katherine w drugi dzień świąt.

– Niedobrze – odpowiedziałem, a ona mnie objęła. – Wkrótce będzie po wszystkim.

Kit podarowała mi markery i nową koszulę.

– Sama je zapakowałam!

Po chwili namysłu wręczyła mi także swoją ulubioną pocztówkę, przedstawiającą Wenus Botticellego, z którą wtedy silnie się identyfikowała. Lucas nie dzwonił. Zgodnie z obietnicą, wróciłem do Manchesteru rankiem 27 grudnia. Z pociągu wszystko wyglądało oszałamiająco pięknie: fabryczne kominy rozplywające się w płomieniach słonecznego blasku, na który nie można było patrzeć, i dym spowijający bezchmurne błękitne niebo. Dzieci bawiły się oponą na zaśnieżonym polu, otoczone

przezroczystym, przenikliwie zimnym powietrzem. Różowe i złote refleksy słońca znaczyły lodową taflę pomiędzy nimi.

Lucas czekał na mnie na Piccadilly.

– Przepraszam – powiedzieliśmy jednocześnie.

Jakby czekając, aż się pogodzimy, Pam wytrzymała jeszcze jeden dzień, a potem umarła.

\*\*\*

– Korzystaj z życia – powtarzała często. – Nie ma znaczenia, w jaki sposób. – Ścisnęła dłonie Lucasa. – Obiecuj mi, że będziesz z niego korzystał. – W krótkich chwilach jasności umysłu wciąż zachowywała optymizm. Wyglądała przez okno i mówiła: – Czy wiesz, że nie żałuję ani jednego dnia, który mi zesłano? Czyż to nie dziwne? Ani jednego dnia! – Jednakże przez większość czasu była pogrążona w rozpacz. Trudno było ją rozpoznać w grach, w które przez to z nami grała.

– Usiądź tutaj. Obok mnie. Chcę patrzeć, jak popełniasz samobójstwo.

Otwierała zaspane oczy i się uśmiechała.

Chwilę później przerażenie zmuszało ją do powrotu do bezpiecznej krainy dzieciństwa, w której recytowała wierszyki, hymny i wyliczanki, niektóre z nich pełne śmiertelnej ironii, jak rymowanka, którą dzieci w Manchesterze skandują, gdy widzą karetkę: „Na dachu czy na parterze, niech cię nigdy nie zabierze”. Lucas był zrozpaczony. Coraz częściej go unikała w tym surrealistycznym półświecie bólu i uzależnienia od morfiny. Wiem, że to nieudany opis. To Lucas i ja uważaliśmy ten świat za „surrealistyczny”, ze względu na kontrast pomiędzy cewnikowaną kobietą z amputowanymi piersiami – bladym ciałem owiniętym nocną koszulą, wychudzonym, dręczonym odleżynami i bezustannie drżącym – a tym dziecinny głosem. Bóg jeden wie, jak ona tego doświadczała.

Wyczuwaliśmy, że w głębi duszy kurczowo trzyma się życia, chociaż pragnie się tylko poddać. Nie zapomniała o obietnicach, które złożyli sobie z Lucasem. Coeur, a przez nie także Pleroma, miały do niej należeć, a za jej sprawą również do Lucasa. Była Spadkobierczynią. Nie mogła umrzeć. Jej przeznaczeniem było posłanie „bolesnej wskazówki” w przyszłość i dopełnienie w imieniu Lucasa niezwykłego aktu prorocstwa i ofiary, o których Michael Ashman pisał w „Pięknych pływakach”. Jej szklane, napięte spojrzenie brało się w równej mierze z determinacji, jak z lęku, bólu i zwierzęcej żądzы przetrwania. Cokolwiek Lucas zamierzał – a jestem pewien, że zależało mu na jej wygodzie – postarał się, żeby śmierci Pam towarzyszyła walka, tak samo jak jej życiu. Nie potrafiłem mu tego wybaczyć, mimo tego, co wydarzyło się później.

„W dzieciństwie kobiety w tej rodzinie nigdy nie kładły się spać”, napisał kiedyś. „Widzimy je na zdjęciach jako trzylatki, niemal oślepte ze zmęczenia, o opuchniętych oczach i ciężkich powiekach, jak wampiry z niemych filmów, blade, chude, z obliczami starymi i bezbronnymi jak nowo narodzone myszki. Nie chciały ulec. Nie zamierzały się poddać. W późniejszym życiu, zamiast spać, wolały wypalić kolejnego papierosa, wypić kolejną filiżankę kawy rozpuszczalnej lub przeczytać kolejną stronę »Zaginionego horyzontu«”.

Na samym końcu nie była już nikim. Cokolwiek sobie obiecali, zmieniło się w szmatę na wietrze, choroba wszystko zabrała. Lucas trwał przy niej i trzymał ją za rękę, ale ja nie mogłem na nią patrzeć. Chciałem ją zapamiętać jako chorą, ale nadal istotę ludzką, która mówi na przykład: „Ten widok nigdy mi się nie nudzi”. Tamtego popołudnia, gdy Pam zmarła, drobna pielęgniarka o kręconych pomarańczowych włosach wręczyła mi kubek herbaty na korytarzu i powiedziała:

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ją wszyscy podziwiamy. Nigdy nie mieliśmy pacjentki, od której krewni wychodziliby tacy szczęśliwi.

Popatrzyłem tępo na wazon z kwiatami.

– Nie jestem jej krewnym.



Pam wrzasnęła.

– Biała para! Biała para!

\*\*\*

Lucas nie dawał się pocieszyć. Z błędnym wzrokiem pełnym niemożliwej do uwolnienia energii porzucił samochód na szpitalnym parkingu i ruszył pieszo poprzez śnieg do centrum Manchesteru. Podążyłem za nim wzdłuż Oxford Road, próbując go przekonać, żeby złapał taksówkę.

– Przynajmniej pojedź autobusem, Lucasie! – Z trudem dotrzymywałem mu kroku. Co jakiś czas oglądał się i mówił coś niewybaczalnego; widziałem jednak, że siebie nienawidzi równie mocno jak mnie.

– Lucasie!

– Odpierdol się. Zabiłeś ją.

– Lucasie!

Dzień chylił się ku zachodowi, a on wędrował ku tłumom przechodniów i łagodnie rozświetlonym galeriom handlowym, gdzie klienci, targani żądzami rozbudzonymi, ale niezaspokojonymi przez Boże Narodzenie, tłoczyli się w powielonej przestrzeni, powoli dryfując między witrynami – obok etnicznych wyrobów dziewiarskich i ubrań od Barboura, pluszowych zabawek i ceramiki „dla kolekcjonerów” – szukając sposobu na wypełnienie pustki pomiędzy drugim dniem Świąt a Nowym Rokiem. Wyczuwając to, już dawno zawiedziony w swym optymizmie, Lucas nie potrafił zapanować nad wściekłością i smutkiem.

– Tylko popatrz na tych skurwieli! – odezwał się głośno. – Nie mają nic lepszego do roboty?

Kobiety posłały mu gniewne spojrzenie.

Zaśmiał się kpiąco.

– Klasa średnia cały czas czujna!

Poprowadziłem go wzdłuż Market Street ku monolitycznej wyłożonej płytami hali dworca. Wciąż miałem nadzieję, że uda mi się go wsadzić do autobusu. Lucas zerknął w stronę sufitu przesłoniętego kłębami kurzu i spalin z pracujących dieslowych silników, a następnie na ziemię, gdzie wiatr właśnie gnał papierek od marsa. Na tle szarego betonu wyglądał jak niewielki bury ptak. Lucas poważnie po kiwał głową.

– Widzisz? – spytał, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodał: – Było dla niej bardzo ważne, żeby kupować mi prezenty urodzinowe. Słodycze „Maltesers”. Zawsze musiałem przy niej trochę zjeść. Naprawdę ją kochałem.

Przyjechał autobus, kołysząc się pod ciężarem dzieci siedzących w środku. Lucas patrzył na nie nerwowo, ale pozwolił, żebym kupił mu bilet. Dotarliśmy do domu w niecałe dziesięć minut. Poczujęm, że mogę się odprężyć. Dwa przystanki dalej Lucas zerwał się z siedzenia.

– Przepuście mnie! Niedobrze mi!

To rozbawiło dzieci, które również wysiadły, żeby popatrzeć. Poprosiłem kierowcę, żeby chwilę zaczekał. Znow zaczął padać śnieg, a ja nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Podświetlane szyldy hoteli oraz sklepów ze sprzętem elektrycznym i chińską stolarką ciągnęły się wzdłuż szerokiej ulicy, brązowej od śniegowej brei i pobrużdżonej śladami po dawnych naprawach: w połowie jej długości widziałem narożnik zadrzewionego parku oraz zielone światła na pustym skrzyżowaniu. Lucas przechylił się nad niskim ceglany murkiem i ze stęknieniem zwymiotował na parking przed hotelem Floral. Kierowca autobusu wyszczerzył się i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „No to po wszystkim”, a następnie odjechał, zanim zdążyliśmy wsiąść. Dzieci przez chwilę próbowały wpychać się nawzajem pod koła, ale szybko się znudziły i rozbiegły po okolicznych sklepach i wąskich uliczkach. Pięć minut później nadał słyszałem, jak bezsensownie wyją i wrzeszczą w oddali. Miałem wra-

żenie, że używają jakiegoś innego języka, afrykańskiego albo azjatyckiego. Ich głosy odbijały się echem między ciemnymi ścianami domów, niosąc ze sobą tylko nadmiernie rozdmuchane podniecenie, okrzyki strachu i paniki, naglące, natarczywe i przenikliwe.

– Chryste – westchnął Lucas, ocierając usta.

Uklęknałem przed nim i ująłem jego głowę w dłonie. Policzki miał wilgotne od padającego śniegu. Miałem wrażenie, że jeśli nie nakłonię go, żeby mnie wysłuchał, to wszystko bezpowrotnie wymknie się nam z rąk.

– To nie była twoja wina, Lucasie. – Zmusiłem go do popatrzenia mi w oczy. – Nic z tego nie było twoją winą, ani Cambridge, ani cała reszta. Wszyscy troje postanowiliśmy to zrobić, cokolwiek to było.

Odrzącił mnie, wstał i spróbował się odwrócić.

– Co ty możesz wiedzieć? – spytał oskarżycielsko. Jego delikatna, inteligentna twarz nagle obwiśla, a oczy otworzyły się szeroko z przerażenia.

– Lucasie!

Nie patrzył na mnie, tylko spoglądał mi przez ramię. Wyszeptał coś, czego nie dosłyszałem, a potem dodał:

– Nie tutaj. Proszę.

Jakiś niewielki obracający się obiekt wyłonił się z ciemności za moimi plecami i wylądował obok stóp Lucasa z cichym wilgotnym łupnięciem, obryzgując mu spodnie lepkim, pniącym się płynem. Ktoś rzucił w nas otwartą butelką z gazowanym napojem.

– Chryste! – powtórzył Lucas. – Nie teraz!

Szybko się oddalił. Dziesięć albo piętnaście jardów na lewo jaśniało wejście do pubu Golden Crown, a dalej znajdował się słabo oświetlony szyld wypisany fluorescencyjną farbą: KLUB IDEO. Kiedy Lucas pod nim przechodził, dwa motocykle zaparkowane przed lokalem przewróciły się z trzaskiem. Lucas, który nawet się do nich nie zbliżył, jęknął i strzepnął coś z nogawki.

– Idź precz! – krzyknął i wbiegł w labirynt budynków mieszkalnych za pubem. Te stare półksiężycy z glazurowanej czerwonej cegły wyglądały na opuszczone, pomimo odnowionych okien, wzorzystych szklanych drzwi i ogrodów pełnych przyszczyżonego wawrzynu i ostrokrzewu o lśniących liściach. Śnieg wirował i kłębił się w blasku latarni; leżał grubą warstwą w otwartych bramach.

Lucas nie odszedł daleko, gdy nagle jakaś mała postać wyslizgnęła się pomiędzy dwóch zaparkowanych samochodów i podążyła za nim chodnikiem, trzymając się blisko i naśladowując jego charakterystyczny chód z wysuniętą do przodu głową i dłońmi schowanymi w kieszeniach. Gdy Lucas się zatrzymał, żeby zapiąć kurtkę, postać również przystanęła. Początkowo myślałem, że to dziecko w wieku sześciu albo siedmiu lat, ubrane w dorosły płaszcz, który wlecze się po ziemi. Kiedy jednak zawołałem Lucasa i pobiegłem w ślad za nim, postać zatrzymała się pod latarnią, żeby na mnie popatrzeć. W świetle sodowej lampy ujrzałem istotę, która nie była ani dzieckiem, ani karłem, ale miała w sobie coś z obojga, a także oczy, chód i różową twarz dużej małpy. Miała pozbawione emocji, bezmyślne i nieugięte spojrzenie: ostrzegała mnie, ale zarazem się mnie obawiała. Lucas nagle zdał sobie sprawę z jej obecności i aż podskoczył z zaskoczenia; z krzykiem przebiegł na oślep kilka kroków, a następnie skręcił za róg, lecz istota pośpiesznie za nim podążyła. Miałem wrażenie, że słyszę, jak Lucas woła błagalnie: „Zostaw mnie w spokoju!”. Odpowiedział mu głos zarazem metaliczny i zduszony, ledwie słyszalny, ale pełen napięcia jak krzyk. Potem rozległ się straszliwy łoskot i zobaczyłem jakiś duży przedmiot, być może stary cynkowany kubeł na śmieci, który wypadł na środek ulicy i się nią potoczył.

– Lucasie! – zawołałem.

Kiedy skręciłem za róg, zobaczyłem, że Lucas jest sam. Upadł – albo został przewrócony – na plecy w śnieżną breję obok ulicy, a następnie przekręcił się na bok i, niczym martwy owad, zwinął do

pozycji płodowej. Miał przemoczone ubranie. Prawą dłońią ścisnął lewy nadgarstek. Gdy się zbliżyłem, spróbował usiąść.

– Chryste – odezwał się grubym głosem. – Nie znowu. Daj mi szansę. Och, to ty.

– Co to było, Lucasie?

Roześmiał się gorzko.

– Mój mały podarunek od Pleromy – odrzekł. – Oto, co otrzymałem za zrujnowanie sobie życia przed laty. – Skrzywił się i ponownie usiadł na roztopionym śniegu. – Kiedy to już się zacznie, nie można się uwolnić. Obawiam się, że tym razem skurwysyn coś mi złamał.

– Gdzie najbardziej cię boli?

Po chwili roześmiał się szaleńczo i wskazał swoją głowę.

– Tutaj – odparł. – W środku.

Nie przyjął ręki, którą mu podawałem, tylko z trudem uklęknął i popatrzył na siebie.

– Boli mnie od czterdziestu pierdolonych lat. Od urodzenia. – Z obrzydzeniem otarł brudne ubranie. – Co ty, zwykły ksiądz, możesz na to poradzić?

– Lucasie – ostrzegłem go.

Wzruszył ramionami i pokazał mi dłoń.

– Otarłem ją, kiedy upadłem.

– Przeżyjesz.

– Nic z tego – odrzekł. – Nie tym razem. – Chwiejnie odszedł w stronę światła sodowej latarni.

– Lucasie!

Nagle zatrzymał się i obrócił w moją stronę.

– No to, kurwa, mam swoją Pleromę! – zawołał. – Co nie? Mam swoją magię! Dostałem karła. Pam dostała białą parę. A co ty dostałeś? Powiem ci. Wpadłeś w gówno, ale dalej pachniesz kwiatami. Nic dziwnego, kurwa, że jesteś taki protekcyjny!

– Wracam do domu, Lucasie.

Ale tego nie zrobiłem. Prędzej czy później ktoś musiał pojawić się w ostatnim domu Pam Stuyvesant i uporządkować jej życie – chociażby znaleźć nowe mieszkanie dla jej kotów; sprawdzić, czy jej ojciec wciąż żyje, a jeśli tak, to się z nim skontaktować; pozamykać wszystkie sprawy. Równie dobrze ja mogłem się tym zająć, chociażby dlatego, że zawsze robiłem takie rzeczy. Lucas nie byłby do tego zdolny. Pozostawiłem go z jego rozpaczą i nikczemnym małym znajomym, wróciłem pieszo do centrum, a następnie, po godzinie oczekiwania na lodowatym peronie Victoria Station, wsiadłem do pociągu zmierzającego do Huddersfield.

## CZTERNAŚCIE SPALONA RÓŻA

Po drugiej stronie Gór Pennińskich padał deszcz. Przed dworcem w Huddersfield wsiadłem do taksówki, którą wypełniała woń ciepła i potu, jakby przez cały dzień przewożono nią psy. Kierowca miał na sobie dwa albo trzy rozpinane swetry; kiedy otworzyłem drzwi, podkręcił ogrzewanie. Powoli ruszyliśmy przez centrum miasteczka – w deszczu i pomarańczowym świetle wyglądało jak polakierowane – a on toczył niekończący się spór z dyspozytorem.

– Jeśli tam go nie ma, to niech Addie sprawdzi na dole – powtarzał. – Więc niech ruszy dupsko.

Po opuszczeniu miasta prowadził ze znudzeniem, traktując skrzyżowania i znaki z leniwą ironią, jakby był mądrzejszy od tego, kto je rozmieścił, od czasu do czasu bez cienia zainteresowania zerkając w bok na kamienne mury i gospodarstwa.

– Dobra, nie kłopotz się – rzucił w końcu do radiostacji, skupiając wzrok gdzieś za przednią szybą. – Już wracam. Dzisiaj wieczorem i tak trafia mi się sama tandeta.

– Dalej nie trzeba – powiedziałem, chociaż wiedziałem, że od domu Pam dzieli mnie jeszcze czterysta jardów. – Tutaj wysiądę.

Rozejrzał się po opustoszałej wiosce.

– Jak pan chce.

Powoli odjechał. Widziałem, że obserwuje mnie przez ramię z jedną ręką na oparciu siedzenia pasażera. Przełożyłem torbę z lewej dłoni do prawej, zastanawiając się, co opowiada dyspozytorowi. Deszcz nie ustawał. Gdybym chciał, mógłbym zobaczyć odbicie swojej twarzy na lśniącym chodniku.

Brama domu Pam była otwarta, a jakaś kobieta w jasnym płaszczu przeciwdeszczowym pukała do frontowych drzwi. Wyglądało na to, że już długo czeka na deszczu.

– Mogę pani w czymś pomóc?! – zawołałem z chodnika. – Nikogo tam nie ma.

Gwałtownie, jakby wstydliwie odsunęła się od drzwi.

– Pam? – spytałem.

\*\*\*

Ale to nie była ona. Miała twarz znacznie młodszej kobiety, była mniej więcej mojego wzrostu, cierpliwie odgarniała gęste ciemne włosy z oczu, szarych i dużych, jak u dziecka. Patrząc na nie, miałem dziwne wrażenie, że kiedyś widziały coś, czego nie widziała ich właścicielka. Nie miałem pojęcia, co by to mogło być, ale później nie mogłem przestać o tym myśleć. Jej uśmiech był ciepły i zmysłowy. Chociaż obliczu nieco brakowało życia, szerokie i pełne usta dodawały mu ciepła, oczy zaś, które widziały coś, czego ona nie poznała – a przynajmniej coś, czego ja nie poznałem – napełniały je blaskiem: wspólnie ratowały twarz przed brakiem wyrazu i beznamietnością, czyniąc ją bardzo atrakcyjną.

– Przepraszam – odezwałem się. – W tym świetle wziąłem panią za kogoś innego.

– Pan jest właścicielem?

– Moja przyjaciółka tutaj mieszka – odrzekłem bez namysłu.

– Rozumiem.

Zastanawiałem się, czy rzeczywiście rozumiała. Podejrzewałem, że zbiera pieniądze dla jakiejś organizacji charytatywnej, może Oxfam albo Christian Aid, a przynajmniej przeprowadza w ich imieniu ankietę.

– Nie docieramy do tylu ludzi, do ilu byśmy chcieli.

– Nie jestem zbyt religijny – odparłem.

Pewnie zaparkowała swoje volvo dalej przy ulicy, miała dwoje dzieci w miejscowej szkole i mieszkała w przebudowanej chacie przy drodze do Manchesteru, gdzie jej mąż pracował w ciągu dnia w dziale kadr jakiejś firmy ubezpieczeniowej. Wyobrażałem sobie, jak po powrocie do domu stanie przed lustrem, osuszy włosy białym ręcznikiem i po raz kolejny powie: „Nie tylu, ilu byśmy chcieli” do kogoś w drugim pokoju. Miała bardzo słaby akcent, którego nie potrafiłem zidentyfikować.

– Czyż to nie piękne? – odezwała się niespodziewanie.

Ogródek przed domem niemal całkowicie wypełniał krzak czarnej porzeczki, któremu Pam Stuyvesant pozwoliła się rozrosnąć, ponieważ zasłaniał część okna w bawialni i sprawiał, że nie musiała używać firanek. Wieczorne powietrze wypełniała jego przyjemna mdła woń.

– Prawda? – zgodziłem się.

Kwiaty, o których wiedziałem, że za dnia staną się różowe, przypominały żółty wosk. Przyciągnąłem kilka z nich – spuszczać deszcz kropel – i oderwałem. Ucieszyłem się, że mamy o czym rozmawiać.

– Ten zapach zawsze przypomina mi dzieciństwo...

Kiedy odwróciłem się, żeby podać jej kwiaty, zobaczyłem, że odeszła bez słowa. Jej blada postać szybko wędrowała ulicą w deszczu, ze zgarbionymi ramionami, jakby straciła zainteresowanie.

– Chociaż sam nie wiem dlaczego – dokończyłem. – Ale często tego nie wiadomo.

Dom Pam wyglądał tak samo, jak go zapamiętałem, tylko było w nim nieco zimniej, a nieużywane wnętrza się zakurzyły. Sąsiedzi karmili koty, które podbiegły do mnie, mrużąc, z uniesionymi ogonami, gdy tylko zapaliłem światło, i zaczęły krążyć, ocierając się łebkami o meble. Wyrzawszy na przejście, w którym Pam w innym życiu musiała doświadczyć spółkowania bladej pary, zadrzałem i zasunąłem rolety. Dałem kotom mięso z puszki i wątróbkę.

Potem przypomniałem sobie, jak późną mamy porę roku.

– Chryste!

Wybiegłem do ogrodu przed domem, gdzie w wilgotnym powietrzu wciąż unosił się oddech kwiatów. Przez chwilę stałem, przepełniony wściekłością zrozumienia, najpierw wpatrując się w czarną porzeczkę obciążoną delikatnymi żółtymi świeczkami, a potem zerkając wzdłuż pustej ulicy. Byłem w domu zaledwie przez minutę albo dwie. Wytężyłem słuch i wydało mi się, że z oddali dobiega mnie stukanie butów na wysokim obcasie.

– Halo?! – zawołałem. – Proszę wrócić!

Drzwi zatrzasnęły się za mną i ogarnęła mnie panika. Nie mogłem włożyć klucza do zamka. Początkowo myślałem, że wyjąłem niewłaściwy klucz, ale kiedy przyjrzałem mu się w otepiającym pomarańczowym świetle, zobaczyłem na nim logo „Mr. Minnit”. Wkrótce po tym, jak Pam zachorowała, Lucas dorobił w Manchesterze kilka duplikatów, które nigdy nie pasowały tak dobrze jak oryginał. W końcu udało mi się otworzyć drzwi.

Kiedy ponownie wszedłem do domu, woń czarnej porzeczki stała się ostra i przytłaczająca, a poczucie zrozumienia zniknęło. Wiedziałem, że jeśli wyjrzę do ogrodu, nie zobaczę na krzewie żadnych kwiatów, tylko krople wody jak łzy na każdej szypułce.

Rozmowa na progu wydawała mi się odległa i niejasna. Miałem wrażenie, że w pewnej chwili kobieta powiedziała: „Chciałam umrzeć”. (Zamknęła oczy, jakby przez moment sprawdzała tę ewentualność, po czym ponownie je otworzyła). Myślałem o tym w salonie, podczas gdy koty Pam dotrzymywały mi towarzystwa, myjąc się na dywanie. Za mną deszcz uderzał o szybę. Zwiększyłem płomień w gazowym grzejniku i wypiliśmy herbatę. Jeżeli zbierała pieniądze na charytatywny cel, to dlaczego mówiła o umieraniu, a także pozwalała, żeby tak często zapadała między nami cisza?

Zasnąłem w fotelu i o niej śniłem.

\*\*\*

We śnie przyszła do mnie jako Fenissa, muza, która „kurwiła się z wieloma”. To pozwalało mi wyraźnie zrozumieć – chociaż tylko do chwili przebudzenia, gdy wszystko znów stało się dla mnie bezsensowne – paradoks ust, które ogrzewają, i oczu, które wiedzą. Jednakże tym, czego wtedy nie pojmowałem, a co stało się dla mnie jasne w ciągu następnych tygodni i pozostało we mnie już na zawsze, było pochodzenie – oraz prostota – wiadomości, którą mi dostarczyła, prosząc, abym przyniósł jej kilka róż.

– Takich jak na tamtych grobach.

Popatrzyłem we wskazanym kierunku i zamiast grobów zobaczyłem, jakby przez niewłaściwy koniec teleskopu, grupki smutnych, wyczerpanych chłopców w lesie, kopiających szerokie doły pośród powalonych drzew i wyrwanych z korzeniami roślin pokrytych wtórną tkanką. Była wiosna. Leśne ścieżki były błotniste i rozmiękłe; wędrowały nimi rzędy wychudzonych kobiet, które ciągnęły wozy z zabitymi ze spalonego i upadłego Miasta, a w zimnym powietrzu unosiła się woń deszczu, surowego drewna i ekskrementów.

Fenissa zachichotała i wyszeptwała:

– Widziałeś, jak tamten chłopiec się uśmiechnął, kiedy mnie zobaczył? Tamten ze śladem jak plama rdzy na policzku? Jedna z dziewcząt powiedziała mi: „Wślawił się odwagą podczas walk wokół Bazyliki, ale szpeci go ślad biegnący od kącika jednego oka, zupełnie jak plama na budynku pod zardzewiałym rygłem. Jakby płakał rdzą!”. Ale czy widziałeś, jak się do mnie uśmiechnął?

Czule dotknęła mojej dłoni, a następnie odepchnęła mnie ze śmiechem.

Po chwili ponownie mnie przyciągnęła.

– Potem napisał do mnie liścik. Popatrz!

\*\*\*

Obudziłem się zagubiony, ale pamiętałem część z tego, co napisał chłopiec. „Olejek z płatków róży, jej tajemne serce: jedną uncję tego bezbarwnego płynu można uzyskać z płatków dwustu pięćdziesięciu funtów róż francuskich za pomocą odpowiedniego rozpuszczalnika”. Nie uznałem tego za bzdurę – Yaxley kiedyś starannie mi wytłumaczył, że sny często przemawiają do nas poprzez niewłaściwość swoich elementów. Była druga w nocy i panowała taka cisza, że słyszałem, jak kierowca samochodu jadącego do Huddersfield zmienia biegi. Ziewnąłem, przeciągnąłem się, wyłączyłem grzejnik, a następnie światło w kuchni. Koty Pam Stuyvesant zamruczały; krople deszczu stukały w ogrodzie za oknem toalety. Poszedłem na górę, otworzyłem drzwi sypialni i znalazłem tam czekającą na mnie Fenissę.

Siedziała w ciemności na skraju łóżka, wpatrując się nieruchomo w blask taniego elektrycznego grzejnika. Spłotła dłonie na kolanach i się nad nimi pochyliła. Ciemnopomarańczowe światło kładło się na jej twarzy, lekko odwróconej ode mnie, oświetlając linię szczęki i długie ścięgna szyi, ale pozostawiając oczy w cieniu. Nie miałem pojęcia, od jak dawna tam siedzi. Nie zdjęła płaszcza, a chociaż w pokoju było ciepło, unosił się tam silny zapach spalonego kurzu, jakby jeden z prętów w urządzeniu dopiero niedawno się rozgrzał. Próbowwała osuszyć włosy ręcznikiem, który teraz leżał jak zwierzątko na dywanie obok jej stóp. Miałem wrażenie, że dostrzegła mnie dopiero po długim czasie. W końcu odezwała się szeptem, niemal do siebie:

– Czasami mam wrażenie, że już nigdy się nie rozgrzeję!

Stałem na progu, niezwykle podniecony i napięty. Czułem, że kołyszę się lekko z każdym uderzeniem serca, jakby ktoś delikatnie, ale nieprzerwanie uderzał mnie pomiędzy łopatkami. Zesztywniały mi mięśnie rąk igórną częśći pleców. Fenissa oderwała wzrok od grzejnika, jednocześnie rozplata-

jąc dłonie, żeby zwrócić na niego moją uwagę.

– Czyż to nie cudowne? – spytała, jak ktoś, kto nigdy czegoś takiego nie widział.

– Pam i Lucas kiedyś mieli ich mnóstwo – odpowiedziałem nieświadomie. – Również nigdy nie mogli się rozgrzać. Nie rozumiem, jak pani się tutaj dostała – dodałem szybko, jakbym nie chciał sobie dawać czasu do namysłu.

Zapaliłem światło. Kobieta zerwała się z łóżka.

– Przepraszam – odparła. – Mocno pan spał. Po prostu weszłam na górę.

– Więc miała pani klucz?

– Było tak mokro. Długo czekałam.

– Myślałem, że zbiera pani pieniądze dla organizacji charytatywnej – wyjaśniłem i się roześmiałem. – Trzeba było powiedzieć, że pani znała Pam.

Kiedy wymieniłem imię Pam, po twarzy kobiety przepłynęła kolejna fala bezruchu – tylko tak mogę opisać tę pustkę, której nie mogło odkupić ciepło ust. Wbiła we mnie wzrok. W niekorzystnym elektrycznym świetle ukazały się duże oczy otoczone smugami makijażu przypominającymi sińce. Sprawiała niepewne i nietrwałe wrażenie, tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, na progu, w deszczu. To za sprawą jej płaszcz przeciwdeszczowego, surowo skrojonego, odpowiedniego dla znacznie starszej kobiety, pomyślałem o Christian Aid. Teraz jej ubiór wydawał się mniej sztywny. Nad przemoczonym kołnierzem zwisały jej wilgotne, splątane włosy, które w bezlitosnym świetle wypełniającym sypialnię Pam Stuyvesant czyniły ją bardziej seksowną.

Nagle wyobraziłem sobie, że się obraca i podciąga płaszcz, ukazując bieliznę z szarego ałtasu i białą skórę nieco zaczerwienioną w fałdach pod pośladkami, dzięki czemu wyglądała jednocześnie zachęcająco i zwyczajnie (a może po prostu prawdziwie), a także bezbronne, jak czasem się zdarza kobietom, które uświadamiają sobie swoją zmysłowość. Wszedłem w nią natychmiast i z cudowną łatwością. Stęknęła, a ja wyszeptałem:

– Chryste, Chryste. – Deszcz rozbryzgiwał się na szybie.

– Umarłam w Birkenau – powiedziała. Nie wiedziała, w jaki sposób się tutaj ze mną znalazła, nawet we śnie. Elektryczny grzejnik przypalał mi obnażoną łydkę – nie zwracałem na to uwagi.

Wyobrazenie sobie tego zajęło mi tylko chwilę. Nie miałem nad tym żadnej kontroli. Jednocześnie pytałem ją:

– Chciałaby pani jeszcze jeden ręcznik? Do włosów?

Zamrugnęła, jakby oddzielała nas szklana tafla, a następnie odpowiedziała, uśmiechając się pośpiesznie jak ktoś, kto właśnie się budzi:

– Tak.

Za drzwiami zaczęły mną targać dreszcze.

Kiedy wróciłem z łazienki z ręcznikiem przerzuconym przez rękę, zobaczyłem, że zgasiła światło i obróciła lampkę w stronę ściany, tak że żarówka dawała niewiele więcej światła od grzejnika. Zdjęła i rozwiesiła płaszcz. Pod spodem miała tylko lśniąca szarą halkę, która obnażała jej chude ramiona i przywierała do boków, podkreślając każde żebro.

Wyraźnie ją widziałem z progu.

Leżałem nagi na łóżku Pam Stuyvesant, a ona klęczała nade mną i przemawiała niskim, przekonującym głosem, jednocześnie rozkładając przed moją ściągniętą, zaskoczoną twarzą garść zakurzonych widokówek, które zdjęła z półki u wezgowia łóżka.

Nie rozumiałem, jak mogę stać w otwartych drzwiach z ręcznikiem w ręku, a jednocześnie leżeć na łóżku i ciężko dyszeć z zaciśniętymi pięściami i krwią boleśnie pulsującą w mojej męskości: a jednak widziałem, jak ona siedzi na mnie okrakiem. Halka uniosła się jej aż do bioder. Widziałem podezwę swoich stóp, żółte jak na jakimś obrazie Muncha albo Schielego. Po chwili znalazłem się wewnątrz siebie i patrzyłem już tylko na nią poprzez wachlarz kart, widząc jedynie jej usta i oczy, pró-

bując podciągnąć ałtasową halkę jeszcze wyżej, a być może całkowicie ją zdjąć, ona zaś śmiała się i zachęcała: „Wybierz kartę. Najpierw wybierz kartę”, tak że ostatecznie nie miałem innego wyjścia. Kiedy bezradnie się jej przypatrywałem, kobieta sięgnęła między swoje nogi i lekko się poprawiła, a następnie zręcznie się na mnie opuszcła. Krzyknąłem i doznałem natychmiastowego, rozpaczliwego orgazmu, jak to często bywa w snach. Pozostałe karty posypały się w dół i rozłożyły jak stożek napływowy na czarno-czerwonych wzorach zdobiących kołdrę Pam Stuyvesant oraz rozsypały się po gołym linoleum. Fenissa miała otwarte oczy, ale mnie nie widziała; miała rozwarte usta, ale się nie odzywała. Pamiętam, że się uśmiechała i poruszała na mnie przez kilka minut jak zahipnotyzowana, unosząc się powoli, a następnie gwałtownie i bezwładnie opadając. W środku tego rytmu ziała dziwna luka, jak kometa przelatująca blisko słońca. Potem w całkowitej ciszy jej głowa zmieniła się jakby w olbrzymią czerwoną różę, ślepą i idealną, a ja krzyknąłem: „Fenisso!” – i zemdlałem z rozkoszy albo lęku, po czym obudziłem się o świcie w pustej sypialni. Grzejnik był wyłączony z gniazdka, moje nasienie zaschło na pościeli, a ja wciąż ścisnąłem w dłoni widokówkę, którą kazała mi wybrać.

To była kolorowa odbitka, której słabe mleczne światło wpadające przez okno dodawało tajemniczości. Przedstawiała jakiś romański klasztor albo dziedziniec: być może ten sam, na którego podstawie Lucas Medlar stworzył pierwsze mity i anegdoty o Coeur, żeby uspokoić młodą Pam Stuyvesant – chociaż, gdy później mu ją przesłałem, najwyraźniej jej nie rozpoznał i zaciekawiała go tylko jej osobliwość, a w liście opisał przedstawioną na niej architekturę jako „bardziej beznamietną i obojętną niż spokojną”.

Na środkowym i pierwszym planie zdjęcia równe kwietne rabaty, na których rozpoznawałem tylko hiacynty – „Panie, hiacynty kwitną w rzymskim ogrodzie” – otaczały źródło zbudowane z bladoróżowego marmuru. Za nimi stał niski klasztorny mur zwieńczony łagodnie zakrzywionymi łukami wykonanymi z takiego samego różowego kamienia. W niewyraźnej wnęce dało się wypatrzeć okno, trudno jednak było stwierdzić, czy jest oszkłone i współczesne. Większość tej części obrazu porastały ukwiecone gałęzie starego głogu. Ten gatunek kwitł na różowo. Można było sobie wyobrazić ciężką niejednoznaczną woń – kojarzącą się zarazem z perfumami i zepsuciem – wypełniającą dziedziniec. Cienka strużka wody bezustannie tryskała ze źródła i opadała, pieniąc się biało w idealnym porządku, pokazując, że pasji i jasności umysłu wcale nie trzeba rozdzielać, dopóki obie stanowią aspekt czegoś, co nie jest żadną z nich.

Wstałem z łóżka. Umyłem się. Zrobiłem sobie coś do jedzenia. Lucas często narzekał, że jestem zakochany w sprzecznościach. Nosiłem ze sobą widokówkę z pokoju do pokoju, tak jak nosi się czytającą książkę, opierając ją o mydelniczkę, czajnik, a w końcu stawiając obok talerza. Wpatrywałem się w nią jak w lustro podczas golenia, ale nie znalazłem tam ani siebie, ani odpowiedzi na zagadkę, którą można następująco sformułować:

„Dom jest pusty, ale dwa wilgotne ręczniki leżą na podłodze sypialni”.

Kiedy odrywałem wzrok od kartki i zerknąłem za okno, widziałem krzak czarnej porzeczeki o ciemnych i wilgotnych gałęziach, których wciąż kurczowo się trzymało kilka pożółkłych listków przerażonych tym, co może im przynieść nowe życie. Synoptycy twierdzili, że w nocy znów padał śnieg na północy i w środkowej części kraju. Chociaż już topniał, reszta miesiąca miała być zimna. Koty Pam wbiegały i wybiegały z domu, hałaśliwie się nawzajem zaczepiając; wybuchały między nimi bójki, które toczyły się na schodach z prędkością płonącego lontu, a potem wygasały. Postanowiłem, że po południu wrócę do domu. Około jedenastej zadzwonił Lucas Medlar i bez żadnych wstępów oznajmił:

– Pam wróciła.



– Widziałaś ją?

Lucas odpowiedział coś, co brzmiało jak „Oczywiście, że nie!” (choć równie dobrze mogło oznaczać coś innego), a po chwili przerwy dodał zdanie, które nie miało żadnego sensu:

– Nikt z nas nie umiera. – A następnie: – „Blizny”. – Chociaż może to były „Rany”.

– Lucasie?

Niezrozumiałość miała naznaczyć całą tę rozmowę.

Na linii bezustannie pojawiały się zakłócenia, które na zmianę przybierały na sile i słabły, jak regularnie uderzające fale; słyszałem w nich głosy, czasem dalekie, jakby nawoływanie ludzi na statkach, a czasami tak bliskie, że nawet nie byłem pewien, czy nadal rozmawiam z Lucasem. Gdy się odzywał, był wyraźnie wzburzony i często nie potrafił dokończyć jednego zdania, nim zaczął następne, więc nie potrafiłem stwierdzić, czy opowiada mi o czymś, co rzeczywiście się wydarzyło, czy może o swoim śnie.

Chcąc się upewnić, raz za razem wyraźnie powtarzałem te same pytania: „Widziałaś ją?” i „Naprawdę widziałaś Pam Stuyvesant?”.

– Nie słyszę cię!

– Widziałaś ją wczoraj wieczorem?

– Dzięki Bogu.

– Lucasie? Pytałem, czy wczoraj wieczorem widziałaś Pam?

Próbowałem go nakłonić, żeby odłożył słuchawkę i spróbował zadzwonić ponownie, ale mnie ignorował.

– Jak w amoku! – ciągnął. – Dzisiaj z samego rana na wrzosowiskach... – Nie wiedziałem, czy mówi o Pam, o sobie, czy o kimś zupełnie innym. – Włóczyła się i bełkotała, przemoczona do suchej nitki. Kiedy spytałem dlaczego, odpowiedziała: „Rozmawialiśmy o moim sercu”.

Zapadła cisza, jakby wszystko wypłynęło z łącza, pozostawiając je pustym i przejrzystym.

Lucas zdążył powiedzieć:

– ...zabrana do Coeur.

Potem fala zakłóceń znów napłynęła, a wraz z nią w mojej głowie pojawiło się bolesne i wyraźne wspomnienie tego, jak Pam opisywała mi swój pierwszy atak padaczki oraz towarzyszącą mu wizję...

„Była bardzo wyraźna. Brzeg morza, stromy i pozbawiony piasku. Mężczyźni i kobiety leżący na kamieniach w blasku słońca jak jaszczurki, z uśmiechem wpatrzeni w eksplodujące przed nimi fontanny wody – potężne fale, które równie dobrze mogłyby się pojawiać na ekranie w kinie, ponieważ nie zwracali na nie większej uwagi! Jednocześnie widziałam malutkie pająki, które utkały swoje sieci pomiędzy skałami, stopę albo dwie ponad linią przypływu. Chociaż pajęczyny drżały i czasami pokrywały je krople rosy, dzięki czemu lśniły w słońcu, nitki nie popękały. Tak blisko tej całej przemoicy! Nie potrafię opisać niepokoju, jakim mnie to napełniło. Zastanawiałam się, dlaczego są takie nierozsądne”.

– Widziałem ją we śnie – rzekł Lucas. – Została zabrana do Coeur. Mamy się z nią spotkać jutro, być może po raz ostatni. – Skwierczenie pochłonęło wszystko poza słowami „wyraźne instrukcje”. Potem usłyszałem rytmiczne stukanie, które świadczy o zakłóceniach na linii, a następnie kobiecy głos:

– Czy to ty, Alex?

– Słyszysz mnie?! – wykrzyknął Lucas. – Chyba oszalałeś, jeśli uważasz, że powiem więcej przez telefon!

– Lucasie?

– Alex?

Pozostałe głosy na linii dalej się nawoływały, niewyraźne jak obrazy w odwróconym teleskopie,

ale Lucas już nic nie powiedział, więc odłożyłem słuchawkę, ponownie podniosłem widokówkę i obróciłem ją w dłoniach.

# PIĘTNAŚCIE

## NITKI NIE POPEKAŁY

Carnforth to nie tyle miasteczko, ile wykwit na autostradzie A6 w miejscu, w którym oddala się ona od zatoki Morecambe, gdzie rankiem czasami słyhać smutne nawoływania morskich ptaków. Spokaliśmy się w księgarni, która chlubiła się, że na jej półkach można znaleźć sto tysięcy używanych tomów. Lucas i Pam regularnie tutaj bywali przez wiele lat, poszukując tekstów, które pomogłyby im rozwijać mit o Coeur. Kiedy dotarłem na miejsce, był późny, rzeński poranek, a Lucas – który przyglądał się rzędom książek z przekrzywioną głową, jakby zauważył, że czegoś brakuje, ale nie potrafił stwierdzić czego – sprawiał wrażenie zagubionego i rozczarowanego.

– Po co tutaj przyjechaliśmy? – spytał sam siebie. – Równie dobrze mogliśmy się spotkać na dworcu.

– Ponieważ jesteś romantykiem, Lucasie.

Wzruszył ramionami.

– Co ty możesz o tym wiedzieć – odparł, a ja się roześmiałem.

Lucas rozejrzył się z bezradnym rozbawieniem.

– To nie będzie jeden z moich lepszych dni. – Podał mi egzemplarz „Autonomii w epoce zbiorowości masowych” Bruna Bettelheima. – Tylko popatrz – rzekł z obrzydzeniem. – On jest świętym.

– Lucasie?

– On jest świętym – wyjaśnił cierpliwie – a sprzedają go za dwa funty pięćdziesiąt. – Zerknął na zegarek. – Mamy kilka godzin do pociągu – zauważył gderliwie.

Z biegiem lat księgarnię chaotycznie rozbijano na kilkadziesiąt drobniawo wydzielonych pomieszczeń, łącząc poszczególne sekcje – nawet te sąsiadujące ze sobą – za pomocą przybudówek, korytarzy i stopni prowadzących w górę albo w dół, często w oszałamiający sposób żonglując kierunkami, gdyż każdy nowy budowniczy starał się unikać burzenia elementów konstrukcyjnych, dzięki czemu mieliśmy wrażenie, że zawsze wracamy do punktu wyjścia.

– Dwa i pół funta za coś takiego? – Lucas komentował piskliwym, żalonym głosem za każdym razem, gdy widział tę książkę, po czym oglądał się przez ramię, próbując zdecydować, gdzie powinniśmy byli skręcić. – To absurd.

Dwie niezdecydowane kobiety stały na podeście na najwyższym piętrze.

– Och, Christine! – mówiła jedna z nich, gdy je mijaliśmy. – Przecież to była jedna z ulubionych sztuk taty!

– Nie dotykaj mojej ręki.

Lucas posłał im nieprzychylne spojrzenie. Gdzieś z dołu dobiegł hałas, jakby wilgotne kartonowe pudło pełne książek rozpadło się, uderzając o schody.

– Wynośmy się stąd! – powiedział nagle. Sprawiał wrażenie dzikiego i chorego. – Te stare rupiecie. Mam... cóż, to przestało być zabawne. – Zmarszczył nos. Wyczuwał wszystkie duszne salony, wikariaty i upadłe prywatne szkoły z północnego zachodu, które przekazały te stłoczone, niewzbudzające emocji, nieczytane zbiory „Ludzi i książek”, „Książek i bohaterów”, „Przymiotników i innych słów”. W końcu znaleźliśmy główne wyjście i opuściliśmy sklep.

– Jeśli spędzisz tutaj zbyt dużo czasu, twój duch wywróci się na lewą stronę! – Lucas stanął, rozglądając się po chodniku. – Spotkajmy się z Pam wcześniej! – zaproponował. – Jeśli pojedziemy autobusem do Lancasteru, a potem dalej, to nie będziemy musieli czekać na pociąg...

– Mieliśmy na niego poczekać.

– Czy to dla ciebie takie ważne? – nalegał.

– Powiedziałaś, że to część instrukcji.

– Jedźmy teraz. Pam się nie dowie!

Pomyślałem o snach, które miałem poprzedniej nocy.

– Oczywiście, że się nie dowie, Lucasie – odparłem zmęczonym głosem. – Ona nie żyje.

Ale Lucas wiedział, że byłem gotów dać mu wszystko, gdy był w takim nastroju, choćby po to, żeby powstrzymać go przed zrobieniem sobie krzywdy.

\*\*\*

Mimo wszystko nie pojechaliśmy autobusem. Z jakiegoś powodu, który potrafił wytłumaczyć tylko słowami: „Nie lubię nosić ze sobą zbyt wielu rzeczy”, Lucas zostawił walizkę i większość pieniędzy w przechowalni bagażu na dworcu kolejowym. Kiedy się dowiedział, że nikt z obsługi nie pojawi się aż do przyjazdu następnego pociągu z Silverdale o czternastej, tylko wyszeptał cicho i żałośnie:

– Pieprzyć to, zawsze się zastanawiałem, jak to by było spędzić w Carnforth więcej niż godzinę albo dwie.

– Teraz już wiesz, Lucasie.

– Istnieje cała klasa takich miejsc. Czekają na ciebie cierpliwie jak Meduza.

– Daj spokój, Lucasie, nie bądź taki rozpieszczony.

W końcu stanęliśmy na deszczu przed pomnikiem upamiętniającym wojnę. Pozostało zaledwie dwadzieścia minut do odjazdu pociągu. Lucas wciąż był spięty, ale czułem, że stopniowo się odpręża.

– „Ich imię żyje wiecznie” – zacytował pogardliwie. Spod kurtki wyciągnął dwa tomy, które ukradł z księgarni, „Moments of Reprieve” Prima Leviego oraz nieocenzurowane wydanie „Dzienników Anaïs Nin 1931-1934”. Rzucił je u stóp pomnika przy wtórze łopotu wilgotnych kartek. – Żyje wiecznie. W wiecznej krainie. – Wtedy wreszcie coś w nim pękło. Zadrżał, potem roześmiał się głośno i pociągnął mnie w stronę dworca, obejmując. – Wydawało mi się, że coś słyszę na tamtych schodach.

Nagle zaczął mi opowiadać, jak wkrótce po ślubie on i Pam znaleźli zegarek na ulicy.

– Ta opowieść pozwoli ci nas lepiej zrozumieć, naprawdę. – Ścisnął mnie za ramię i mówił dalej nerwowo, jakby się bał, że nie słucham: – Trzymaliśmy go przez pół roku. Nikt się po niego nie zgłosił. Żadne z nas nie miało swojego zegarka. Ale to był jeden z tych nowoczesnych modeli... – poruszył nadgarstkiem, żeby mi pokazać, że teraz już taki ma, po tylu latach – ...więc nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Każdego ranka o dziesiątej włączał się alarm, a my nie potrafiliśmy go wyłączyć. Każdego ranka o dziesiątej wskazywał jedenastą, ponieważ wciąż był ustawiony na letni czas, a my nie mieliśmy pojęcia, jak go przestawić. Po prostu był z nami, pośród mnóstwa innych rzeczy...

Wyobrażałem go sobie na stoliku przy telefonie, jeden z przedmiotów, które każdego ranka skrupulatnie zbierano, żeby karzeł Lucasa Medlara w nocy mógł je porozrzucić jak szalony: obok powieści kryminalnych, kubków do kawy z namalowanymi papugami, sztucznych kwiatów i posrebrzanych sosnowych szyszek.

– ...wskazując rytm życia poprzedniego właściciela!

– Lucasie, zapewne udałoby się wam zdobyć instrukcję obsługi od producenta.

Zniecierpliwiony pokręcił głową.

– Posłuchaj. – Byliśmy w połowie drogi przez ulicę oddzielającą nas od dworca; pobliskie światła uwolniły cienki strumień popołudniowego ruchu ulicznego. Lucas stanął przede mną i zmusił mnie, żebym na niego popatrzył. – Posłuchaj, nie w tym rzecz. To była tylko blaszana metonimia czyjśgożycia. „Pip, pip”. Wydawało nam się, że zgłębiliśmy Serce, a nawet nie potrafiliśmy obsługiwać zegarka!

– Lucasie, lepiej zejdźmy z ulicy.

Machnął ręką z goryczą.

– Ty, ja, Pam Stuyvesant! Razem nie tworzymy jednego pełnego intelektu.

– Co chcesz, żebym powiedział? Pamiętam, jak Yaxley mi tłumaczył: „Może właśnie o to chodzi.

Jeśli potrafisz zrozumieć Pleromę, nigdy jej nie doświadczysz”. Lucasie, proszę, zejdźmy z ulicy!

Popatrzył na mnie z pogardą. Wiedział, że już nie jestem w stanie dzielić jego bólu.

– Jeśli wierzysz w coś takiego, jesteś gorszy od romantyka.

– Co spodziewałeś się znaleźć w księgarni, Lucasie? – spytałem niesprawiedliwie. – Bibliotekę Aleksandryjską?

Odszedł bez słowa, a ja mu na to pozwoliłem. Stacja była opustoszała. Widziałem go na drugim końcu peronu, gdzie krążył w strugach deszczu, spoglądając najpierw na zegarek, a po chwili na tory. Kilka razy zakaszłał. Wydawało mi się, że nic mu nie jest, więc dałem mu spokój. Przynajmniej zszedł z ulicy. Na wypadek, gdyby Pam skończyły się papierosy podczas naszego spotkania, kupiłem dwie paczki w automacie na peronie. Potem przypomniałem sobie, że Pam nie żyje, więc zacząłem rzucać papierosy kolejno na jałową ziemię po drugiej stronie torów. Lucas patrzył na ten pokaz, aż wreszcie się zbliżył.

– Przepraszam.

– Jak zwykle, Lucasie.

– Rzeczywiście spodziewałem się Biblioteki Aleksandryjskiej.

– Jak zwykle, Lucasie.

Roześmialiśmy się.

– Zapnij płaszcz.

Wkrótce nadjechał pociąg z Silverdale. Był pełen zaczerwienionych od zimna dzieci, które, sądząc po zapachu, obficie wymiotowały tuż przed naszym wejściem, a także starców o dłoniach pokrytych żyłami jak kable, którzy chwiejnie wędrowali po wagonie, dźwigając zbyt ciężkie walizki, podczas gdy ich żony bezustannie zmieniały miejsca. Lucas patrzył na nich, jakby mogli stanowić wiadomość z Pleromy albo od Pam, ale potem, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że jest ona niemożliwa do odczytania, wyjął z walizki egzemplarz „Pustyni Tatarów” i udał, że czyta. Kilka godzin później z trudem wspinaliśmy się na strome i wietrzne zbocza ponad urwiskiem Attermire w Yorkshire, szukając martwej kobiety, która przekazała Lucasowi współrzędne NGR 842642, ale sama się nie pojawiła.

To było ostatnie miejsce, w którym chciałem widzieć Lucasa. Na wapiennych wzgórzach człowiek czuje się oddalony od świata, a Lucas już był przemoczony i zmarznięty. Sprowadzenie go na dół zapowiadało się na koszmarne wyzwanie. Krążył pośpiesznie w ciemności w ogromnych rozpadających się amfiteatrach i stromych kotlinach ponad skarpą Wiktorii, wpadając stopami w nory królików i bezradnie kaszląc.

– Pam, ty suko! – wołał. – Mam mokre stopy!

Jednakże po godzinie nagle zasnął u wlotu jednej z większych jaskiń, której popękane, wyglądzone przez wodę ściany wnosiły się nad nim w blasku księżyca jak dzieło człowieka. Nakryłem go płaszczem i przez chwilę kręciłem się u podnóża urwiska, dopóki nie usłyszałem, jak woła przez sen:

– Yaxley! Yaxley!

Rankiem całą dolinę Ribble skrywała mgła. Zupełnie jak chmury, które widać z okna samolotu nad Atlantykiem, była biała, nieskalana i przypominała ciało stałe. Niestrudzenie poruszała się wzdłuż zboczy wzgórz.

Nie chcąc się w niej zagłębiać, usiedliśmy na wapiennych płytach ponad Settle w padających poziomo jasnych promieniach słońca. Każdą kępkę trawy rozświetlał blask. Każdy cień wskazywał w stronę mgły, która, po napotkaniu wschodniego wiatru zstępującego w głąb wąwozu pomiędzy Atter-

mire a High Hill, na zmianę zbliżała się, wycofywała, kłębiła nad przełazami albo leżała nieruchomo, zwijając się i wypychając słabe kosmyki tuż nad ziemią, zupełnie jak mgła w filmach z lat sześćdziesiątych. Nie mieliśmy pojęcia, czy kocha, czy może nienawidzi rzeczy, które okrywa; nie mieliśmy pojęcia, czym one są. W końcu zaczęła ustępować, pozostawiając głąz, który wyglądał jak owca, oraz trawiaste zbocza lśniące jak słońce widziane przez szkło butelki. Po drugiej stronie doliny ukazał się grzbiet prowadzący do Smearsett, przypominający długą tajemniczą wyspę. Dalej leżało Ingleborough, przedwieczny kontynent, nieopisanie niewyraźny i odległy.

Lucas nagle zerwał się na nogi i odezwał dzikim głosem:

– Dla niej to był prawdziwy koszmar. Pierdolić twój zdrowy rozsądek. Pierdolić go. Ty też przed laty byłeś w Pleromie!

– Lucasie...

Popatrzył ponad mgłą i zaczął szybko mówić, żebym nie zdołał mu przerwać:

– Niewykluczone, że Gallica, która nazywała się „Bożą niewolnicą”, ale z całą pewnością kochała Michaela Neville, nie zginęła pod Bramą Karolingów. – Po chwili zaczął krzyczeć. – Wielu rannych twierdziło, że widzieli ją po godzinie czwartej w cytadeli, gdzie ich pocieszała. Widziano ją kilkakrotnie w ciągu kolejnych trzech dni masakry. Michael Neville, który co prawda sam jej nie spotkał, gdyż przez cały ten czas leżał na stercie zabitych i umierających przed Wschodnią Bazyliką, dwadzieścia lat później napisał: „Kiedy między nimi przechodziła, woń krwi na chwilę zmieniała się w aromat olejku różanego”.

Zadrżał i otarł oczy.

– Wymyśliłem to wiele lat temu dla Pam. To był prawdziwy sen. Pierdolić twój zdrowy rozsądek.

– Ona nigdy nie chciała zostać cesarzową, Lucasie.

Obejrzał się zagubiony, tak samo jak wcześniej w księgarni.

– Chciała zostać córką – dodałem. – Chodźmy na dół.

\*\*\*

Źle skręciliśmy we mgle i musieliśmy przez jakiś czas wędrować po nierównym pastwisku i wrzosowisku. We mgle panowały cisza, wilgoć i ziąb. Lucas chwiał się i potykał; nie przestawał się trząść. Szczelniej owinąłem go płaszczem, ale nic to nie dało. Rozpadały mu się buty.

– Gdzie jesteście? – pytał. – Już powinniśmy być na dole. – Po czym dodawał: – W ogóle mi się tutaj nie podoba.

– Wiem, Lucasie.

Nagle stanęliśmy na skraju głębokiego gotyckiego wapiennego wąwozu, na którego suchym dnie wiła się wyraźna ścieżka pomiędzy okazałymi osypiskami. Najwyżej pół mili na południe białe granie wznosiły się pod szarym niebem; kilkupoziomowe opadające skały przypominały zęby w martwych dziąsłach. Na północy ścieżka gwałtownie się wspinała i znikwała w głębi rozpadliny. Zaczął padać lekki deszcz; słyszałem ciche bębnienie kropel w niewielkim modrzewiowym zagajniku na brzegu wąwozu. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu wzdłuż krawędzi urwiska, po czym zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć na rozległe, monotonne zielone wrzosowiska ciągnące się na północ.

– Chryste! – jęknął Lucas, ale sprawiał wrażenie bardziej pogodnego.

Wlot wąwozu miał postać kamiennej rozpadliny, w której ledwie się mieściły dwie osoby. Znaleźliśmy ścieżkę i powędrowaliśmy nią aż do wioski. Kaczki kwakały na płycznach strumienia. Kobieta w chustce na głowie i gumiakach przerwała pracę w ogródku, żeby na nas popatrzeć z łopatką w dłoni. Na głównej drodze czekaliśmy pół godziny na autobus do Settle. Kiedy wreszcie przyjechał, był pusty, jeśli nie liczyć kaszłającego staruszka z chytrym czerwonoookim collie.

Na skutek wychłodzenia niewyraźne oblicze Lucasa wyglądało jak zrobione z wosku. Gdy tylko się zatrzymaliśmy, wyprowadziłem go z autobusu i zabrałem do pierwszej kawiarni, którą zobaczyłem. To był błąd. Gdy otworzyłem drzwi, w twarze buchnęły nam ciepło, śmiech oraz woń rozgrzanego tłuszczu: trwało noworoczne przyjęcie dla kilkunastu osób z miejscowej firmy z branży rolniczej, które pokrzykiwały, śmiały się oraz śpiewały bez ładu i składu przy długim stole po jednej stronie pomieszczenia. Goście mieli na głowach papierowe kapelusiki ozdobione czerwonymi, żółtymi i zielonymi kwadratami. Wszystkie wesołe twarze lśniły na czerwono. Podłogę wokół ich stóp pokrywały zużyte świąteczne strzelające zabawki, zmięte serwetki i łańcuchy wyschniętej pianki. Dwie albo trzy kobiety w średnim wieku ubrane w stroje kelnerek – staroświeckie czarne sukienki z paskami i skromnymi białymi kołnierzykami – zaczynały sprzątać nieporządne resztki po drugim daniu, pieczonej wieprzowinie z musem jabłkowym, przygotowując stół do podania deseru. Tymczasem chłopiec w wieku dziesięciu albo jedenastu lat nalewał mężczyznom do szklanek piwo „Tedeys”. Sam lekko pijany, biegał w swojej białej koszuli, muszce i eleganckich czarnych spodniach, pytając historycznie: „Może piwa? Może piwa?”. Kobiety uczestniczące w przyjęciu, ozdobione tandetnymi błyskotkami i jemiółą, piły białe wino. Lucas przypatrywał się temu wszystkiemu z przerażeniem, podczas gdy w głośnikach rozbrzmiewała odgrywana na ksylofonie wersja „Jingle Bells”, a następnie „The Little Drummer Boy”. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Garbił się pod namokłym kaszmirowym płaszczem i dygotał.

– Chyba nie...

– Lucasie, chociaż napijmy się herbaty.

Posadziłem go przy stoliku w kącie. Bezradnie odwrócił się plecami do uczestników przyjęcia, sztywniejac z niechęci, podczas gdy fragmenty rozmów unosiły się nad jego głową jak paski liter na sprytniej reklamie...

– Podaj nam jemiółę, Harry!

– A tak, stary Tommy Walker. Mój brachol dla niego pracował. Stracił wszystkie palce i pół kciuka, obsługując maszynę do ziemniaków.

– Zapłaciła dwadzieścia funtów.

– Nie, chyba uratowali mu kilka palców; zabrali je ze sobą i przyszyli.

– Białe pieczywo! To ci dopiero pomoże na jelita.

– Dwadzieścia funtów? Nabierają cię.

– Musiał to zrobić. Musiał. Wspomnieć o tym. Pewnie musiał o tym wspomnieć.

– Przepraszam, Harry!

– No, chłopcze, doigrałeś się.

Harry był potężnym mężczyzną po pięćdziesiątce, który kiedyś stracił lewą rękę na wysokości łokcia. Miał na sobie zielonkawą tweedową marynarkę i kasztanowy pulower, zbyt krótki, żeby zakryć koszulę, która wyskoczyła ze spodni, odsłaniając tłusty brzuch, gładki i twardy. W młodości jego twarz z pewnością była kanciasta, choć masywna, szybko czerwieniała na wietrze i znały ją popękane naczynka. Teraz zgrubiała pod i wokół szczęki, a żywe niebieskie oczy wyzierały spod miedzy fałd tłuszczu. Harry był najbardziej pobudzony z nich wszystkich. Lubił, kiedy pozostali mężczyźni go słuchali. Lubił kobiety i zawsze zwracał ich uwagę na swoją brakującą kończynę, dzięki czemu rozmowa z nim przybierała nieco szokujący obrót. Jego pomysłem na dobry żart było osuszyć kufel piwa „Tetley's”, a następnie głośno zawołać: „No, nie wiem, czy mi smakowało. Chyba łyknę trochę wody *Perrier*. To bardziej w moim guście”. Szybko się zorientowałem, że coś się kroi pomiędzy nim a naszą kelnerką: łączyły ich jakieś stare porachunki, niespłacony dług sprzed lat, może nawet z nastoletnich czasów. Harry popatrzył jej w oczy i zawołał wyzywająco przez całą

salę...

– Hej! Ty tam! Podejdz na chwilkę! Mam ci coś do powiedzenia.

– Nie wątpię, Harry. Nie wątpię!

Następnie dodała, wzbudzając ogólną wesołość:

– Mam nadzieję, że nie chodzi o twoją rękę. – A potem, patrząc prosto na niego: – Bo ja jej nie mam! – Harry’emu bardzo się to spodobało, podobnie jak jego znajomym.

To była dobrze zbudowana, energiczna kobieta w wieku trzydziestu albo trzydziestu pięciu lat, ubrana we wzorzystą sukienkę. Poza roznoszeniem potraw obsługiwała kasę. Miała szczere piwne oczy, niesforne włosy i piegowate przedramiona. Kiedy mówiła, przybliżyła się do ciebie całym ciałem; jej skóra miała delikatny, przyjemny aromat.

– Ktoś się tutaj dobrze bawi – zauważyłem.

Wyglądała na zadowoloną.

– Tak, właśnie zbieramy resztki. Są tutaj dopiero od godziny i kwadransa. Usadzić ich wszystkich i podać im cztery dania w tym czasie to niezły wynik.

– Chyba napiję się herbaty – powiedziałem, głównie po to, żeby przestała się gapić na Lucasa.

Bezwstydnie oparła się biodrem o moje krzesło i dalej na niego patrzyła z mieszanką rozbawienia i troski.

– Widzę, że był pan na wojnie – zauważyła. – Co podać? – Wydawało się, że jej przyjacielski ton jest szczerzy, ale nigdy nie miała do czynienia z kimś takim jak Lucas Medlar. Kiedy nie odpowiedział, wzruszyła ramionami. – Więc to pan będzie musiał zamówić coś dla niego, prawda? Tylko dwie herbaty? Nic do jedzenia? W porządku. – Kilka minut później wróciła z herbatami i mówiła dalej: – Cały tydzień nie mamy chwili spokoju. Kolacje z indykiem! Wszystkie stoliki zatłoczone. – Przerwała, żeby wykrzyknąć w stronę kuchni: – Wciąż czekają przy ósemce! – Odpowiedział jej stukot naczyń. – Ludzie, którzy w ogóle się nie znali, siedzieli razem. – Zwróciła moją uwagę na Lucasa, który nadal wpatrywał się w uczestników przyjęcia. – Pana koledze na pewno nic nie jest?

– Zostaw nas w spokoju – odezwał się Lucas.

Roześmiała się i wróciła do kasy. Tam przejrzała kilka rachunków, zmieniła taśmę na wybór popularnych klasyków wykonywanych przez chór, a następnie, ziewając, oparła się łokciami o kontuar i rozejrzała po lokalu. Lucas i ja piliśmy herbatę. Kilka staruszek skończyło lunch i, narzekając na pogodę, wyszło z lokalu i zanurzyło się w nadciągającej ciemności. Uczestnicy przyjęcia, rozważając popołudnie w pracy z bolącą głową, wpadli w introspekcyjny nastrój. Nawet Harry zaglądał do szklanki, wzdychał i powtarzał: „No tak”. Kobietę za kontuarem najwyraźniej to rozbawiło. Skrzyżowała ręce pod piersiami i odezwała się w panującej ciszy, jakby do siebie, ale całkiem głośno:

– Nie mam pojęcia, co sobie zrobiłam w szyję, ale boli mnie od środy.

Jednoręki natychmiast wstał i ruszył w jej stronę.

– Już ja wiem, czego ci trzeba!

– Harry! Nie!

Zanim zdołała zejść mu z drogi, chwycił ją za nadgarstek i wyciągnął z za lady. Posadził ją na pustym stoliku, stanął za nią i zaczął masować bok jej szyi zdrową ręką. Początkowo śmiała się jak dziewczynka. Potem, kiedy jego dłoń zaczęła się obniżać ku jej ramieniu, odprężyła się i zaczęła udawać seksualne podniecenie, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami, napierając łopatkami na jego brzuch jak głaskana kotka, szepcząc scenicznym kontrahent...

– Och, Harry.

Błękitne i złote wzory na jej sukience lśniły jak witraż.

– Na Boga! – wykrzyknął jednoręki.

Uderzył się dłonią w czoło, zręcznie wyslizgnął się z marynarki i udał, że odpina szelki. Głośno dyszał. Jego znajomi śmiali się i wiwatowali, widząc, że brak ręki napełnia go niezwykłym wigorem.



Kelnerka tymczasem szybko się odsunęła i stanęła za jego plecami, po czym zaczęła masować jego szyję. Harry z uznaniem przewrócił oczami, zwiesił głowę i komicznie wysunął język. Kobieta nachyliła się i dała mu szybkiego buziaka obok ust, a następnie, zanim zdołał się odwzajemnić, ponownie odgrodziła się od niego kontuarem. Znow rozległy się wiwaty, a kiedy Harry kłaniał się klaszczącym kompanom, ona wymknęła się do kuchni.

Co oznaczała ta scena? Najwyraźniej był to ich stały numer podczas przyjęć. Harry i kelnerka znali się od lat i już wcześniej to robili, jak również, zapewne, inne rzeczy. Przypomniał mi się trzeci oddział w szpitalu onkologicznym, gdzie wśród innych wyczerpanych, krnąbrnych staruszek (które przypominały tłum pierzających się, ale radosnych papug chaotycznie odzywających się z wnętrza swojej cuchnącej klatki) była niejaka Doris. Wbrew atmosferze tamtego miejsca – i ogólnie wbrew losowi – Doris, siedemdziesięcioośmiolatka bez włosów i zębów, ubrana w różowy bawełniany szlafrok, z którego sypały się kłaczki po całym oddziale, z implantami od radioterapii, wciąż wiodła bogate i barwne fikcyjne życie.

– Robię prawie wszystko – wykrzykiwała na całe gardło podczas odwiedzin – ale nie pozwolę się gryźć i wara od mojego tyłka! – Albo: – Chryste, ten palec był już dzisiaj w dwóch dupskach. Tylko na niego popatrzcie!

Nigdy nie wiedziałem, czy były to jej własne seksualne wspomnienia, czy raczej objaw osłabienia wewnętrznej cenzury w obliczu śmierci. Pam twierdziła, że Doris zazwyczaj drażniła i wyprowadzała z równowagi inne kobiety na oddziale.

– Ona zakłóca ich własne wspomnienia – tłumaczyła.

Czasami jednak, zwłaszcza w środku nocy, gdy w budynku było pełno ich milczącej, dyskretnej, księżycowej rozpaczy, zachowanie Doris najwyraźniej przynosiło im niejasną pociechę.

Z kolei dla Pam jej energiczny sposób bycia był zaraźliwy.

– Sądzę, że dla pozostałych kobiet też, chociaż nigdy się nie przyłączały.

Myślałem, że to rozweseli Lucasa, ale odrzekł tylko:

– Jezu Chryste.

Dopił herbatę i wyszedł. Chciałem zostać, ale ostatecznie ze znużeniem ruszyłem za nim.

\*\*\*

Na dworze padał gęsty śnieg. Powietrze było nim wypełnione, a kostki bruku pokrywała cienka, mleczna warstwa. Kiedy wiatr porywa padający śnieg, przez chwilę ma się wrażenie, że pędzi się na przód, jakby nasze życie przyśpieszyło. Śnieg jest dla mnie czymś magicznym od czasów, gdy jako dziecko siedziałem do późna i wyglądałem przez okno na parterze, patrząc, jak w ciemności trawnik pokrywa się płatkami – miękkimi, cichymi, olbrzymimi jak pensówki. (Łatwo jest powiedzieć sobie: „Pamięć tworzy mity. Byłeś mały. To był twój pierwszy śnieg. Takie obrazy ulegają rozdmuchaniu”. Dziś mam wątpliwości). Pam Stuyvesant również uwielbiała śnieg. „Ale kiedy długo pada, mam wrażenie, że oglądam coś nienaturalnie spowolnionego”, mawiała.

Szukając przystanku autobusowego, Lucas stracił orientację i powędrował przez dawny miejski rynek – obecnie parking – w stronę wąskich uliczek po północnej stronie, gdzie ponad miasteczkiem stromo wznosi się masyw Castlebergh, zadrzewiony jak skały w Chinach. Wydawało się, że ma jakiś wyraźnie określony cel: być może NGR 842642, a obraz Pam go przyzywa. Ale w połowie placu zatrzymał się, jakby zaskoczony – mroczna, przygarbiona postać w słabym świetle. Widziałem, jak kręci głowę. Popatrzył w górę na wirujący śnieg. Wysunął dłoń, żeby złapać trochę płatków, ale zaraz je upuścił, jakby go oparzyły. Stałem w drzwiach kawiarni i zawołałem:

– Lucasie!

Najwyraźniej mnie nie usłyszał.

– Lucasie!

Kiedy wyszedłem na plac, odkryłem, że wcale nie śnieży. Z nieba padały białe płatki róż. Ich gęsta, bizantyjska woń wypełniała powietrze.

Znaleźliśmy się w sercu róży. Sercu róży! Cały plac pulsował. Lucas Medlar stał zrozpaczony i samotny, obmywany różanym olejkiem. Wykrzyknął moje imię; a potem: „Ktoś tutaj jest!”. Różany olejek! Byliśmy w sercu róży, a ono już było zajęte. Ludzie czasami mówią o kimś: „Wypełniała to miejsce swoją osobowością”, nie mając pojęcia, co to może oznaczać. Otaczająca nas woń była jak morze. Gdybyśmy nie nauczyli się w nim pływać, poszlibyśmy na dno. Ogarnęła mnie panika wywołana nieodwracalnością zdarzeń.

– Halo? – szepnąłem.

Nikt nie odpowiedział, ale po chwili Lucas powtórzył, bardziej nagłaco:

– Ktoś tutaj jest! Ktoś tutaj jest!

Wtedy wyszła z potężnej miękkiej burzy różanych płatków, bogini we własnej osobie. Zielona – dorodna – kobieta złożona z kwiatów. Jej sylwetka była idealnie wyraźna i miałem wrażenie, że jest pozbawiona powierzchni, gdyż kwiaty pojawiały się i znikwały w jej obrębie, gdy się rozglądała. Była jak okno otwarte na bujne listowie po deszczu, na gałęzie tarniny, splątane bzy, plecionki z trawy i paproci, przytrzymywane razem przez dzikie róże, po których i między którymi stale ściekała woda. Miała bezlitośnie niebieskie oczy, bez białek ani źrenic. One również były kwiatami. Wiedziała, że tam jesteśmy. Wyprostowała ręce, zginając jedną nogę i usztywniając drugą, żeby utrzymała jej ciężar.

– Nigdy nie jesteście po prostu sobą – wyszeptała.

Tym razem pozwoliła nam przelotnie ujrzeć jej ojczyznę, powłokę jej wiecznego upadku, która być może wywodzi się z Pleromy, lecz jeszcze do niej nie przynależy (jak trzydziesty Eon ukochany przez Boga, sama się usunęła i spadła w lustra Aleksandrii, Rzymu, Manchesteru, Brzezinki): róże kwitnące w ogrodzie. Pomiędzy trawnikami rozciągały się szerokie, uporządkowane rabaty z chińskimi różami – „Chiny są w sercu, Jack. Chiny są w sercu!” – między którymi posadzono lilie. Dzikie róże i kaliny koralowe oblewały bladoróżowym i kremowym blaskiem stare ceglane mury i ścieżki, aksamitne od jaskrawozielonego mchu. Białe róże pienne ciężko zawisły na jabłoniach. Witki dwóch albo trzech wierzb opadały jak żółte włosy w silnym blasku zimowego słońca. Poza ogrodem rozposcierały się pofałdowane sady i alejki, piaszczyste wzniesienia oraz rozległe wrzosowiska sięgające wzgórz. Tam popołudniowe światło szklisko liście ostrokrzewu, głóg pochylał się nad trawiastymi brzegami, a powojnik rozkwitał przytłaczającą masą kwiatów. Wszystko było możliwe w tej krainie. Pośród głogu przycupnął biały lampart; inne zwierzęta – pawiany, olbrzymie ptaki, powoli zwijający się wąż – krążyły nerwowo wzdłuż alejek. Usłyszałem głos, który nie należał do mnie ani do Lucasa: „Róża na Ziemi jest Lilią w Niebie”. Woń olejku z płatków była ciężka jak aksamitna zasłona, jednakże z kawiarni za moimi plecami, niczym błyski światła przez całun, przedostawały się przenikliwe ludzkie zapachy – rozgrzanego tłuszczu, sosu koniakovego, potu, piwa. Czułem to gorąco, widziałem żółte światła. Przez chwilę możliwy był powrót do środka...

Ale zielona kobieta!

Popatrzyła na Lucasa Medlara w jego samotności i ofiarowała mu cały ogród.

Żeby go otrzymać, musi najpierw zaakceptować jej święte. Te stworzenia, być może mieszkańcy samej Pełni, mają władzę nad stanami przejściowymi, wyznaczaniem nowych granic, wszelkimi ludzkimi zmianami. Zawsze jej towarzyszą:

Wokół niej biega karzeł, który tak długo dręczył Lucasa, zatruwając najważniejsze doświadczenie jego życia. W powietrzu obok niej, naga i połączona, unosi się biała para. Teraz już widziałem, że w blasku latarni Manchesteru popełniłem błąd. Karzeł był tylko dzieckiem, malcem w jednej chwili pełnym radości i wdzięku, a za chwilę targanym gniewem i frustracją. Próbował pochłonąć świat, ale

przeszkadzał mu stary płaszcz Lucasa Medlara, który ten kazał mu nosić. To była niespokojna przeszłość Lucasa, jałowa za sprawą zbyt silnej tęsknoty. Co zaś dotyczy białej pary: mają pięć milionów lat. Stale podtrzymywani przez swoje tao na granicy pomiędzy pożądaniem a odprężeniem, nigdy nie zasypiają. Ich oblicza są w ruchu, a jednak nigdy się nie zmieniają. Są kikutem Harry’ego i wzorzystą sukienką kelnerki; odpiętymi guzikami u niewidomej kobiety w kamieniołomie, niespodziewanym słodkim uśmiechem na twarzy jej kalekiego chłopaka. Na moich oczach na krótką chwilę stali się Katherine i mną: „Więc dotknij mnie tutaj”. Na jeszcze krótszą chwilę, stanowiącą obietnicę wyznania, na które jeszcze nie byli gotowi, ukazali mi się jako Lucas Medlar i Pam Stuyvesant. Być może właśnie w takich chwilach, pośród zachwyty i nieporządku, Coeur – jeżeli takie miejsce kiedykolwiek istniało – wreszcie się ujawnia.

Zupełnie jakby chciała to zapowiedzieć, zielona kobieta rozpląnęła się, poruszyła i urosła, górując nad miasteczkiem i Lucasem Medlarem, który był przy niej jak kropeczka. Powoli i z wielką gracją uklękła przed nim i usiadła na piętach, kładąc dłonie na rozległych, rozchyłonych udach. Lucas padł przed jej różanymi drzwiami, po czym otrząsnął się i powoli wstał. W odpowiedzi, kołysząc się nad nim jak woda, zielona kobieta stała się jego cesarzową, Gallicą XII Hierodule, a jej płytowa zbroja zalśniła poprzez dym przed bramami Coeur: „Gdy dym się rozwiął, nie dało się na nią patrzeć. Nie ma ucieczki z głębi znaczeń”. Natychmiast zmieniła się w córkę cesarzowej, Fenisę, która biegła przez chłodne sale poranka na spotkanie z Teodorem Laskarysem przy fontannie. „Różnij mnie, Teo, och, zeróżnij mnie teraz”. Skoro bogini jest w Świecie, ona również szuka. Chwieje się na piętach przed milczącą postacią Lucasa Medlara. Czy jest tutaj? Nie. Spanikowana, staje się rzymską prostytutką Eudoxią, żoną Mateusza, potem Godscall St. Ives, następnie jej chorowitą córką Liselotte, a później Alice Sturtevant, pochłoniętą przez tęsknotę, której nie potrafi wyrazić. „Coś we mnie płonie – chciała krzyknąć, gdy patrzyła na swojego ojca złożonego chorobą – ale nigdy mnie nie spala!”. Czuła straszliwą pustkę i pobiegła do Johna Ducka. Skoro bogini spadła do świata, to gdzie ono jest? Cygańska prostytutka Michaela Ashmana podaje Lucasowi karty i wykonuje szybki ruch miednicą w powietrzu ponad jego głową. Czy jest tutaj? (Rozlewiska zamarzyły na odcinku czterdziestu mil w dole i górze rzeki). Bogini na chwilę z przerażeniem staje się dwunastoletnią córką Lawsona, rozciągniętą na stole Yaxleya pod jego zdjęciami i baczny spojrzeniem ojca. Potem, z oszałamiającą gwałtownością, zmienia się w Katherine, potem Kit, aż wreszcie, nagle tężejąc i nabierając ostrości, w Pam Stuyvesant, taką, jaką ją widziałem tamtego letniego popołudnia w jej pokoju w Cambridge dwadzieścia lat wcześniej, gdy leżała roześmiana na podłodze i szeptała: „W tym pokoju cuchnie seksem”. Czy jest tutaj? „Nie wpuszczaj go!”. Nie ma go nigdzie. Jest wszędzie naraz. Bogini jest wszystkimi tymi kobietami i żadną z nich, poszukujemy jej, ona nas poszukuje, macierz, a nie matka – gorzki świat, który znamy, Pleroma, której pragniemy, Coeur, które pośredniczy. Owija nas serce róży. Pam, teraz wyraźna i konkretna, starzeje się na niebie, po rozwodzie farbuję włosy, pali pięćdziesiąt papierosów dziennie, wygląda na ogród. Wybaczyła światu, że nie jest idealny, i zostawia go Lucasowi. Dorodna kobieta radośnie odrzuca głowę do tyłu. Potężny otwarty różowy kwiat blednie jak sztuczne ognie nocą.

Długo czekałem przed drzwiami kawiarni. Zimowe powietrze było ciemne. Po chwili opadające płatki róż ponownie zmieniły się w śnieg, woń olejku różanego osłabła, a Lucas Medlar został na środku parkingu z pochyloną głową.

- Lucasie?
- Ktoś tutaj był.
- Lucasie?
- Wróć do środka.

Tydzień później odbył się pogrzeb Pam.

– Zapach róż – powiedziała kiedyś. – Ależ miałeś szczęście!

– To było cudowne lato dla róż – odpowiedziałem. – Nie pamiętam takiego roku. Przez cały czerwiec krzewy były pełne dzikich róż, które tak delikatnie i ulotnie pachną; nie widziałem ich od dzieciństwa. Z kolei ogrody pękały w szwach od róż wielkokwiatowych i wielobarwnych odmian róż francuskich, wspaniałych kwiatów, które napełniały wieczorne powietrze odurzającą wonią. Zupełnie jak w buduarze dziwki. Jak możemy twierdzić, że Yaxley miał z tym cokolwiek wspólnego, Pam? To byłby dobry rok dla róż także bez jego ingerencji!

Mimo wszystko posłałem trochę róż na jej pogrzeb, chociaż sam się nie zjawiłem.

# EPILOG

## KENOMA

Co takiego zrobiliśmy, Pam, Lucas i ja, na czerwcowych polach, tak dawno temu? Chciałbym pamiętać.

Nie sądzę, żeby było to coś „niewłaściwego” bądź „złego”. Niby dlaczego miałyby takie być? Dziś uważam, że była to jedna z szans, które ofiarowuje nam życie, a z których czerpiemy zgodną z oczekiwaniami wartość, a nie rzeczywiste dobro albo zło. Być może tak na swój pokrętny sposób próbował nas przekonywać Yaxley. Jeśli tak, to o tym zapomniał i, chociaż kpił z braku pewności siebie Pam i Lucasa, ostatecznie zyskał mniej niż każde z nich.

„Łatwo jest błędnie zrozumieć Wielką Boginię”, pisze de Vries w swoim „Słowniku symboli i obrazów”:

„Jeżeli Ona reprezentuje długą powolną panikę, która się w nas kryje, ale nigdy nie wydobywa się na powierzchnię, jeżeli oznacza nasze postrzeganie tego, co zwierzęce i nieopanowane, to z pewnością jest tożsama również ze zdolnością bezpośredniego zmysłowego postrzegania świata, którą utraciliśmy wraz z wiekiem – a być może nawet poprzez zostanie ludźmi”.

Lucas i ja dalej korespondowaliśmy, ale już nigdy się nie spotkaliśmy.

Wkrótce po śmierci Pam stwierdził, że pamięta, co zrobiliśmy, żeby to na siebie sprowadzić. Uważał, że to właśnie jej odejście uwolniło jego pamięć. Sądził, że w tym sensie jej śmierć stanowiła odkupienie. Karzeł przestał go dręczyć. Lucas zaczął pisać książkę. Nie chciał opowiadać o tym, co mu się przydarzyło na zaśnieżonym placu w Settle. Nie pamiętał zielonej kobiety ani woni róż. Twierdził, że jego wspomnienia są jego sprawą. Zgadzałem się, chociaż – na podstawie wskazówek, które dawał, i obsesji, które wciąż go męczyły – podejrzewałem, co to było. Poszukiwanie Serca pochłaniało go aż do chwili, gdy zniknął rok albo dwa lata później. W jego listach jest go pełno. Lśnią jak witraże.

„Coeur pośredniczy pomiędzy Światem a Pleromą. Kontroluje dialektykę pomiędzy nimi. Gdy jest w Pleromie, nie może być w Świecie. Gdy jest w Świecie, nie może być w Pleromie. Jednakże nigdy nie przebywa długo w jednym kosztem drugiego. Fakt, że wycofało się ze Świata, najpewniej świadczy o tym, że powróci. Jego obecność w Świecie jasno zapowiada jego Upadek. Nie jest krainą czy nawet stanem umysłu, a bardziej przedmiotem nieustającej rozmowy, dzięki której Świat i Pleroma utrzymują równowagę, której nie jesteśmy w stanie zrozumieć”.

Kiedy zrezygnował z nauczania i wyjechał do Europy, odzywał się do mnie mniej regularnie. Co kilka tygodni chaotycznie zmieniał miejsce pobytu, przenosząc się z Hiszpanii do Norwegii, a potem ponownie nad Adriatyk. Zatrzymał się w Arles, żeby zobaczyć tamtejszą romańską katedrę, być może dlatego, że pamiętał słowa Vincenta van Gogha: „Nie wolno nam osądzać Boga za ten świat. To tylko studium, które się nie udało”. A może po prostu tamtejszy klasztor przypominał mu ten w Cuxa i widokówkę, od której to wszystko się zaczęło. Pisał dwa razy w tygodniu z Amsterdamu; potem milczał przez rok. Na wschodzie rządy upadały jak zmęczeni bokserzy wagi średniej – ociężałe, zaskoczone, niemal skruszone. Początkowo nie robiło to na nim wrażenia. Oglądając w telewizji, jak Berlin Wschodni wlewa się do Zachodniego, nagle odniósł wrażenie – widząc ich tanie, stare ubrania, wychudłe i niezdrowe twarze, chciwość, z jaką unosili butelkę wina do ust – że to mieszkańcy tylnych uliczek Boltonu, Tyne albo Wear, którym ofiarowano wolność.

Potem wystrzeliły fajerwerki nad Bramą Brandenburską. Upadek Ceausescu zainspirował liryczny

opis Mołdawii: „Wozy zaprzężone w woły, jaskrawe ubrania i zdarte buty chłopów, niemal średnio-wieczne społeczeństwo wydobywające się spod śniegu!”. Wszystkiemu temu towarzyszyło straszliwe poczucie ryzyka, a może także winy: „W każdej chwili to może się zawalić jak domek z kart i pogrzebać nas wszystkich”. Narastające poczucie niedopasowania wcale mu nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Postanowił powtórzyć przedwojenną wędrówkę swojego wymyślnego bohatera, pisarza i podróżnika „Michaela Ashmana”, i po kolejnych sześciu miesiącach spędzonych w Europie Zachodniej przekroczył granicę Czechosłowacji, a następnie Węgier. „Tutaj wszystko wygląda zupełnie inaczej”, pisał z pokoju nad Placem Wacława. „Wyczuwa się prawdziwe podniecenie, niezwykle przecucie, że coś zostanie odkryte na nowo”.

Budapeszt okazał się mniej imponujący. Lucas zawsze chciał zobaczyć grobowiec Gül Baby, Turka, który w szesnastym wieku podobno sprowadził róże do Europy Środkowej...

„Krażyłem po starej dzielnicy tureckiej. Na placu Leó Frankela pozostał tylko zrujnowany meczet o zardzewiałej kopule, a niemal dokładnie naprzeciwko – kwaciarnia. W końcu go znalazłem, nisko na Wzgórzu Róż, na odsłoniętym, ogrodzonym pagórku z ziemi i betonu. Grupka dzieci grała w piłkę na wydeptanej trawie wokół grobu, który znajduje się w eleganckim obniżonym ogrodzie podzielonym na kwadraty, z kamienną ścieżką wiodącą do niewielkiego grobowca zwieńczonego kopułą. Róże były wysokie i ponure, pokryte olbrzymimi bladymi owocami. Ogród wyglądał, jakby już nigdy nie miał zakwitnąć. Ale nagle rozległ się śpiew drozda, obniżające się słońce rzuciło złoty blask na śmieci i zrujnowane domy na wzgórzu, a ja zobaczyłem, jak to by mogło wyglądać latem, jeżeli lato znów nadejdzie. Przy balustradzie stało kilkoro zachodnich turystów. Jedna z kobiet powiedziała: „Wygląda na to, że na uprawie roślin znają się nie lepiej niż na socjalizmie”.

To było niesprawiedliwe porównanie w lutym w Budapeszcie. Mimo to jedyne kwiaty, jakie tutaj widziałem, znajdują się na witrynach sklepów i wyglądają, jakby wstrzyknięto w nie wosk.

Kto chciałby być Ojcem tego wszystkiego?

Poprzedniego wieczoru w hotelu Palace jakiś flecista ćwiczył w sąsiednim pokoju, powoli powtarzając trzy albo cztery razy każdą frazę złożonej kompozycji, a potem łącząc je z zadziwiającą płynnością, jakby jego błędy i wpadki się nie zdarzyły. W brytyjskim hotelu nigdy nie doszłoby do czegoś takiego. Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że usłyszę tę samą muzykę na Wzgórzu”.

Kilka dni później napisał: „Mam kłopot z granicami.”. Jednakże niestrudzenie parł w dół Dunaju do Wschodniej Chorwacji. Twierdził, że panuje tam trudna sytuacja. Zachód wciąż starał się doprowadzić do porozumienia pomiędzy frakcjami. Obiecał odezwać się ponownie, gdy tylko wszystko się ustabilizuje, a mnie polecił na siebie uważać.

A dalej:

„Czasami mam wrażenie, że tak dokładnie to wszystko rozumiem!”. Nigdy więcej się ze mną nie skontaktował.

\*\*\*

Co zaś dotyczy moich własnych poszukiwań:

Wkrótce po pogrzebie Pam doświadczyłem nagłego i niewyjaśnionego powrotu zmysłu węchu. Zwykłe zapachy stały się tak wyraźne i szczegółowe, że znów poczułem się jak dziecko, każde nowe odczucie było oszałamiające i czyste, moja świadomość jeszcze nie była otorbioną w czaszce obolałą bryłą – zaciśniętą i bezużyteczną jak pięść, niepodatną na zmianę ani usunięcie – którą miała stać się później. Nie do końca chodziło o wspomnienia. Jedyne, co mi się przypominało pod wpływem zapachu skórek pomarańczy, mielonej kawy albo kwiatów jarzębiny, był fakt, że kiedyś potrafiłem tak dogłębnie doświadczać świata. Zupełnie jakbym przed odzyskaniem każdego konkretnego odczucia musiał na nowo odkryć język wszystkich odczuć.

Ale nic więcej się nie wydarzyło. Pozostało mi zażenowanie, widmo, nadwrażliwość wieku średniego. To było okrutne i ulotne; czułem się jak głupiec.

Katherine późno nauczyła się prowadzić i jak większość ludzi, którzy odkrywają nową umiejętność po czterdziestce, zabrała się za to z entuzjazmem. Jej pierwszym samochodem był mały czarny peugeot 205 GTi z ujmującymi „sportowymi” wykończeniami i kołami tak szerokimi, że upodabniały go do wrotki. Wtedy już wyprowadziliśmy się z Londynu i mieszkaliśmy w Coulsdon, w sympatycznym wolno stojącym domu na północnym skraju Sussex. Katherine wkrótce zaczęła pędzić wąskimi drogami Wealden jak rajdowiec, wprowadzając silnik na maksymalne obroty i szybko wciskając sprzęgło w odpowiedniej chwili, żeby przejść z trzeciego na czwarty bieg bez utraty mocy. „Uwielbiam to! – mawiała, śmiejąc się do siebie. – Uwielbiam to!”. Kit i ja nie byliśmy przekonani. Kit lubiła siadać na tylnym siedzeniu mojego volvo i rozkoszować się widokiem lasów i pokrytych krzemieniem murów ogrodów; lubiła, kiedy zwalniałem, gdy mijaliśmy konie.

Czasami po niedzielnym obiedzie całą trójką wsiadaliśmy do volvo i jechaliśmy do Tunbridge, żeby pospacerować po wzgórzach. Ale Katherine coraz częściej wołała jechać tam sama i spotkać się z nami później. W słoneczne niedziele Coulsdon krwawi swoimi BMW i jaguarami na okoliczne tkanki Redhill, Reigate i Dorking, które gwałtownie rumienią się i sinieją pod wpływem tego nacisku. Katherine nienawidziła korków. Pewnego słonecznego popołudnia, kiedy spokojnie jechaliśmy w ślad za nią autostradą M23 nieco na południe od Salfords, natrafiliśmy na migające kierunkowskazami nieruchome samochody. Wszystkie trzy pasy były zablokowane. Policyjny land rover, niewielka karetka oraz samochód ratowniczy pędziły utwardzonym poboczem. Od czasu do czasu rzędy aut drgały i przesuwwały się o dziesięć albo dwanaście jardów, dzięki czemu kierowcy mieli złudzenie ruchu. Kwadrans później wciąż powoli zbliżaliśmy się do miejsca wypadku. Przed sobą widzieliśmy wysoki pióropusz czarnego dymu, którego źródło znajdowało się gdzieś w okolicy Outwood albo Wasp Green; kilkakrotnie dostrzegliśmy błysk płomieni za ogrodzeniem.

– Tam jest kościół! – zawołała Kit, wychylając się przez otwarte okno. – Nic więcej nie widzę!

– Po co mieliby podpalić kościół, Kit?

– W Wasp Green mieszkają dziwacy.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do podstawy kolumny dymu, okazało się, że niewielki czarny samochód wypadł z drogi przez ogrodzenie i wjechał na przykościelny cmentarz, gdzie stracił maskę oraz jedno drzwi, po czym stanął w płomieniach pośród nagrobków. Przez okna wpadł odrażający smród i Kit gwałtownie zwymiotowała na tylne siedzenie. Zatrzymałem samochód i zamknąłem ją w środku. Zaczęła wrzeszczeć i wierzgać. Cofnąłem się poboczem i zapytałem pierwszego napotkanego policjanta: „Czy ktoś wie, jaki to samochód?”. Nie byli pewni, ale ja tak. Bogini daje i odbiera.

Kilka tygodni później, kiedy robiłem porządek w dokumentach Katherine, natrafiłem na kilka listów, które dostała z Klubu Sztuki Chelsea, a w których jakiś mężczyzna sympatyzował z jej uczuciem „stłamszenia” w małżeństwie oraz wspominał ich „wspólne długie seksowne popołudnia”. Listy pochodziły sprzed mniej więcej dziesięciu lat. Nie rozpoznałem nazwiska autora. Kit i ja oddaliliśmy się od siebie w kolejnych latach. Kiedy się wyprowadziła, dom przestał mnie obchodzić, więc go sprzedałem. Żałoba osłabiła moją nadwrażliwość, ale powróciła ona na kilka minut pewnego majowego popołudnia rok albo dwa lata temu.

Przez cały dzień segregowałem książki. Wciąż mam ich mnóstwo, niektóre jeszcze od czasów Cambridge. Wyglądają na swój wiek, zbrązowiały od dymu tytoniowego oraz oparów gazu i oleju do smażenia z tych wszystkich miejsc, w których mieszkałem, odkąd wszystko się rozsypało. Kiedy stoją na półce, wydzielają delikatną, utrwaloną woń kurzu, zupełnie jakbym poprzez swój styl życia starał się je zachować, poddając je organicznym i chemicznym przemianom w jednopokojowych londyńskich mieszkaniach przypominających wędzarnie. Właśnie o tym rozmyślałem i przeglądałem stary egzemplarz „Warin Heaven” w miękkiej oprawie, gdy nagle z książki uniósł się zapach jakby mąki

kukurydzianej, a nawet wanilii, tak silny, że miałem wrażenie, że otworzyły się drzwi i wszedł przez nie ktoś, kogo kiedyś znałem. To była woń tej konkretnej książki – nie kurzu ani rozkładu, tylko mąki kukurydzianej i wanilii, transformacja kleju, tuszu i papieru: mąka kukurydziana, wanilia, a następnie kwiat głogu jak narkotyki!

Usiadłem na podłodze i zapłakałem:

Wkrótce minie piętnaście lat od śmierci Katherine. Kit przeprowadziła się do Nowego Jorku, skąd śle mi listy, których nie rozumiem, o polityce i AIDS. Pam i Lucas odeszli ode mnie tamtego wonnego, przesiąkniętego rosą poranka w Cambridge. Wspominam ich wszystkich z taką radością.



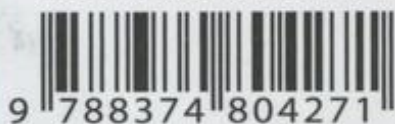
# UCZTA WYOBRAŹNI

JOHN M. HARRISON STWORZYŁ NIEZWYKŁĄ,  
PONADGATUNKOWĄ OPOWIEŚĆ, W KTÓREJ  
SPLATA MITOLOGIE Z SEKSUALNOŚCIĄ ORAZ  
NIESPOKOJNĄ PRZESZŁOŚCIĄ  
I TERAŹNIEJSZOŚCIĄ EUROPY WSCHODNIEJ.

WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ PEWNEGO UPALNEGO  
MAJOWEGO WIECZORA, GDY TROJE STUDENTÓW  
CAMBRIDGE ODPRAWIA RYTUAŁ, KTÓRY ZMIENIA  
ICH ŻYCIE. PO LATACH ŻADNE Z NICH NIE PAMIĘTA,  
CO DOKŁADNIE SIĘ WTEDY WYDARZYŁO, JEDNAK  
NAD ICH ZAMGLONYMI WSPOMNIENIAMI UNOSI SIĘ  
PRZYTLACZAJĄCA GROZA. PAM STUYVESANT JEST  
EPILEPTYCZKĄ, KTÓRĄ NAWIEDZAJĄ DZIWACZNE  
ZMYSŁOWE WIZJE. JEJ MĄŻ LUCAS WIERZY, IŻ  
PRZEŚLADUJE GO KARŁOWATY STWÓR. SAMOZWAŃCZY  
MAG YAXLEY WPADA W OBSESJĘ NA PUNKCIE INNEJ  
RZECZYWISTOŚCI, PRZERAŻAJĄCEJ I NIEUCHWYTNEJ.  
POZORNIE NAJMNIĘJ DOŚWIADCZONY PRZEZ LOS  
UCZESTNIK RYTUAŁU (DRĘCZONY WONIĄ RÓŻ)  
USIŁUJE POMÓC SWOIM PRZYJACIOŁOM UCIEC PRZED  
CIERPIENIEM, KTÓRE OGARNĘŁO ICH ŻYCIE.



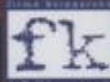
ISBN 978-83-7480-427-1



9 788374 804271

cena:  
37 zł

WYŁĄCZNY  
DYSTRYBUTOR



Wydawnictwo  
**MAG**

Więcej informacji o publikacjach Wydawnictwa MAG w Internecie na stronie: [www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)